

SWIAT



Fot. P. Kornecka.

DZIŚ 32 STRONY

W NUMERZE M. IN.: J. TUWIM — JA TIEBIA LUBLIU • A. SŁONIMSKI — WPŁYW LITERATURY •
W. SZEWCZYK — DZIEJE PISANE STAŁĄ • J. BROSKIEWICZ — WIEL-
KI BIEG • WALDORFF • WIECH — MĘKA NA DWA PIÓRA •
GRA ŚWIĄTECZNA DLA DZIECI • KONKURS DLA WSZYSTKICH

Nr 51 - 52 (74 - 75) — Rok II

21 - 28 GRUDNIA 1952

CENA 1⁵⁰ ZŁ



Dnia 21 grudnia cała postępową ludzkość obchodzi 73 rocznicę urodzin Wodza obozu pokoju, Generalissimusa Józefa Stalina

I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIAT

POŻEGNANIE DELEGATA NA KONGRES NARODÓW



CAF

Młodzi robotnicy żegnali serdecznie odjeżdżającego do Wiednia przewodnika pracy, Z. Skorzyńskiego, delegata na Kongres Narodów w Obronie Pokoju.



WIĘCEJ BAWELNY DLA KRAJU



CAF

Przodującą prądką Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Piotrkowie jest Józefa Tarnowska, córka młodołnego chłopca.

PRZED ŚWIĘTAMI



CAF

Sprzedawane na ulicach Warszawy choinki świąteczne cieszyły się wielkim powodzeniem wśród najmłodszych mieszkańców.

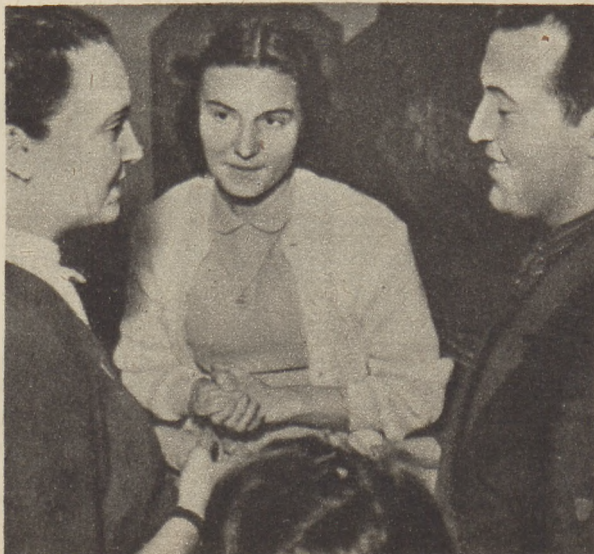
ROZWÓJ HODOWLI



CAF

Kobiety wiejskie biorą liczny udział w konkursie na podniesienie hodowli.

Z KONKURSU IM. WIENIAWSKIEGO



CAF

Do II etapu konkursu im. Wieniawskiego zakwalifikował się m. in. skrzypek radziecki, J. Sitkowiecki.

PAŁAC KULTURY I NAUKI



CAF

Zagęszczanie betonu na budowie Pałacu odbywa się mechanicznie.

ON JEST Z NAMI

Gdziekolwiek lud odgiąwszy kark powstaje
z barłogu krzywd — gdzie walka o swobodę,
On zawsze z nim i rękę mu podaje
i wspiera to, co piękne i co młode.

Gdzie żytni łan i gdzie lud wino zbiera,
na Place Concorde i w chmurnym Oceanie
i gdzie u drzwi swej chaty Negr umiera
za godność swą — tam sięga Jego ramię.

To Jego myśl wśród burzy i pokoju
rozbłyska nam jak rubinowa gwiazda
zdobiąca Kreml i dzieło Jego znoju
jak Kremla mur osłania wsie i miasta.

W posoce łun u hardych bram Phenianu.
i tam, gdzie lud ludowi gmach przyjaźni
wznosi do chmur — w Warszawie. On jest z nami.
I żyć nam lżej. I coraz w świecie jaśniej.

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE ŚWIATA Z KRAJU I ZE Ś

ROSĄ MURY NOWEGO BERLINA



Chlubą wschodniej strefy Berlina są nowowypbudowane bloki mieszkalne przy Alei Stalina. Entuzjazm robotników umożliwił szybkie zakończenie budowy.

„CHCEMY WOLNOŚCI”



W Afryce Południowej coraz częściej odbywają się demonstracje ludności przeciwko imperialistycznemu uciskowi. „Chcemy wolności” — głoszą transparenty.

ŚWIAT

NASZA KRONIKA

PRAWDA prowadzi do światła.
Tak brzmiały ostatnie słowa inauguracyjnego przemówienia prof. Joliot-Curie na Kongresie wiedeńskim. To gorące umiłowanie i poszukiwanie prawdy stanowiło treść tego przemówienia prawdziwie wielkiego uczonego. Przypomina się, co inny, równie prawdziwie wielki uczoney pisał przed czterystu laty. „Sądzę — pisał Mikołaj Kopernik w przedmowie do dzieła „O obrotach ciał niebieskich” — że należy unikać mniemań odbiegających od rzeczywistości”.

Z bezwzględną jasnością i precyzją Joliot-Curie przedstawił delegatom i całemu światu aktualną sytuację polityczną. Ze specjalnym naciskiem, właśnie jako uczoney, mówił Joliot-Curie o technice prowadzenia wojen. Powołując się na Einsteina, stwierdził, iż dalszy rozwój broni masowego zniszczenia, takich na przykład jak bomba wodorowa, prowadzić może do całkowitego unicestwienia życia na ziemi. Dobrze się stało, że o tym powiedziano — otwarcie, głośno, publicznie. Niech wszyscy w świecie wiedzą, przed czym mamy świata bronić. Dość postawy wszelkiej neutralności, dość powtarzania podrzucanych bredni, że ruch pokoju to tylko komuniści. Wołamy do narodów Zachodu, do ludzi tam jeszcze wahających się, niezdecydowanych.

Podpalacz skrada się nocą pod wasz dom. Aż chwytą go i obezwładnia mocna ręka. A na to wybiega człowiek, który w domu tym mieszka z żoną i z najukochańszymi dziećmi, chwytą podrzuconą żagiew i roznieca pożar, trawiący jego dom i rodzinę.

— Bo słyszałem — powiada potem — że ci, co walczą z podpalaczami, to są komuniści, a ja komunistów nie lubię.

Czy można sobie wyobrazić taką sytuację poza domem wariatów? Nie można. To całe wielkie szczęście świata, to cała logika jego rozwoju polega na tym właśnie, że rozwój sił niszczycielskich, rozwój antyludzkich planów wypredzony został przez wspaniały rozkwit ruchu robotniczego, jego myśli, idei i partii, że w tym decydującym okresie ludzkość ma Związek Radziecki, partie komunistyczne we wszystkich kątach ziemi, że rozwija się i potężnieje ruch pokoju. Jedno z praw przyrody polega na tym, że sama wytwarza ona lekarstwa na choroby i trucizny. W dziedzinie stosunków społecznych komunizm — to wspaniałe lekarstwo przeciw chorobie imperializmu, trawiącej jeszcze część świata.

KOŃCZYMY rok 1952, wkraczamy w rok nowy — 1953. Wkraczamy w drugą połowę Planu Sześcioletniego, wkraczamy na nowe pole nowych walk o produkcję, o dalszy rozwój Polski, o jej wspaniałą przyszłość. Z rokiem 1953 związane są różne obchody. W roku tym czcić będziemy czterysta dziesiątą rocznicę śmierci Kopernika. Czterechsetnej obchodzić w roku 1943 nie mogliśmy. Uczciła tamtą rocznicę Moskwa, wydając w dniach wojny wielką księgę ku czci polskiego astronoma. Nie na darmo, nie bez powodu kraj zwycięskiego komunizmu uczcił Kopernika. Był Ko-

pernik jednym z tych, którzy otwierali drogę twórcom i dowódcom wielkich ruchów społecznych.

Przypomnijmy sobie, że na obchodzie kopernikowskim w Toruniu w roku 1873 doszło do ciekawego incydentu, który pismo ówczesne tak opisywało:

„Rektor królewiecki... uznając wielkość Kopernika jako astronoma, większą stokroć przypisuje mu chwałę, że „był mężem opozycji przeciwko wiekowym przesądom, że zburzył narzucone z góry dogmata. Idźmy dalej — wołał — tą drogą, a za sto lat ujrzymy nowy porządek w świecie”.

— Ujrzymy Komunę Paryską! — przerwał jakiś głos nieproszony. (Biblioteka Warszawska, 1873 r. t. II, str. 167).

Głos był nieproszony na dostojnym zebraniu, ale mówił prawdę. Kopernik był jednym z tych, którzy otworzyli na ścieżaj wrota myśli ludzkiej, powiedział ludziom, jakie miejsce zajmują w świecie oni i ich planeta. Rzecz dalsza polegała na tym, by podjąć dzieło nowego, mądrego, słusznego i sprawiedliwego zorganizowania życia na tej planecie.

Kopernik wierzył w świat i w myśl ludzką. Wierzył mocno i niezachwianie w to samo. Jeden Kopernik „wzruszył ziemię” — miliard ludzi nie pozwoli szaleć z USA pchnąć ją na bezdroża śmierci.

Wyrwać lonty podłożone pod świat — oto zadanie na codzień. Robimy to. Na miejsce zburzonej, sztucznej wrogości między narodami budujemy naturalną przyjaźń. Przyjaźń łączy naród polski z narodem radzieckim. Budujemy przyjaźń z narodem niemieckim. Kościuszko i Fryderyk Schiller jednego dnia jednym dekretem mianowani byli obywatelami rewolucyjnej Francji. Nie ma żadnej „wrodzonej”, „naturalnej” nienawiści między narodami, nawet jeśli ich wspólne dzieje tak są pełne wojen i burz, jak nasze dzieje: polskie i niemieckie.

Czy przyjaźń nasza, Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jest naturalna, słuszną i sprawiedliwą? Spójrzcie na wsieklność wspólnych naszych bońskowatykańsko-waszyngtońskich wrogów. Oni się martwią tą przyjaźnią. To znaczy, że dobra, pożyteczna, twórcza i prawdziwa jest ta przyjaźń.

TAK się kończy rok 1952 — trudny i zarazem dobry rok nowej Polski. Rok wielkich przemian ustrojowych, rok Konstytucji, wyborów, powołania nowych władz państwa ludowego, rok ciężkiej pracy, otwarcia wielu nowych fabryk i utworzenia wielu nowych spółdzielni produkcyjnych, zbudowania wielu nowych domów i szkół, rok zarysowania perspektyw nowego planu, sięgającego aż po rok 1960, rok, w którym nie tylko położono fundamenty, ale zobaczono już pierwsze nadziejne konstrukcje Pałacu Kultury i Nauki. Mija wielki rok, szczęśliwy, trudny, owocny rok.

Nadchodzi nowy rok — witamy go serdecznie, pełni sił i zapachu. Z głębi serc miłujących Ojczyznę zwracamy się z życzeniami do całego świata. U progu roku kopernikowskiego składamy światu życzenia słowami Kopernika z jego poematu „Siedem gwiazd”:

„A pokój ludziom — pokój miłującym szczerze”.

JAN SZELĄG



MURANOWSKIE WIECZORY

ARTUR MIEDZYRZECKI

„Wyjdzie stu robotników,
Oborzą miasta grunt,
Wyrzucą łokieć — funt —
Kłatki, pełne wróblików,
Otworzą — i przed tęczą
Ptaszki na wolność puszcza...
Muzyka nieustanna:
Wolność! Wolność! — Hosanna!”

Mój sąsiad czytał to niedawno, zdumiony i zachwycony. Siedział na krześle, trzymał w ręce antologię „Wiersze, które lubimy”, kilka razy otwierał ją na stronie 168 (tam zaczynał się Słowacki) i znowu odczytywał:

„Wyjdzie stu robotników,
Oborzą miasta grunt...”

Mieszkam na Muranowie. Przed moim oknem, podobnie jak przed oknem sąsiada, domy wyrastają w tempie, do którego nie wymyślono jeszcze przyśpieszenia. Nocą place budowy świecą w blasku reflektorów, jak okręty zakotwiczone w wielkim porcie. O godzinie drugiej trzydzieści palnik acetylenowy staje się na muranowskim niebie gwiazdą pierwszej wielkości. Nieco dalej, po drugiej stronie Nowolipki, od świtu rozpoczynają się roboty ziemne, zbrojenie ogromnego terenu osiedla. Wizja Słowackiego podeszła do naszych okien, wzruszyła na nowo i inaczej.

Spędziliśmy później niejedną jeszcze wieczór i stało się naszą tradycją odczytywanie fragmentów literackich zawierających zapowiedź przyszłości. Szukaliśmy pilnie, czytaliśmy na zmianę, a kiedy odnajdywaliśmy w uskrzydłonej wizji nasz dzień dzisiejszy — była to dobra i duża radość.

Znaleźliśmy w naszej wieczornej lekturze wszystko niemal, na co niedawno głosowaliśmy, wszystko, co budujemy i do czego zmierzamy. Znaleźliśmy nadzieję dawnych pokoleń, marzenie gniebionych i tropionych, biłych i głodnych. Gdyż nigdy nie była wizja przyszłości dziełem szlachetnego szaleństwa i sprawą przypadku. Wynikała z ludzkiej doli i ludzkiej krzywdy, z chłopkiego lamentu i nędzy czarnych przedmieść.

Pisarz, który mówił lud, nie zawsze znał ekonomię polityczną i prawa historycznego materializmu. Zawsze słuchał jednak głosu serca i głosu nadziei; i pisał o niej, gdyż była jedynym światłem królestwa mroku.

Takie było jedno światło naszych wieczorów. A drugie światło? Drugie było rzeczywiste — szło przez wieczorne szyby od muranowskich reflektorów i padało na kartki książek.

Czytaliśmy wtedy:

„I kmiencie i inisie nieślacheckiego stanu ludzi pospolicie ślachta ma za psy... A przeto kmiencie i wszyscy poddani od takiego tyraństwa mieliby być wyswobodzeni.”

Czytaliśmy:

„Nie godzi się zapomnieć ubogich komorników i komornic tak we wsiach jako też i w miasteczkach mieszkających...”

Z serdecznej pamięci o ludzkiej krzywdzie i dbałości o przyszłość narodził się w 150 lat później, w roku 1790, „Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około roku 1735 napisany przez J.P. Sterne w języku angielskim, potem przełożony po francusku, a teraz na koniec po polsku”.

*) Andrzej Frycz Modrzewski — „O poprawie Rzeczypospolitej” (1551).

**) Szymon Starowolski (1583—1656) — „Rok sumienia złego”.

Autorem tego pamfletu był Franciszek Salezy Jezierski: „Chłop w Polsce — pisał — ma tylko przymioty duszy i ciała, ale zaś osoba jego nie jest człowiekiem, ale rzeczą własną szlachcica, który będąc panem jednowładnym chłopą, może go przedawać i kupować, obracać na swój pożytek, tak jak bydło sprzedaje się z folwarkami i z opiami inwentarzów...” „Szlachta — kończył Jezierski — jest stwórczynią nierządu, ucisku, ohydy, która wyzuła chłopów z prawa człowieka, a mieszczańską z prawa obywatela...”

Obrazom poniżenia — takim jakie odnajdywaliśmy u Staszica i Jędrzeja Śniadeckiego — towarzyszył w tym samym okresie wiersz wzywający do walki. Towarzyszyła im również wizja lepszego jutra:

„Już przesąd w wieżach ciebie
trzyma coraz słabiej.
Już masz swego tyrana, czegoż
czekasz? Zabij!”

— wołał anonimowy utwór „Do Ludu”.

A Stanisław Trembecki w wierszu o balonie, co „z wiatrami w zapasy chodzi”, zapowiadał nowy krajobraz ziemi przeobrażonej ludzką pracą. Utwór nabrał dzisiaj nowego blasku. Człowiek, który jutro zmieni bieg Wisły i uruchomi potężne elektrownie, a dzisiaj buduje nowe miasta i nowe wsie, człowiek naszych czasów wdzięczny jest pocie sprzed dwustu prawie lat nie tylko za piękno słowa. Wdzięczny mu jest również za to, że wierzył w ludzką myśl i ludzkie dionie. Z takiej bowiem są właśnie ufności strofy Trembeckiego:

„Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem,
Rozum człowieczy wszędy przechodzi
Niezlomny pracą i czasem.

Tymi on wsparty, tory wędrownie
Burzliwym morzom poruczył,
Wydarł z otchłani kruszce kosztowne
I skakać głązy nauczył.

Zbываютъ дикей мочы живиоты
Подъ его dzielnymъ rozkazemъ,
Leniwe woda opuszcza doły
A góry ścielą się płazem...”

Nasze muranowskie wieczory nie utrzymywały bynajmniej pisarskiej chronologii. Kraszewski sąsiadował z Kollątajem, Żeromski z Kamińskim i Romanowskim, Frycz Modrzewski z Sewerynem Goszczyńskim i Jakubem Jasińskim. Któregoś dnia odczytaliśmy na nowo — za Bolesławem Prusem — mickiewiczowską ody. W artykule „Oda do młodości”, napisanym w roku 1905 na wieść o rewolucji rosyjskiej, Bolesław Prus pisał:

„Młodość, dzięki nieustannemu dopływowi energii, chce i musi zużywać ją, choćby w niebezpieczeństwach...”

„Wyjdzie z zamętu świat ducha, młodość go pocznie na swoim łonie...”

„Ta młodość — rozumna szaleń — której zapal tworzy cud...”

Podobnie troskliwą myśl o latach przyszłych znaleźliśmy w liście wystanym z Bad Nauheim 13 maja 1905 roku. Maria Konopnicka pisała do Elizy Orzeszkowej:

„Moja najmiłsza, droga!

„Nie piszę, nie mogę pisać! Kto wie, czy bym nawet mówić mogła, gdybym była z Tobą? Myślę, że nie. Przytuliłabym się tylko do Ciebie i wziąwszy w

dłonie Twoją drogą rękę milczałabym, a Ty byś i tak wiedziała, co myślę, co czuję...”

„Może milczyłybyśmy obie słuchając, jak przechodzi — nie! — jak cwałuje czas nagłać opóźnione sprawy do biegu, do biegu... Dalej! dalej! Wszystko musi stanąć u mety w jakiejś rocznej godzinie. Wszystko, co jest, umykać z drogi temu, co ma być i będzie. Kto zwłóczył, kto stał, kto w nie-ruchomość uwierzył — idee, państwa, narody — musi teraz na skrócenie szyi dopędzać mety owej, choćby paść. I pada. Świsł, trzask, tętent gwałtownych jak walkirie godzin. A wszystkie z sobą coś niosą — coś, co się staje, co chce żyć, co musi żyć, i coś — co umiera. Więc byłoby tak, żebyśmy milcząc słuchały. Może — czekały. Chciałabym doczekać — nie już dnia — ale pierwszego leciuchnego obrzasku sprawiedliwości. Ale pewno nie doczekam, bo się mam fatalnie.

„Żyć więc i doczekać chociaż Ty, najdroższa, boś pracowała mocno, górnice i szlachetnie wraz — z czasem! Ty jesteś sama częścią tego pędzącego sprawy świata czasu.

„Ogromnie, najtkliwiej ściskam Cię i całuję, Ty droga!

M. Konopnicka.

Później wróciliśmy do Prusa, otworzyliśmy „Lalkę” i wybraliśmy się na Powiśle roku 1878:

„Wokulski doszedł do brzegu Wisły i zdumiał się. Na kilkumorgowej przestrzeni wznosił się tu pagórek najobrzydliwszych śmieci, cuchnących, nieomal ruszających się pod słońcem, a o kilkadziesiąt kroków dalej leżały zbiorniki wody, którą piła Warszawa.

„O, tutaj — myślał — jest ogniwo wszelkiej zarazy. Co człowiek dziś wyrzuci ze swego mieszkanka, jutro wypije...”

„Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórzka spozstrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemających na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa. Zdawało się, że to nie ludzie, ale widma ukrytych tutaj chorób, które odziały się w wykopane w tym miejscu szmaty...”

„Strach, co się tu stanie za kilka generacji... A przecie jest proste lekarstwo: praca...”

Ze Stefanem Żeromskim znaleźliśmy się w kręgu naszych spraw dzisiejszych; budownictwa, które powstaje w oczach, planów, które mobilizują i będą wokół siebie mobilizować miliony obywateli naszego kraju.

Oto żołnierska wola Sułkowskiego — testament dla bojowników spod Lenino:

„... Kiedy przyjdziecie na ojczystą ziemię, macie nastawić bagnety przeciwko spróchniałym prawom podłości i przemocy człowieka nad człowiekiem...”

„... Napiszę konstytucję dla mojego narodu, powołam w duchu do obrony wszystkich synów ojczyzny bez różnicy stanu i pochodzenia — ludzi od pług, żywicieli kraju, wyrwę z jarzma — pokruszę przegierze stojące po wsiach mojego świata...”

Oto Nowa Huta:

„... Patrzył w daleką nizinę, w zagłębie krakowskie... We mgle marzenia widział je pokryte czarnym budowaniem wież do sztolni węglowych, zespo-

łem kopalń, kominami fabryk, łańcuchami osad robotniczych... Osaczały oto prastary Kraków, rodzica polskiej potęgi, jak okiem sięgnąć ze wszech stron. Skupiały siłę ludową, wychodzącą z wiosczyn, dawały bezrolnej i małorolnej nędzy w ręce pracę, zamożność, wiedzę, siłę i moc pospólną a nieugiętą...”

Oto nowe dzielnice Warszawy — MDM i Muranów, Mirów i Park Kultury:

„Przygotują się architekci, inżynierowie i artyści, ażeby wielkie, zaniedbane, bezładne miasto opasać nieprzerwaną linią ogrodów... Warszawa nowoczesna winna dążyć do pobudowania elektrycznych kolei, które by wywoziły ludność... do przepięknych lasów wilanowskich, natolińskich... naturalnych parków wielkiego miasta...”

Oto rzeczywiście dzisiaj program narodu w dawnym marzeniu pisarza:

„Ujście nareszcie brzegi wiślane plemiu w jedno zrosnięte.

„Obwalać je wreszcie niezłomnymi tamami, zabezpieczyć na zawsze złotodajne niziny, wielkimi pracami wymieścić nierówności dna, rozległe miedzi, bruzdy i wzgórza, fałdy i jamy ze stromymi ścianami, studnie kilkudziesięciu głębiny wywiercone przez nagłe wiry.

„Powiększyć i unormować głębokość żeglowną, ułatwić ruch łodzi.

„Zagłębienie na Wiśle odwieczna, bezpłodna łacha i odwieczny rokroczny zator — czterokrotna co roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczycielsko i obłądnie chodząca masa wód...”

Oto wreszcie stara polska ziemia nad Bałtykiem na zawsze zjednoczona z macierzą:

„My przychodzimy, gdy już rzesze słowiańskie pochłonięte zostały i zniszczone na wieki.

„Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady uchronić...”

„Przybywszy na to jałowe wybrzeże budujemy portowe paliszcza, wprowadzamy w ruch nowe koleje...”

„Strzały ze statków wojennych łoskot roznoszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępicielea nigdy tu już nie poстане.

„Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy.

„Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój.

„Przynosimy dobro i pracę...”

Spisałem muranowskie lektury, nie troszcząc się zbyt o kolejność autorów. O jednym przecież pamiętam od początku i od początku zostawiam za cytowania go na sam koniec. Myślę o Henryku Kamińskim. W jego „Katechizmie demokratycznym”, który ukazał się w roku 1845 w Paryżu, przeczytaliśmy:

„... Powstanie i odrodzi się Polska, ale taka, jakiej w ostatnich wiekach nie było, a jakiej nam trzeba — Polska Ludowa — oparta na równości i wolności. Ta będzie Ojczyzną prawdziwie dla wszystkich i prawdziwą matką dla ludu, który silnymi swoimi barkami wywyższyć ją z niewoli, a dla niej go-tów będzie wszystko poświęcić.

„... Polska... ludowa, oparta na Wolności i Równości, poczynająca swoje istnienie od Rewolucji Społecznej i uposażenia Ludu ziemią, będzie miała tylu obrońców gorliwych, ilu synów liczy...”



Henryk Kowol, racjonalizator z huty „Kościusko”, jest posłem na Sejm.

DZIEJE PISANE STAŁĄ

150 LAT HUTY „KOŚCIUSZKO”

WILHELM SZEWCZYK

JESIENIĄ 1789 ROKU przechadzali się po berlińskim Tiergartenie dwaj wytwornie ubrani panowie, rozprawiając z ożywieniem, wymachując laseczkami, nie odpowiadając nawet na ukłony znajomych. Starszy z nich miał na sobie czerwony mundur z wysokim białym kołnierzem, pod szyją rozpięty, co pozwalało mu związać misternie i rozwinąć seledynową jedwabną chustkę. Guziki munduru nosiły znaki górnicze: skrzyżowany młotek i perlik. Młodszy — we wszystkim podobny do swego towarzysza — miał surdut podobny w kroju do munduru tamtego, tylko że bardziej kolorowy, obwieszony sznurami jak akselbantami.

— Panie ministrze — mówił młodszy — Górny Śląsk nie jest dla mnie ziemią nieznaną, od dziesięciu już przeszło lat pomnażam dobro królewskie. Moje plany pozwoliły utworzyć jednolity przemysłowy obszar...

— Panie inspektorze von Reden, nikt nie wątpi w twoje talenty, a ja, jako twój wuj, najlepiej je oceniam. O cóż

jednak chodzi? W miejscu, w którym stykają się osady Świętochłowice i Chorzów, muszą zostać przyspieszone prace nad powstaniem nowej huty. Królewskiej huty! Wszędzie stał idzie w górę, my jednak utrzymamy jej dotychczasową cenę.

— Wiem, panie ministrze von Heinitz. Robotnik jest tani.

— A najtańszy właśnie tam. W Gliwicach już zasmakował pieniędzy, tu wystarczy mu jeszcze kromka chleba...

Minister von Heinitz przesunął ręką po kokardzie, zamykającej na szyi biały warkoczek peruki. Von Reden uczynił ten sam ruch w kierunku ciemniejszej nieco peruki. Dwaj krewniacy porozumieli się.

...Czy istotnie tak brzmiała ta berlińska rozmowa na temat powstającej nowej huty? Późniejsze notatki Heinitza stwierdzają, że nigdy o niczym innym nie rozmawiał z Redenem, jak o podobnych sprawach. W roku 1801 — 13 rok przed uruchomieniem huty „Królewskiej”, dzisiejszej huty „Kościuszkowej” —

Heinitz chlubił się, że śląskie żelazo jest najtańsze. W Dreźnie za cetnar żelaza saskiego płacono 8 talarów i 17 groszy, w Hanowerze za cetnar żelaza z gór Harzu żądano 7 talarów i 16 groszy, w Hamburgu cetnar szwedzkiego kosztował prawie tyleż — tymczasem śląskie żelazo w Berlinie kalkulowało się po 5 talarów i 10 groszy za cetnar! W jaki sposób udało się utrzymać tak niską cenę? Heinitz pisze: „Miałem na Górnym Śląsku doskonałych, oddanych urzędników, miałem wielu urzędników” — co należy przetłumaczyć na: „Miałem wielu naganiaczy, miałem oddaną żandarmerię”. Bo już wtedy — prawie równocześnie z powstawaniem dzisiejszej huty „Kościuszkowej” — Reden, młody krewniak Heinitza, miał kłopoty z robotnikami. Ślady tych kłopotów można dzisiaj odszukać zaledwie w legendzie, w opowieści ludowej, bo archiwalne dokumenty wrocławskie i berlińskie chyba przepadły w minionej wojnie. Oto krążyła po Śląsku opowieść o hutniku Zawadzkiem, który wykopał dół, napełnił go ogniem, przygotowywał w ten sposób zasadzkę na Redena... Ten sam Reden miał jeszcze w latach międzywojennych, a więc polskich już, okazały pomnik w Chorzowie!

Wróćmy jednak do historii. Żelazo było tańsze. Robotnik był tańszy. No więc — budujmy. Oto jak wyglądało w skrócie rozumowanie Heinitza. W r. 1802 — w roku otwarcia huty — Heinitz umiera. Reden umyślną pocztą posyła do Berlina list z wyrazami oddania od robotników. Na liście jednak podpisał się obok Redena jedynie inżynier Baildon, Anglik importowany przez Redena na kontynent.

Na budowę dwóch wysokich pieców zapotrzebowano 8.494 talary reńskie, ogółem początkowy budżet huty wyniósł 32.113 talarów reńskich. Ale choć na same tylko stajnie końskie postanowiono wydatkować 942 talary, budownictwo mieszkaniowe dla robotników huty przedstawiało się od początku opłakanie. W owym wspaniałym budżecie zapisano na ten cel zaledwie trzy tysiące talarów, a więc nieco więcej niż przeznaczono na budowę dwóch składów rudy.

Pilnie przypatrują się budowie huty górnośląscy magnaci. Donnersmarckowie świerklanieccy zapraszają się sami na narady inżynierskie w hucie. Doświadczczenia swoje wykorzystują później przy budowie wielkiej huty „Donnersmarcka” w Zabrze.

W kwietniu 1807 r. stu robotników huty wybiegło przed bramy na powitanie małego oddziału wojsk polskich. W ich osobach lud, rdzennie polski, jeszcze nie zniemczony, jawnie manifestował, jakiej był narodowości. Oficerowie Treпка i Morstin kwaterowali na terenie huty. „Francuskie i polskie pieśni narodowe, ludowe pieśni śląskie, okrzyki i wiwaty — słyszano się wówczas nawet w Chropaczowie” — napisze z właściwą ówczesnej epoki przesadą wrocławska gazeta. Ale niepokoje polskie nie miały

jeszcze trwałych ram. Ucisk nie był jeszcze uświadomionym uciskiem kapitalistycznym, a ostra germanizacja przysłała później.

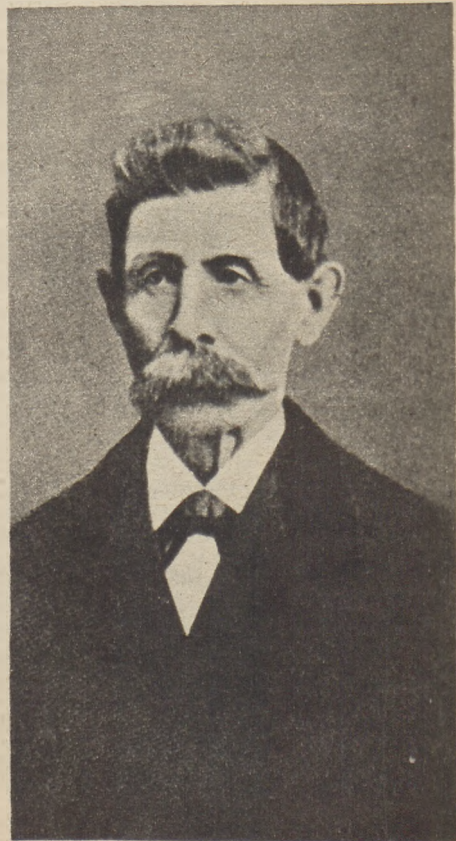
Znowu — zgodnie z redenowskimi planami „jedności przemysłowej Górnego Śląska”, zwłaszcza, że Reden po zmarłym wujaszku objął fotel ministra górnictwa — huta wprzęgnięta została w pruski system zbrojeniowy. Pomagając gliwickiej fabryce broni, zapisuje na swoje konto również owe 28 tysięcy bomb, granatów, kul armatnich, wyprodukowanych w Gliwicach w przeciągu czerwca i lipca 1813.

Niemiecka historia huty to historia urzędników, dyrektorów; później — gdy huta przeszła w ręce prywatne — również historia właścicieli. Heinitz utworzył w Berlinie specjalną szkołę, która kształciła narybek urzędniczy i techniczny dla hut górnośląskich. Dopiero za Bismarcka pomyślano o awansie dla miejscowych ludzi. Jednakowoż awans ten był możliwy jedynie za cenę wyrzeczenia się narodowości, języka, często i przeszłości robotniczej.

Huta produkuje towar sławiony i ceniony. Produkuje go rękami robotnika. A oto, co o życiu robotników ówczesnej huty „Królewskiej” napisał odważny wrocławski komiwojażer-dziennikarz, drukując to we wrocławskim dzienniku:

„Widziałem ludzi z zapadniętymi pierśmi, z oczyma wyżartymi przez ogień, widziałem dzieci dźwigające ciężary nad siły, i kobiety, nawet ciężarne, z trudem spełniające polecenia majstrów. Widziałem, jak ludzie ci jedli czarny, żarnowy

Julian Ligoń, poeta ludowy i robotnik huty „Królewskiej” z czasów Bismarcka



Widok huty „Królewskiej” z 1810 roku. Uruchomiono ją w 1802, zatrudniając polskich górników na najniższych w ówczesnych Niemczech, głodowych płacach.



Jak pokazuje miedzioryt Knippla z 1860 roku, na bezlitosnym wyzysku polskich górników Królewska Huta szybko rozrosła się w wielki ośrodek przemysłowy.

chleb bez omasty i popijali to lura, której nie polknąłby żaden grafowski pies”.

Te słowa wypisać można było na każdym nagrobku robotnika huty, ofiary ucisku fiskalnego. A huta nazywała się przecież — „Królewska”...

JAK ROBOTNICZY PARYŻA

O grafie Hugonie Hencklu von Donnersmarck z linii bytomskiej (katolickiej), w odróżnieniu od ewangelickiej linii późniejszych książąt na Świerklańcu koło Tarnowskich Gór — które to różnienie nie ma żadnej prawie wartości dla badacza stosunków społecznych na Śląsku, a jest tylko ciekawostką dla heraldycznych przewodników gotajskich — otóż o owym Hugonie mówiono po śmierci, że umarł dobry graf, który nie miał w ogóle wrogów. Zmarły graf zajmował się przede wszystkim końmi i był trochę, jak to się mówi, stuknięty. Ale syn jego, także Hugon, zapamiętał w młodości swej uczący się języka polskiego, postanowił świadomie mnożyć dochody. Znał się na hutnictwie, toteż w tym kierunku rozwinął swój spryt. Ogromny fideikomis ziemski — niesprzedajny, niepozbywalny, niepodzielny i dziedziczny w łonie jednej rodziny — oraz kilkadziesiąt hut i kopalń złożyło się na sumę miliona trzech tysięcy talarów. Za tę sumę hrabia Hugon kupił hutę wraz z przyległościami, a więc razem z kopalnią „Król”, od fiskusu, czyli od skarbu państwa.

Hrabia Hugon, podobnie jak jego kuzyn świerkłański hrabia Gwidon, miał dobrego nosa. Padła Francja, Prusy krzyczały „hosanna” na cześć wielkich kapitałów, Krupp przechadzał się pod rękę z Bismarckiem w tym samym Tiergartenie, w którym kiedyś analizowali plany huty „Królewskiej” Heinitz i Reden. Toteż nie minął rok, a hrabia Hugon zwołuje wielką radę:

— Panowie — oświadcza — ojczyzna domaga się współpracy wszystkich wielkich przemysłowców Niemiec. Idzie piękna epoka pieniądza. Proponuję więc następujące zmiany w organizacji huty „Królewskiej”...

Tak zrodziła się koncepcja spółki akcyjnej hut „Królewskiej” i „Laury”, także wówczas należącej do Donnersmarcka, dzisiejszej huty „Jedność”. Ta dygresja o ojczyźnie była jedynie zwrotem krasomówczym. W rzeczywistości bowiem hrabia Hugon zarobił na tej przemianie 5 milionów talarów, nie licząc dochodów osiągniętych w ciągu całorocznej gospodarki w hucie.

Francja padła, ale we Francji przecież żyła i biła się Komuna. Wrócili z wojny robotnicy. Ferment rewolucyjny nie ustał, ogarniał coraz szersze kręgi ludzi pracy. W Królewskiej Hucie — tak nazywało się nowe miasto wyrosłe na przedpolach Chorzowa i Świętochłowic — wychodziła polska, antybismarckowska gazeta Karola Miarki. Robotnikiem huty był kowal Juliusz Ligoń. Miarka pisał ostre polemiczne artykuły przeciwko Bismarckowi, przegradzając je pobytami w więzieniu, Ligoń pisał wiersze o języku polskim, o miłości ojczyzny polskiej. Powstaje polskie towarzystwo „Kasyno”. Ligoń agituje tutaj za sprawiedliwością narodową i społeczną. Miarka pisze broszurę „Przyjaciel robotników”, pochwalając w niej strajki, jako godziwą samoobronę przed wyzyskiem. Iskry padają na zapalny grunt. Wielki strajk hutniczy i górniczy przeradza się w krótkotrwałą wprawdzie, ale jakże wymowną „Komunę Królewskiej Huty”. Oficjalnie nie nosi ona wprawdzie tej nazwy, ale kombatanicy z pól francuskich ustawicznie przypominają: Rządźmy się tak, jak robotnicy Paryża...

Czego tam nie było w owych dniach! Były cegły i okrzyki antyrządowe, były czerwone sztandary, była nieudana interwencja proboszcza i udane wiece, była wspólna kuchnia, był porządek. Gdyby nie kawalerzyści gliwiczcy, długo by rządziła nieuzbrojona władza górniczo-hutnicza w Królewskiej Hucie.

Rewizja w mieszkaniu Ligionia, który nawet nie należał do rewolucyjnej grupy przywódców strajku i zamieszek, była surowa i ostra. „Zabrano wszystkie polskie książki, wrzucano je jak kartofle do wory — pisze Ligoń — przy czym pan komisarz wymyślał i kłął, co mu ślina na język przyniosła, na żonę hutnika zaś wrzeszczał „verfluchte alte Hexe”. Razem z wieloma innymi wyrzucono Ligionia z pracy. Gniewne są jego słowa, wydrukowane zaraz potem w „Kurjerze Poznańskim”, słowa, za które przyjdzie mu stanąć raz jeszcze przed sądem: „Krzyczycie, panowie, przed światem, żeśmy są niebezpieczni... ale to właśnie przeciwnie, wyście są niebezpieczni, bo wypędzacie takich z roboty, którzy pocztują pracą żywią siebie i rodzinę, i chcecie, żeby chodzili na żebraczkę”.

Taki był jeden ze wspanialszych zrywów hutników chorzowskich, jeden z piękniejszych rozdziałów huty „Kościszko”.

BYLI TAM: JULIAN MARCHLEWSKI I RÓŻA LUKSEMBURG

Fotografia członków rady nadzorczej huty w latach dziewięćdziesiątych jest przykładem dość wiernej fotografii historyczno-klasowej. Dziewiętnastu panów w melonikach i kapeluszach, w secesyjnych pelerynkach i paltocikach, z krawatami na wysokich sztywnych kołnierzach — ustawiło się lub usiadło na tle rusztowań hutniczych. Gdzieś w górze na galerii stoi grupka zamglonych postaci w ubiorach hutniczych: to robotnicy. Panów i robotników oddziela żelazna galerijka. Nie jest to jednak różnica poziomów...

Jeżeli w albumie historycznym huty znalazła się tego rodzaju fotografia, powinna się w nim znaleźć przede wszystkim fotografia Juliana Marchlewskiego. Marchlewski, w pelerynce, w takiej samej zapewne, jaką ma na grupowym zdjęciu radca górniczy Behrens, przyjeżdżał często do hutników Chorzowa na przełomie dwóch wieków. Był tu wysłannikiem SDKPiL oraz autorem cennej rewolucyjnej pracy o stosunkach społeczno-ekonomicznych na ziemiach zaboru pruskiego. Obok niego — w długiej obcisłej spodnicy, w kapeluszu głęboko osadzonym na czole — przyjeżdżała tu Róża Luksemburg. Chorzów był ostoją socjaldemokracji — obok Zabrze i Świętochłowic. Huta miała opinię niespokojnej, o czym dobrze wiedzieli militariści pruscy, zwłaszcza w okresie pierwszej wojny światowej, kiedy to w oficjalnych raportach piętnowano sabotaże robotników.

Wystąpienia, demonstracje hutników chorzowskich w listopadzie 1918 i w styczniu 1919 mają dość ścisły związek z tymi odwiedzinami. Nazwisko Marchlewskiego pojawiło się bowiem raz jeszcze, tym razem w przemówieniach starszych robotników. Wystąpienia z lat 1918 i 1919 były równocześnie początkiem nowej epoki w życiu huty, w życiu klasy robotniczej Górnego Śląska.

Wolność, która zapanowała na skrawku Górnego Śląska, była gorzka; dla wielu miała ona smak chleba więziennego lub po prostu była siostrą głodu. KPP na terenie huty aktywizuje robotników, uświadamia ich co do znaczenia wspólnej walki o poprawę stosunków społecznych, o przełom. Józef Wierzyński, działacz i polityk, przyjeżdżał często do robotników chorzowskich.

Pracował wtedy w hucie: „Kościszko”, jeszcze zwaną hutą „Królewską” młody robotnik, Konrad Piecuch. Był jednym z tych oddanych członków KPP, którzy gotowi byli na każde wezwanie Partii, którzy nauczyli się walczyć z kapitałem i swoją wiedzę o walce, o strajkach, przekazywali chętnie współtowarzyszom. Policja polska uważała Piecucha za uciążliwego cudzoziemca, ponieważ będąc Polakiem, stałe swoje miejsce zamieszkania miał na terenie Śląska Opolskiego w małej wiosce Potempa. W roku 1925 Piecuch



Franciszek Imiolczyk, przodownik huty „Kościszko”, dawnej huty „Królewskiej”, przed spustem pobiera z pieca płynną stal, aby poddać ją próbie jakości.

zmuszony jest uciekać przed aresztowaniem do swojej wsi. Tak jak w Chorzowie dopomagał KPP, tak tutaj stanie się od razu czynnym członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. 10 sierpnia 1932 w małej, cichej wiosce banda hitlerowska zamorduje Piecucha w oczach matki i brata. Jeszcze dzisiaj możecie w księgach parafialnych znaleźć notatkę miejscowego proboszcza: „Von SA-leuten ermordet”. Proces przeciwko mordercom hutnika chorzowskiego odbywał się w Bytomiu. Morderców bronił przysły kat Polski, Hans Franck. Udało mu się, co już wtedy nie było trudne, wybronić morderców od kary śmierci.

Krew hutnika Piecucha spadła także

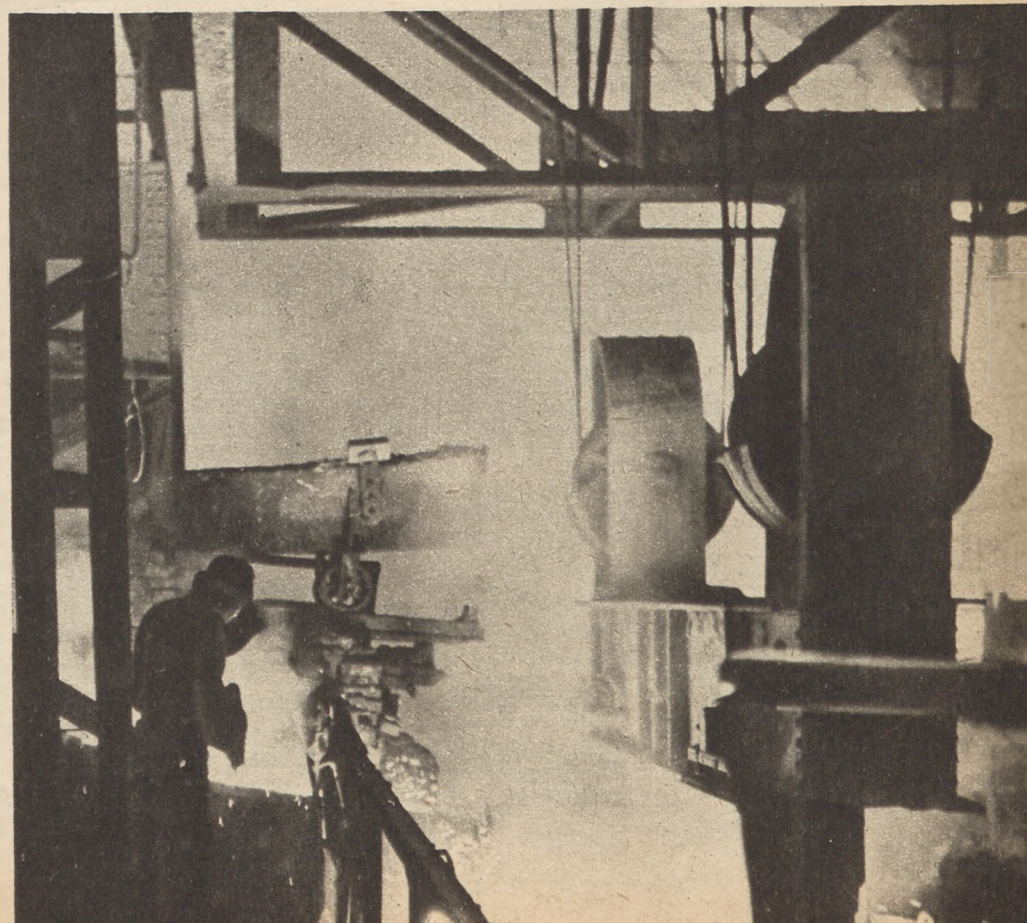
na głowy tych, którzy wówczas rządzili hutą „Kościszko”. Lata międzywojenne obfitowały w przykłady coraz ostrzejszego wyzysku i prześladowania robotników huty. Jedną z piosenek tak zwanych elwrowskich, to znaczy należącą do repertuaru wędrownych śpiewaków podwórzowych, bezrobotnych górników lub hutników, mówiła:

W tej chorzowskiej hucie dyrektorzy
siedzą,
jak chcesz mieć robota, to ci „Raus!”
powiedzą...

Narastający faszyzm po obu stronach granicy, granicę tę właściwie znosił. Nadchodził koniec Polski sanacyjnej,

Dokończenie na str. 21

Malowniczy moment spustu wytopionej stali z pieca, który wyrzuca z siebie potok ognistej lawy, stygnącej później w wielkich blokach idących do dalszej przeróbki.



Dziś lud stanął na wyżynie,
Dzikość obca mu...
Podaj rękę, Rosjaninie —
Ja Ciebie liubliu!

Ojczyzna lody, drgną opoki,
Czarta schłona wieczne mroki,
Runie kłamstwa gmach,
Herod padnie przed Chrystusem —
Gdy pod ramię z wolnym Rusem
Pójdzie wolny Lach!
W każdej myśli, w każdym czynie
Jedność tam i tu...
Podaj rękę, Rosjaninie —
Ja Ciebie liubliu!

Fragment ocalałego rękopisu.

WIKTOR GOMULICKI
(1848 — 1919)

Rosjanom, którzy przyznają się do braterstwa z Polakami

Kur już zapał na świtanie,
Słońce błyska z chmur;
By dnia uczcić narodziny,
Nasze pieśni, nasze czyny
W jeden zlejmy chór.
Czyż nie bratnia krew w nas płynie?
Czyż nie znamy chrztu?...
Podaj rękę, Rosjaninie —
JA TIEBIA LIUBLIU!

Któż rozdzielił nas przed laty?
Czynownicy i żołdacy,
Starej Rosji pleśń —
Ale mur ten się rozkruszy,
Gdy popłynie z bratniej duszy
Zmartwychwstania pieśń.
Grzeszne Wczoraj niechaj zginie
Na kształt złego snu...
Podaj rękę, Rosjaninie —
JA TIEBIA LIUBLIU!

Ze tak długo spór trwał stary
Któż przed Bogiem winien kary?
Nie my, i nie wy!
Hurkowego ścisk kagańca
Wart był lotrostw Samozwańca —
Tu wilki, tam — psy!
Dziś lud stanął na wyżynie,
Dzikość obca mu...
Podaj rękę, Rosjaninie —
JA TIEBIA LIUBLIU!

Prysną lody, drgną opoki,
Czarta schłona wieczne mroki,
Runie kłamstwa gmach,
Herod padnie przed Chrystusem —
Gdy pod ramię z wolnym Rusem
Pójdzie wolny Lach!
W każdej myśli, w każdym czynie
Jedność tam i tu...
Podaj rękę, Rosjaninie —
JA TIEBIA LIUBLIU!

JULIAN TUWIM

„JA TIEBIA LIUBLIU”

WIKTOR GOMULICKI

I JEGO WIERSZ DO ROSJAN



Wiktor Gomulicki

PO SZESCIU przeszło latach niełatwej pracy oddałem wreszcie do druku dwutomową „Księgę wierszy polskich wieku XIX” — antologię poświęconą przede wszystkim poetom zapomnianym, a na przypomnienie zasługującym. Ponad sto czterdziestu nazwisk zawiera indeks autorów w „Księdze” reprezentowanych, a nie wątpię, że olbrzymia większość przyszłych jej czytelników stwierdzi, iż po raz pierwszy słyszy o... stu co najmniej. Nie zawahałbym się nawet podnieść tej liczby do stu dwudziestu... Ale znać poetę tylko z nazwiska, ze słyszenia, to tyleż co nie znać go wcale. Gdyby przyszło do statystyki czytelników naszej dawnej poezji (w tym wypadku dziewiętnastowiecznej), wyniki byłyby jeszcze smutniejsze...

Śród poetów najniesprawiedliwiej zapomnianych jedno z pierwszych miejsc zajmuje Wiktor Gomulicki (1848—1919). Była to niezwykła w naszej literaturze postać, zdumiewająca już samą skalą swego piarstwa, zainteresowań i rozległej wiedzy: liryk, powieściopisarz, nowelista, felietonista, satyryk, tłumacz, historyk, krytyk, publicysta, edytor, bibliofil, archiwista (przeszło 150 tek w zbiorach rękopisów „Ossolineum”) — nie ma bodaj jednej dziedziny w literaturze, którą by się Gomulicki nie parał, a co najważniejsze — że w każdej był świetny. Nie znaczy to, że zostawił same arcydzieła; są wśród jego powieści i nowel lepsze i gorsze, są wiersze słabsze i mocniejsze, są rzeczy błahe i głębokie — ale w każdym z uprawianych przez Gomulickiego rodzajów znajdziemy jakiś utwór — znakomity.

Nie tutaj miejsce na pobieżne nawet skreślenie „sylwetki” Wiktora Gomulickiego. Twórczość jego zasługuje na obszerną monografię historyka literatury albo — póki ona nie powstanie — na rozprawę młodego polonisty. Ilek pięknych, mądrych, szlachetnych, duchem humanistycznym przepojonych wierszy stworzył ten czujny i chłonny poeta! Jakież doskonale w formie, proste, „czytelne”, realistyczne są jego strofy! Oczywiście, że poezja jego jako całość, całokształt nie wytrzyma dziś próby wielkich czasów i przemian, których jesteśmy uczestnikami i współtwórcami. Gomulicki, jak każdy poeta, był synem swego wieku — my więc, synowie nowego wieku, nawet całej przełomowej epoki — my, czy to poeci, czy konsumenci poezji w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, pozostaniemy obojętni na wiele tonów i motywów wielostronnej liry Gomulickiego, inne będą nam obce, w innych znów dosłyszmy nuty brzmiące fałszywie — ale taki jest los przeważającej większości dawnych poetów. Zadaniem naszym i obowiązkiem jest wydobycie z ich spuścizny tych wszystkich elementów i melodii, które harmonijnie, same przez się włączają się w pieśń naszej współczesności i wzmagają potęgę jej brzmienia.

Ten samotnik, nieomal odludek, złamany przeciwnościami losu i tragedią rodzinną, która spotkała go w czterdziestym roku życia (prawie jednoczesna śmierć dwojga dzieci i ukochaney żony), nie mogący znaleźć miejsca w atmosferze burżuazyjno-mieszczańskiej, salonowo-knapiarskiej, „ogródkowej”, rozfikanej „Warszawki” owych czasów, potrafił przecież być w swoich utworach tak bliski życiu i ludziom — ludziom prostym, szarym, upośledzonym... Ze wzruszeniem wspominam wiersz o „Francuzicy”, który był jednym z „numerów popisowych” mego repertuaru deklamacyjnego w latach dziecinnych — wiersz o starej, biednej nauczycielce, której ziemia polska dała ciężki chleb i przytułek na wieczność. Pośród wierszy tego „narodowca” (ale nie endecka!) znajdziemy również przepiękne, realistyczne wiersze o biedocie żydowskiej (słynne „El mo le rachmim”), o żalonych Ewach ówczesnego mieszczańskiego raju („Na huślawce”), o ciężkiej doli warszawskiego proletariusa („Głodnego nakarmić”)... Ten „solidarysta społeczny” (ale znowu nie endecka!) potrafił przecież zrozumieć i tak lapidarnie scharakteryzować groźny sens dziewiętnastowiecznego kapitalizmu. Posłuchajmy „Pytania Pawła”:

*) Przy sposobności zwracam uwagę wydawców na „Ciury” — obraz obyczajów literacko-dziennikarskich „fin-de-siècle’owej” Warszawy. Należałoby tę powieść wznowić.

— Wiek nasz skarbem i ozdobą
W porównaniu z zeszłą dobą,
Z rozwichrzonym średniowieczem,
Co wytrząsa krwawym mieczem!
Zrównanego już dziś świata
Siła pięści nie przygniała,
I zbój-rycerz w swym zamczysku
Już nie szuka w zbrodniach zysku;
Inkwizycji zgasło piekło,
Co niewinnych na stos wleko;
Słaby, gdy go prawa strzegą,
Zabezpieczon od mocnego;
Nie ma tortur ni ćwierćowań,
Pałów, stosów, ukrzyżowań...

Tak Piotr mówił. Paweł spytał:
— A kapital?

Jakąż przejmującą aktualnością tchnie np. „Przekleństwo”, w którym m. in. czytamy:

Przekleństwo wiedzy, która doskonali
Śmierć roznoszące narzędzia!
Na wadze grzechów, nie na zasług szali,
Najwyższy złoży ją Sędzia.

Musi czas nadejść, gdy świat z ramion zerwie
Strój krwawy, jak odzież kata,
Wyprze się sępów, ubroczonych w ścierwie,
W gołębiu poszuka brata.

A kto przyniesie bronie albo plany
Aby mordować wygodnie,
Wiekom na hańbę zostanie podany
I wliczon pomiędzy zbrodnie!

W takich wierszach Wiktor Gomulicki jest nam bliski, dzisiejszy, współczesny — jakby siedł i walczył z nami w jednym szeregu.

Wszystko, co powyżej napisałem, było wstępem do zwrócenia uwagi Czytelników na obok wydrukowany wiersz do Rosjan. Nie będzie przesadą, jeśli stwierdzimy, że od czasu mickiewiczowskiego „Do przyjaciół Moskali” nie mieliśmy w poezji polskiej utworu, który by tak zdecydowanie i jednoznacznie wyrażał szczere i gorące uczucia poety polskiego, pragnącego zgody i przyjaźni z narodem rosyjskim. Wiersz ten, nigdy dotychczas nie drukowany, znalazł się wśród papierów rodzinnych, ocalałych w Gólkowie pod Warszawą, u najstarszego syna Poety, Wacława. Nie potrafimy określić daty powstania wiersza. Może nim być również dobrze rok 1905, jak i 1918, w którym powstał inny, zagubiony dzisiaj utwór Gomulickiego, natchniony tą samą ideą. Ten drugi miał już nie pozostawiające żadnej wątpliwości akcenty sympatii dla Wielkiej Rewolucji Październikowej. Znajdował się on w rękopiśmiennym tomie „Rymów” poety z lat 1916—1918, który był w posiadaniu najmłodszego syna — Juliusza — i spłonął w jego mieszkaniu w r. 1944.

Swojej sympatii — temu „ja tiebia liubliu”, skierowanemu do narodu rosyjskiego, poeta dawał niejednokrotnie wyraz w różnych pracach i wypowiedziach literackich. Jest on tłumaczem (jakim znakomitym!) fragmentu z „Eugeniusza Onieгина”, dalej „Fontanny Bakczysarańskiej” i „Borysa Godunowa” — oba te przekłady nie dochowały się niestety — oraz kilku wierszy lirycznych Puszkina. Również spod pióra Gomulickiego wyszły nie mniej znakomite tłumaczenia z Niekrasowa („Droga żelazna” i in.) i Połonskiego („Kazimierz Wielki”). W pięćdziesiątą rocznicę tragicznego zgonu Lermontowa, Gomulicki poświęcił mu wiersz, którego nikt mu wtedy nie chciał wydrukować. Wiersz zaginął, ale jego dzieje dochowały się w artykule Gomulickiego, ogłoszonym w r. 1895 w petersburskim „Kraju”.

Wydaje mi się, że najlepszym zamknięciem tej notatki będą słowa Gomulickiego, których użył w depeszy do związku pisarzy rosyjskich, wysłanej w setną rocznicę urodzin Aleksandra Puszkina („Kraj”, 1899, nr 22): „Jak wszyscy wielcy poeci, Puszkין podaje jedną rękę swemu narodowi, drugą wyciąga do ludzkości; jak wszyscy wielcy poeci, jest on jednym z ogniw, łączących ludy i zbliżających powszechny pokój i harmonię. Cześć wielkiemu poecie! Cześć Puszkiniowi!”

PIERWSZE SPRAWOZDANIE

EDMUND OSMĄCZYK

W PIERWSZYCH dniach grudnia 1952 roku odwiedziłem w charakterze „sejmowego sprawozdawcy” dwa miasta powiatowe województwa szczecińskiego. W Łobezie po starciu z mieszkańcami „wiec z udziałem posła ziemi szczecińskiej” i mimo starań nie udało się całkowicie „odwiecować” spotkania, natomiast w Stargardzie zobaczyłem po raz pierwszy prawdziwie roboczą naradę obywateli, reprezentujących najszerzej pojętą władzę ludową.

Zanim opowiem o tym pięknym stargardzkim zebraniu przypomnę szereg faktów, znanych powszechnie, ważnych jednak dla zrozumienia w pełni przełomowego skoku, jaki zrobiliśmy w roku 1952.

Przypominam więc, że w roku 1952 odbyła się wielka ogólnonarodowa dyskusja nad prawami zasadniczymi, uwieńczona uchwaleniem Konstytucji.

W kilka miesięcy później odbyła się druga wielka ogólnonarodowa dyskusja nad Programem Frontu Narodowego, uwieńczona wyborem Pierwszego Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Te dwa główne wydarzenia w naszym życiu narodowym w roku 1952 dały nam ogromne pogłębienie świadomości obywatelskiej w narodzie. Niewątpliwie państwo polskie nigdy w swej historii nie posiadało tak wielkiej ilości świadomych — pełnych poczucia odpowiedzialności za przyszłość narodu — obywateli, jak właśnie dziś w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Ta obywatelska świadomość, która wyraża się w jednocielności działań wszystkich uczciwych Polaków we Frontie Narodowym, jest naszą najcenniejszą zdobyczą. Strzec jej najczujniej i rozwijać ją jak najbardziej — oto zadanie ogólnonarodowe.

Zadanie to stało się — rzecz prosta — również przed Sejmem. Nowe treści wymagają nowych form. Stary system parlamentarny nie przewidywał żadnej formy stałej, ścisłej łączności między najwyższą władzą w państwie, jaką jest Sejm, a najszerzymi masami obywateli. „Normalnie” w krajach kapitalistycznych dzień wyborów zdejmuję i wyborcom i posłom na kilka lat kłopot z głowy „wspólnego naradzania się” nad sprawami państwowymi. Piękne hasła wyborczych programów idą w zapomnienie, społeczeństwo odcięte od wpływu na rządy musi się godzić na wszystko, co wbrew wyborczym obietnicom rząd i parlament postanawiają.

Lecz my żyjemy w kraju budującym socjalizm, to znaczy w kraju, w którym rządzą masy pracujące, to znaczy w kraju, w którym słowa muszą mieć i mają pokrycie w czynach. U nas piękne hasła wyborcze nie idą w zapomnienie. Powołany przez Sejm Rząd Bolesława Bieruta jest Rządem realizowania programu, jaki Front Narodowy ogłosił w czasie wyborów. U nas zatem i Sejm musiał zorganizować swe prace tak, aby ogół obywateli mógł brać czynny udział w rządzeniu państwem.

I w tym właśnie celu Sejm wprowadził szereg nowych zupełnie form ścisłej łączności najwyższej władzy państwowej z najszerzymi masami obywateli. Przy Prezydium Sejmu powstało Centralne Biuro Prac Poselskich, utrzymujące w każdym mieście wojewódzkim biura, których zadaniem jest przyjmowanie skarg i zażaleń kierowanych przez obywateli na ręce posłów danego województwa. W Sejmie samym zniknęły dawne kluby parlamentarne, miejsce ich zajęły Wojewódzkie Zespoły Poselskie, z których każdy posiada w czasie sesji Sejmu swą siedzibę w Domu Poselskim w Warszawie, w czasie zaś między sesjami w Wojewódzkiej Radzie Narodowej danego województwa. Nie ma więc już w Sejmie Klubu Poselskiego PZPR czy SL, czy SD. Partyjni i bezpartyjni posłowie tworzą razem Wojewódzkie Zespoły i na ławach sejmowych zasiadają nie według przynależności partyjnej, lecz według ziem, które reprezentują. Każdy Zespół jest obowiązany do stałej, ścisłej łączności z obywatelami swego województwa. Każdy poseł obowiązany jest co najmniej raz na dwa miesiące składać sprawozdanie wyborcom w terenie. Od obowiązku tego zwolnić może tylko Prezydium Sejmu.

Sprawozdawcze spotkania posłów z wyborcami mają na celu nie tylko stałe bezpośrednie informowanie obywateli o pracach Sejmu, ale poprzez dyskusje nad sprawozdaniami wciąganie ich do codziennego współzrzedania krajem. Powie ktoś, że to piękna teoria, ale jak ją praktycznie można zrealizować?

Otóż właśnie jesteśmy u sedna sprawy. W Łobezie Komitet Frontu Narodowego zwołał wiec. W Stargardzie zwołano „zebranie sprawozdawcze z dyskusją”. W Łobezie w sali teatralnej, w Stargardzie w świetlicy warsztatów kolejowych, w zakładzie pracy. W Łobezie najważniejszą częścią było przemówienie posła, w Stargardzie dyskusja. W Łobezie, po próbie zmienienia wiece na naradę roboczą zabrało głos

dwóch obywateli i mówiło o tym, co niesłuszne i złe i jak temu zaradzić.

Gdybym był tylko w Łobezie, byłbym przekonany, że piękna teoria jest praktycznie bardzo trudna do zrealizowania.

Ale że byłem i w Stargardzie odległym o 50 km od Łobezu, nie mam wątpliwości, że to nowe, co zakiełkowało w stargardzkiej dyskusji, ma wielką życiową siłę i ono zwycięży.

Zresztą ocenie sami: Dyskusję rozpoczął obywatel Jonko, pracownik — podobnie jak wszyscy następni dyskutanci — Stargardzkich Warsztatów Kolejowych.

— Owszem — powiedział — mnie się bardzo podoba ta jednomyślność, jaka zapanowała w naszym Sejmie i otwarcie mówię, że zadowolony jestem z tego. Ale poza tym co dobre, pomówmy też o tym, co złe. Otóż jest jedna taka sprawa, która boli bardzo, to sprawa tych niewykopanych kartofli i buraków, które w szeregu wsi pomarziły i zostały w polu. Wczesna zima, przedtem deszcze, to swoją drogą. Ale fakt jest faktem. No więc pragnę się zapytać, kiedy Sejm wyda ustawę zabraniającą naszym pło- nom zimowania na polu?

Następny wstał z miejsca obywatel Szczypior i przylączył się do wywodów swego przedmówcy.

— Jeździłem sam pomagać w wykopkach. Żal było patrzeć na plon, który marniał. Ale organizacja nie była dobra. A skutek? 60 złotych płacimy teraz za korzec kartofli.

Wstał siwy obywatel Fichtel.

— Nie jestem ani taki stary — mówił — ani taki młody, żeby tu tylko narzekać, albo tylko krzyczeć hurra. Co do tych głosów pochwalnych, to owszem, zgadzam się zasadniczo, bo dawniej, przed wojną, posłowie przyjeżdżali do nas strajki łamać, a dziś przyjeżdżają radzić wspólnie z nami nad polepszeniem naszego bytu. Ale nie wydaje mi się, aby nasz poseł, czy Sejm cały, mogli tu nam pomóc, jeśli chodzi o te żale nad pomarzniętymi kartoflami. Wstyd powiedzieć, ale byli przecież tacy, co jak werbowano na wykopki, mówili, że ich to nie obchodzi, oni nie rolnicy, gdzie tam będą jeździć. Ale jak kartofle zdrożały, to piszcza. A ja Wam mówię, że póty będziemy mieli takie kłopoty, póki w nas, w każdym z nas nie będzie mocnego poczucia, że wszystko co w naszym kraju, na polu, czy w fabryce jest naszą wspólną własnością, za którą każdy z nas jest odpowiedzialny. To poczucie musimy wtoczyć w nasze żyły, w naszą krew. Ustawa tu nie pomoże. Tylko my sami.

Na te słowa poderwał się z miejsca obywatel Andrzejewski.

— Dobrzeście mówili, Fichtel. Jak my tu jednomyślnie pracować będziemy, to zrealizujemy wszystko. Sejm bez nas nic nie zrobi. Nasza praca, to jest podstawa i Sejmu i Rządu.

— Zaraz — odezwał się obywatel Gajda. — Nie upraszczajmy. Wróćmy jeszcze do nieszczęśliwych kartofli. Jeździłem na wsie. I co? W jednym nas witano serdecznie, w innych traktowano źle. Dlaczego? Jedni byli uświadomieni, drudzy nie. Wszędzie jest potrzebna świadomość obywatelska. A nie wszędzie jest. Nawet w naszym zakładzie są tacy, co im syfon bije do głowy i wiele przesłania. Dam inny przykład. Żądaliśmy w PRN mieszkań dla naszych pracowników. Dano nam bez drzwi i okien. Zaprotestowaliśmy. To nam święty biurokrata z PRN powiedział: „Co wy tu protestujecie? Nasz inspektor mieszkaniowy sprawdził, więc na pewno jest wszystko w porządku!” Trzeba było uderzyć mocniej, no i zaraz się znalazły mieszkania z drzwiami i oknami. Czy nam potrzebni są tacy urzędnicy w PRN, z którymi trzeba walczyć o najprostszą sprawę? Nie potrzebni. A kiedy ich nie będzie? Kiedy dopilnujemy, żeby ich nie było. I jeszcze dam jeden przykład. Nasz poseł mówił o amnestii, którą Sejm uchwalił, i o tym, że ponad osiem tysięcy ludzi wyjdzie z więzień z ukończoną tam szkołą zawodową. Może któryś z nich przyjdzie tu do nas. Ustawa dała mu wolność. Ale jakim on będzie obywatelem, znowu złym, czy już na zawsze dobrym — zależy będzie w dużym stopniu od naszego doń stosunku. Człowiek każdy żyje nie wśród ustaw, a wśród ludzi.

W dużym skrócie podałem te pięć przemówień, w których szukała sobie ujęcia nowa treść naszego narodowego życia: — socjalistyczna odpowiedzialność za losy narodu i państwa, za losy każdego człowieka, odpowiedzialność wchodząca już w krew milionów obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

To była prawdziwie robocza narada przedstawicieli najszerzej pojętej władzy ludowej. Jakże pięknie w końcowej części narady zabrzmiał meldunek ob. Maczyńskiego o podjęciu przez załogę Stargardzkich Warsztatów Kolejowych zobowiązania na cześć Kongresu Narodów w Obronie Pokoju oraz słowa obywatela Szlijana:

— Przekazicie naszemu kochanemu Prezesowi Rady Ministrów od nas, stargardzkich kolejarzy, żołnierzy Frontu Narodowego, pozdrowienie i zapewnienie, że zawsze może liczyć na nas.

SWIAT przypomina

Z historii bogactw kościelnych

Znakomity historyk polski, Władysław Smoleński, w swym dziele pt. „Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII”, malując obraz upadającej Polski owego czasu, tak charakterystycznie jedną z przyczyn tego upadku:

„Z 8.790.000 mieszkańców Rzeczypospolitej w czasie Sejmu Wielkiego, przypadało na duchowieństwo katolickie około 12.500 osób, z tych 5.000 na mnichów. Należała do nich przeszło dziesiąta część dymów, czyli około 830.000 dusz chłopskich. Biskup krakowski miał po

pierwszym rozbiórce kraju z 44 kluczów, z miast i folwarków czystej intraty około 575.000 złotych; nie o wiele gorzej był uposażony jego kolega wileński. Biskupstwo łuckie dawało bez potrącenia wydatków przeszło 100.000 zł, najuboższe ze wszystkich chełmskie — około 47.000. Stu ślubujących ubóstwo zakonników kamedulskich posiadało 22 folwarki. Ponieważ, pomimo intrat tak znacznych, duchowieństwo nie składało do skarbu nad wznowione na sejmie r. 1784 subsidium charitativum (danina na potrzeby

państwa — przyp. „Świata”) w sumie 676.546 złotych, nie dziw przeto, że zaatakowane zostało w chwili, gdy naród, mając na widoku aukcję wojska, poszukiwał na nią pieniędzy.

Ponieważ subsidium charitativum płacili w rzeczywistości według rozkładu na diecezje sami plebani, nawoływał Staszic w r. 1785, aby i bogaci biskupi dodali z własnej kieszeni choćby tyle, ile potrzeba było do wyrównania miliona. Instrukcje poselskie z r. 1788 szły dalej: na wydatki, jakie wwoła aukcja wojska, zalecały czerpać pomiędzy innymi ze wszystkich dóbr duchownych. Domagano się sekularyzacji majątku biskupstwa krakowskiego...”

Schacht w Watykanie

Jak doniosła prasa, Papież przyjął ostatnio na audiencji dr Hjalmar Schachta, byłego bliskiego współpracownika Hitlera. Ponieważ nie posiadamy zdjęcia z tej audycji, podajemy inną fotografię dr Schachta:



Schacht na ławie oskarżonych w Norymberdze.

Sacco i Vanzetti



Sacco i Vanzetti

Sprawa Rosenbergów, dwójga niewinnych ludzi, którzy mają zasiąść na fotelu elektrycznym, przypomina, iż nie pierwsza to w Stanach Zjednoczonych policyjna prowokacja, skierowana przeciwko żywiom postępowym. Najgłośniejszym takim procesem była sprawa dwóch Włochów — Sacco i Vanzetti — straconych przed dwudziestu pięciu

laty, w roku 1927, po sześciu latach dręczenia ich w amerykańskich więzieniach. Egzekucja odbyła się wbrew protestom całego świata. Ale zwycięstwo ostateczne stało się udziałem straconych, a nie ich katów: postępowego ruchu w Ameryce nie zdławiono, bo ideał nie można zabić nawet najmocniejszym prądem elektrycznym.

JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY

BYŁO to późna jesień. Podkomorzy Wereszczaka, powróciwszy z malej w pole wycieczki, dla obejrzenia posiewów, jak się one przed zimą prezentowały, chodząc po wielkiej izbie gościnnej, w której nigdy bardzo ciepło nie było, a dnia tego szczególnie przenikliwy chłód czuć się dawał.

Podkomorzy, który na ciepłym powietrzu i wietrze ostrym trochę już był przemarzł, nogami tupął, ręce zacierał, poruszał się, wyciągał, a rozgrzać nie mógł.

Na dworze zmierzchać zaczynało. Przed domem z okien widać było dziedziniec szeroki, prawdą a Bogiem, dosyć niedbale utrzymywany. Z jednego boku przypierała do niego stajnia, przed którymi zawsze coś stało, albo wóz drabiniasty, albo ze zwieszonymi smutnie hołobami obdarta bieda.

Nie mówię o tym, że siano rozsypane, słoma roztrzęsiona i inne nieuchronne następstwa pobytu koni zdobyły część podwórza bliższą stajni. Z drugiej strony duża oficyna służyła za dom folwarczny, czeladni, kuchnie, prackarnię i na wszelki użytek, do którego dom nie starczył.

Naturalnie też okolice jej zbyt czysto utrzymać się nie mogły. Tu rąbano drewna, szczepiano skałki, wyrzucano węgle i popioły, pozostałości kuchenne, wylano pomyje, a psy gończe podkomorzego, ilekroć je wypuszczano, same podobno ten śmietnik z grubszego oporządzały.

Wprost naprzeciw okien były wrota, stojące tak natłogowo otworem, iż byli ludzie, co powątpiewali, czy by je już zamknąć można. Nabrali od tej nieruchomości fizjonomii dziwnej, zdawały się walić — lecz stały tak już od bardzo dawna, obiecywały trwać lata.

Gdy podkomorzy chodził, rozgrzewając się, po izbie, tymi wrotami właśnie wjeżdżał konny, w którym najnieprawniejsze oko mogło poznać posłańca.

Jest to postać przedpotopowa, dziś już zaginiona i z tradycji tylko znana, ale dawniej istnieli tacy ludzie, co przez całe życie sprawiali obowiązki posłańców, było to ich powołanie. Takiego „umysłnego“ poznać było można zaraz z fizjonomii. Człowiek to zwykle bywał śmiały, z ludźmi obyty, dróg świadomy, zahartowany na wszystko i chętnie przewożący różne wiadomości. Nie gardził on kieliszkiem w szynku i koń jego miewał zwyczaj nawet przed każdym się zatrzymywać proprio motu.

Więksi panowie mieli takich bojarów wielu, szlachta wybierała zdolniejszych z włościan.

List, który zwykł był posłaniec przywozić, często do rąk własnych adresowany, zawijany był w szmatkę, trzymany za nadrą, niekiedy pod koszulą na gołym ciele, aby go czuć zawsze pości, czasem zatykał się w baranią czapkę, między dwie jej ściany.

Pismu niekiedy towarzyszyło ustne pozdrowienie i jakieś dodatkowe słowno. Przyjmowano posłańca różnie, ale najczęściej i kieliszkiem i miską. Czasem garść jaka i konikowi się dostała, który albo szedł do gościnnej stajni, lub — drzemał u płotu.

Podkomorzy Wereszczaka w nadjeżdżającym konno, na srokatym koniu, człowieku, który szkapę do kółka przywiązał i nie zważając na szczekanie psów odprawiających go do dworu, skierował się ku gankowi, poznał zaraz posłańca.

Od kogo? To było dlań tajemnicą, lecz bądź co bądź — zafrasował się. Posłaniec wioził list, który potrzeba było przeczytać — a co gorzej — odpisać nań. A trzeba wiedzieć, że od czasu gdy go w Lublinie u jezuitów męczono pisanem, podkomorzy, równie manipulacji samej, jak tego wyteżenia myśli, którego pisanie wymaga, cierpieć nie mógł.

— Otóż masz! — rzekł w duchu. — Posłaniec i — list! A jeomości w domu nie ma.

W istocie podkomorzyna była u córki, a Wereszczaka sam w domu.

W sieniach już słychać było, jak się ów posłaniec zaczął targować ze służącym Jakubem. Podkomorzy drzwi otworzył.

— Co tam?

Z odkrytą głową łysawą stojący poseł szybko odpowiedział:

— Z listem do jaśnie pana.

— Od kogo?

— Od podskarbiego.

To mówiąc, i czapkę położywszy na ławie, posłaniec sięgnął za nadrę, wyjął z niej czerwoną chustynkę, rozwinął i dobywszy z niej na szarym papierze z wielką pieczęcią list, z pokornym wręczył go ukłoniem.

Podkomorzy przyjął go zmartwiony. Przewidywał widać, iż z odpowiedzią ciężko mu będzie, bo się po chwili odezwał łagodnie:

— Niech Jakub powie, aby konia do stajni wzięto, a posłańca na folwark.

I szepnąwszy coś staremu słudze, podkomorzy drzwi zamknął. W pokoju szaro było, list położył, a raczej rzucił na stół, kwaśny.

— Jezu mój miłosierny! — stęknął — Czego on znowu pisze? Pewnie o sejmik i swojego kandydata! Ale, niech go z nim... dałbym głos i ja i moi, żeby mnie listami nie nasytał. Co tu teraz robić bez podkomorzyny?!

Oprócz starego Jakuba, który był i sługą i rodzajem majordoma, podkomorzy miał chłopca — Jaśka, do tych usług pomniejszych, jak na przykład: zdejmowanie butów, nader zawsze mozolne, któremu przekleństwa i stękania towarzyszyły — przynoszenie drewna na komin itp.

Tym razem właśnie Jaśiek wyprawiony był po suche

drewna i miał na kominie zapalić. Poszedł, lecz była to rzecz znana powszechnie, że mimo kuksów, jakie za to odbierał, Jaśiek wszelkie poza oczyma odbywane funkcje — pełnił z niezmierną czasu stratą.

Co robił w czasie tych wycieczek? Nie było docieczone dokładnie. Wedle pory roku i zmiennych okoliczności: drażnił indyka, niekiedy do najwyższej doprowadzając go pasji, pędał kury, dłubał w nosie, wymykał się ku ogórkom itp.

Dnia tego nie można go było o co innego posadzić, chyba o kaczany od kapusty, na które był też łasy. Klucznica przysięgała się, że marchew surową jadła, coś dopiero słodkie kaczany!...

I nie było go, choć drewna leżały na drewni w szopce tuż około kuchni, a podkomorzy kłął i gderał. Miał ten zły zwyczaj, chociaż skutkiem częstego powtarzania doz — nie robiły skutku.

Wołał półgłosem:

— Gdzie ta jucha Jaśiek? Kiedy poszedł!... A dotąd nie wraca! A żeby go...

Tu następowało wyliczenie wszystkich plag egipskich, których życzył Jaśkowi. Wchodziły w lik — deptanie kaczek, — czczenie marne, — skiśnięcie, itp. Podkomorzy miał wielką tych wyrażań obfitość.

Jakkolwiek list zbyt ciekawym być nie mógł — drażnił jednak i niecierpliwiał leżąc zawarty. Podkomorzy bez świecy odczytać go nie mógł, a nawet przy niej nie obchodził się bez okularów.

Zawołał Jakuba, aby przyspieszył powrót Jaśka. Jakub leniwy równie jak poczciwy, pofatygowany się tylko na ganek i huknął na stróża, rozkazując mu, aby dezertera przyprowadził za uszy.

Lecz wtem i on sam ze ścierką ogromną, pełną drewna, na plecach, uginając się pod jej ciężarem, ukazał się od strony drewni. Wyłajał go naprzód stróż, potem Jakub po drodze, na ostatku sam pan przypaść, któremu żywo począł coś Jaśiek prawić niezrozumiałego — i rzuciwszy drewna, pobiegł po świecę.

Świece te dla podkomorzego nie było łatwo tak na zawołanie podać.

Rurkowe łojowe, jakich na codzień używano, miała klucznica pod swoim zawiadywaniem, trzeba więc było biec na folwark po nie, potem je w papier oprawić, zapalić, lichtarz z umbrellką oczyścić i szczypce, zawsze pełne, fundamentalnie z knotów wczorajszych wychędożyć.

A że Jaśiek zwykł to był czynić nie spiesząc się, zwlokło się zapalenie świec tak, że podkomorzemu niecierpliwość do tego stopnia urosła, iż Jaśkowi wnoszącemu światło i wedle zwyczaju — odzywającemu się w progu — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pięścią pogroził.

Teraz należało krzesło przysunąć, podać stołeczek pod nogi.

Podkomorzy usiadł.

— Podaj okulary.

Z okularami od niepamiętnych czasów była zawsze turbacja niesłychana. Wereszczaka dbał niezmiernie o te okulary, które sobie do oczu dobrał z niemąłą biedą, czasu swej bytności w Warszawie; chował je, ale nigdy nie pamiętał, gdzie położył.

Miały one dwa czy trzy miejsca, przeznaczone dla siebie, w których się jednak nigdy nie znajdowały. Urzędowe ich ulokowanie było w szufladce przy kartach do mariasza i kabały, niekiedy znajdowano je na komodzie około niebieskiej filiżanki, czasem walały się na dużym stole, a raz nawet przydybano je na oknie, co podkomorzego oburzyło, choć sam je tam położył.

W kieszeni od kapoty extra-rzadko się trafiły.

Poczęło się poszukiwanie okularów, macanie po ciemku, bo duże łojówki z umbrellką niedaleko światło rzucały — i kłatwy. Szukał podkomorzy sam, Jaśiek, zawołano Jakuba. — Rozstap się ziemio! Okularów ani słychu.

Powstała burza. Przybiegła stara Dorota ze stoczekiem w rękę na pomoc i udało się jej, prawdziwym cudem albo dziwną domyślnością niewieścią, odkryć je utkwione... pomiędzy komodą a ścianą.

Tu dopiero potrzeba było posłuchać dociekań, czyja wina one się tam dostały, bo, rzecz oczywista — same one, jak powiedział podkomorzy, wleźć tam nie mogły, ale ktoś sprzątający na komodzie z lekceważeniem karygodnym sprzęt ten drogi — nie dość, że rzucił, lecz nawet występuku nie był świadom... lub... mogła w tym być niepończciwa złośliwość.

Przekonawszy się dopiero, że zsuniecie się za komodę okularom nie zaszkodziło, i futerał ich tylko szwankował nieco, podkomorzy włożył je na nos, kopertę rozciął, list dobył, zbliżył go do świec i z uwagą rozpoczął czytanie, od intyulacji.

„Jaśnie Wielmożny Podkomorzy dobrodzieju, a mnie wielce miłościwy panie a bracie“.

Zwykle listy, tylko dla formalności pisywane, na ćwiartce papieru, rzadko zajmowały więcej niż jedną stronicę, i obrachowywane były tak, że podpis, w pewnym odstępie u dołu się mieszczący, wypadał jeszcze nie na samym skraju. Z przerażeniem dostrzegł naprzód podkomorzy, iż na pierwszej tej stronie nie tylko nie było podpisu, ale ani nawet formuł go poprzedzających, odrzucił niespokojnie papier i przekonał się, że list miał trzy całe stronicę, a opatrzone był jeszcze — postscriptum. Oczywiście kuso nań odpisać, per dominum pstrum, nie godziło się, zwłaszcza podskarbiemu; sprawa być musiała magni momenti, ważna.

Opadły mu ręce.

— Masz tobie! — rzekł w duchu — nie mówiłem?

Podkomorzy w istocie nie mówił nic — lecz zwykł był wyrażenia tego używać, pocieszając się w każdym kłopotcie przenikliwością swoją.

Bądź co bądź potrzeba było zacząć czytać. Operacja ta, niewprawnemu podkomorzemu, który i z powodu oczów i dla wstrętu do papieru zawsze kimś się posługiwał — nie przechodziła łatwo z drukowanego — a coś dopiero z tych zygzaków kancelarii podskarbiego, którego „amenuensis“ grzebał jak kura.

Wereszczaka, któremu przed chwilą było zimno, potnieć zaczął; a nie stało się to od ognia rozpalonego na kominie, bo Jaśiek ledwie go rozdmuchał, lecz z niezmiernego wysiłku wszystkich władz umysłowych, jakiego odczytywanie i sylabizowanie wymagało.

Przerywał sobie tylko.

— A niechże go! Oto pisze!... Cóż to znowu jest? — Nie ma końca.

Sprawa była skomplikowana dosyć. Nie szło jednak o sejmik, ale o dawny proces z powodu zbiegłego poddanego, którego tożsamości Fleming dowodził, a podkomorzy przeczył.

Rzecz ta usłpiona była przez czas jakiś, teraz ją wznowiano. Pomijając to, że sama rzecz niemiłe czyniła wrażenie i groziła procesem — potrzeba było odpisać.

Przenikliwy podkomorzy odgadywał, że wznowienie pretensji było tylko sztuką, ażeby kosztem umorzenia jej, pozyskać sobie na sejmiku poparcie.

Należało więc tak odpisać, aby i nie dać poznać, że się zwąchało pismo nosem — (wyraził się podkomorzy) — i podrożyć się... a potem...

Podparłszy się na łokciu Wereszczaka dumiał i wzdychał długo. Zwlekać z odpowiedzią i po dniu albo dwóch dopiero wystać ją drugim umyślnym do Terespola — nie wypadało.

Dowiodłoby to, że się zbyt namyślano i strwożono. Stante pede należało odpowiedzieć.

W tym był sęk.

Nadchodził czas wieczery, po jedzeniu zaś miał Wereszczaka za stałe prawo wstrzymywać się od wszelkiej pracy umysłowej, oprócz wieczornego pacierza.

Trzymał się też reguły starożytnej: mille passus meabit, i chodził, pisać więc nie mógł.

Musiał natychmiast zasiąść do listu, wieczrę odroczyć, kieliszkiem tylko ratafiu się pokrzepić i — zbyć się tego licha.

Zawołał Jakuba, który stanął u progu.

— Słyszysz, stary — rzekł — ten list przeklęty od podskarbiego! Oto mi w porę! Muszę zaraz odpisać... a tu — wieczera, a po wieczery nie mogę. Niech z tą kolacją zaczekają, czy co?

Jakub ręką zamachał.

— A toż kaczka na różnie — rzekł — to się wniwecz spali.

— Bodajby go z tym listem — zamruczał podkomorzy i dodał z heroizmem: — No, to niech się spali. Kat ją bierz... Daj mi kieliszek ratafiu, z wieczrą czekać.

Wereszczace, gdy tym tonem mówił, nie podobna było już żadnych uwag czynić. Jakub poszedł po ratafiu.

Podkomorzy mentalnie przygotowywał odpowiedź swą, nie szła mu...

Natchnienia nie miał. Dać je mogła ratafia — ale różnie i z tym się trafia. Bywa, że co ma pokrzepić, to w głowie zamęt sprawi.

Jakub przyniósł chleb, sól i flaszkę owej ratafiu, którą podkomorzy badawczym okiem zmierzył, bo mu się coś zdawało, że ostatnią razą we flaszcze jej zostawił więcej.

Podejrzenie padło na Jakuba, lecz czasu nie było się o to spierać.

W chwilę potem, zakąsiwszy chlebem, w istocie uczuł podkomorzy, iż w głowie mu się wyklarowało...

Wyrazy i wyrażenia ustawiły mu się jakoś zrecznie, przybiegały na zawołanie, wiązały z sobą pięknie; usmiechał się niektórym z nich.

A chociaż list by był mógł w takiej chwili natchnienia zaimprovizować śmiało; ponieważ szło o sprawę z podskarbiną, bezpieczniej było i namyślić się i brulion sobie zostawić. Raptularz taki przydać się może.

Szło więc już tylko o — pisanie.

Stęknął biedny Wereszczaka, bo ręce miał zawsze trochę nabręzione i pióro brał ze wstrętem. Lecz dura necessitas.

Otworzył szufladę, w której zawsze bywało kilka arkuszy papieru, jeśli nie rygałowego, to wcale przyzwyczajonego... Spojrzał, wpuścił rękę, dobył, ale zamiast białego — siny, prosty, gruby, rejestrowy, na którym wstyd było odpisywać.

Gorączkowe wypróżnienie szuflady z łona jej wydobyla: nożyczki stare, kłębuszek wyporków nawinięty na asa kierowego, kawałek wosku, naparstek podkomorzyny, dwie stare koperty, już na kwitki dla arendy poobrzynane — i lineal.

Papieru białego — ani śladu.

Krzyknął podkomorzy — Jakub! — aż na drugim końcu domu wszystko się poruszyło — Jakub!

Stary, którego już odroczenie wieczery podrażniło, wszedł nadąsany.

— Gdzie papier? Papieru nie ma! Gdzie się mógł podziąć? Kto śmiał ruszyć? Sześć arkuszy tu, w tej szufladzie, sam włożyłem.

Jakub o papierze nie wiedział wcale, pobiegł po Dorotę. Dorota zaklinała się wcześniej, że z papierem nie

miała do czynienia nigdy; a na Wielkanoc pod placki, oprócz starych rejestrów, żadnego innego nie brano. Być wszakże mogło, że pani podkomorzyna, obawiając się nadużycia, zamknęła go do swojej komody, której klucz wzięła ze sobą.

Wereszczaka w taką już wpadł rozpacz, że Jaśka natychmiast wykomenderował na wieś, po ślusarza, aby komodę otworzył gwałtem — Dorota protestowała — nie pomogło. Jasiek już ruszał, gdy Jakub, poważny i milczący, z drugiego pokoju przyniósł znalezione, prawdziwym jasnovidzeniem, trzy arkusze papieru, które w stoliku samej podkomorzyny spoczywały.

Było ich tylko trzy... lecz mogło się to później wyjaśnić, podkomorzy ochłonął i siadł.

Rozkazał Jakubowi przynieść kałamarz.

Sprzęt ten, rzadko bardzo będący w użyciu, szeroki u dołu, z szyjką zwężoną, zwykle zatykany korkiem, stał zawsze od czasów niepamiętnych na komodzie w sypialni. Jakoż znalazł się w swym miejscu, zapylony, ale bez korka...

Pomimo szkła ciemno-szafirowego, z którego był odlany, przeciw światłu okazał się być próżnym — atramentu nie było w nim ani kropli.

Lecz na to znany był sposób, wlewało się trochę wody cieplej, a osad na dnie przyschły, dawał wcale przyjemnej barwy ciecz szarawą, z prószynek pyłu, która na papierze przybierała kolor niezdecydowany, ale czytelny. Dorota podjęła się wskrzeszenia inkaustu.

Teraz dopiero Wereschczaka przypomniał sobie, że oprócz papieru i atramentu potrzeba było koniecznie pióra do pisania. Jakub poszedł go szukać i znalazł dwa. Jedno z długim ogonem białym, okazało się, że gdy mu się Wereschczaka przy świecy przypatrzył, okazało się tragicznie rozdarte na dwie części, i każda z nich wykręcona była tak, jakby zaprzysięgła, że papieru nigdy nie dotknie.

Drugie pióro, mało obcięte, jak więziom głowy strzygą, było długie, wyglądało na dające się zużytkować, lecz rozeschłe, starte na końcu — nie spuszczało wcale i pierwszym jego owocem był żyd, którego podkomorzy, papieru żałując, po studencku językiem zliział.

Splunął zaraz, lecz smak mu pozostał potem tak nie miły, że musiał sobie kazać dać kapkę ratafii i chleba z solą. Dopiero to przeszło.

Zamachnął się już poczynać raptularz — i Jakub uspokojony szedł do progu, gdy krzyk się dał słyszeć, który Podkomorzy tylko w chwilach zupełnego zapomnienia się wydawał.

— A! wciornastki by cię...

Jakub stanął.

— Nie pisze — szelma!

I cisnął w stół piórem tak, że gdyby nawet potem chciał mu się akomodować, nie mogłoby, gdyż zdruzgotał je na kawałki.

— Biegaj mi zaraz do ekonoma na folwark... pióra! Na rany ludzkie, pióra! Żeby też w domu jednego pocziwego pióra nie było! A to skarcanie — a to nieszczęście jakieś...

Jakub wyprawił Jaśka po pióra, a chłopiec nie miał zwyczaju się spieszyć. Przy tym sprawa z ekonomem przedstawiała, mimo prostoty swej, niektóre trudności wykonania.

Ekonoma nie było w domu. O tych absencjach jego wieczornych, ponieważ nie był żonaty, chodzili wieści różne; zwyczajnie plotki. Oficjalnie zaś ekonom miał się znajdować u arendarza z powodu wątpliwości o wódkę znajdującą się w beczce. Posadzano go o dolewanie po kryjomu sprowadzanej.

Jasiek więc musiał biec do karczmy, a karczma znajdowała się o dobry kawał od dworu. Przyszedłszy tu ekonoma nie zastał, tylko co się oddał, lecz gdzie był, nie wiadomo.

Tymczasem podkomorzy kłął, a że upływały kwadransy, wpadł na pomysł genialny pisania raptularza ołówkiem.

Egzystencja ołówka w domu, mityczna trochę, nie dawała się dowieść.

Dorota przysięgała, że raz tylko maleńki kawałek widziała, którym, śliniąc go mocno, deseń na perkalu panna Petronela rysowała. Nie wiadomo jednak było, czy oówek ten jej był własnością, czy też skarbową.

Jakub mówił odważnie, że oówek nie znał żadnego, bo nikt go tu nie potrzebował.

Podkomorzy przypominał sobie, iż coś wałającego się w szufladce, podobnego do ołówka, na swe oczy widział.

Strzęsiono wszystkie możliwe kryjówki, w których oówek miałby prawo spoczywać — nie znaleziono nic.

Tymczasem co się działo z ową kaczką już na rożnie będącą — strach pomyśleć.

Jasiek wrócił w dobre pół godziny, z trzema piórami, używanymi, zamazanymi, z których jedno zalecał ekonom szczerzej, jako piszące dobrze, lecz zawczasu zastrzegając się, że on sam nigdy piór temperować nie umiał, szczyryka po temu nie miał i zwykle pióro dostawał od krewnego swego dominikana w Brześciu.

Przeciwko światłu wzięto owo polecone, jako dobre piszące, zdawało się mieć wszelkie warunki wymagane. Ani zbyt spisanie, ani zbyt świeże, z nosem trochę przytartym, rozłupane miernie, wyglądało sobie na przyzwoite pióro ekonomskie.

Podkomorzy umoczył je, otrząsnął, przyłożył do papieru — pisał! Odetchnął.

Cienkich rysów nie można było nim kreślić, ale z grubą, równo, mazało znośnie.

Natychmiast Wereschczaka wystylizował: Jaśnie Wielmożny Podskarbi dobrodziej, mnie wielce miłoścyw panie a bracie!

Lecz tu był sęk. Fleminga niektórzy zwali grafem, inni ze względu, iż w Polsce równo szlachecka tytułom się przeciwiała, polse sasko-niemieckiego atrybutu odmawiali mu.

Nie ulegało wątpliwości, iż — graf musiał Flemingowi skomować, z drugiej strony było to — przybliżanie się magnatowi, o które nie chciał być posądzonym Wereschczaka.

Położył pióro — i — uderzył się w palec.

— Niech go kaczkę, dać mu grafa, kiedy mu to miłe. Skasowawszy więc intytlację, napisał na nowo:

— Jaśnie Wielmożny Grafie, panie Podskarbi, mnie wielce...

Znowu sęk. Miał-li Grafa nazwać bratem? Ten tytuł nie dopuszczał już braterstwa.

Wereszczaka wstał zmęczony i przeszedł się parę razy po izbie.

Potniał — na zegarze było pół do dziewiątej. Kaczka — nie chciał myśleć o kaczkę, choć była to cyranka, po której palce sobie oblizywał.

Musiła się spalić na węgiel.

Siadł do pisania, lecz sprawę tytułu, braterstwa itd. odkładając na później, zaczął układać raptularz dalej.

Myśli, które w pierwszej chwili po ratafii tak żwawo i ochotco mu przechodziły — znikły gdzieś, pochowały się, szło jak z kamienia.

„zaszczycony szanownym listem J. W. Pana, dla którego estymacji mojej i wysokiej weneracji zawsze...”
Znowu sęk.



Rys. Marek Rudnicki

Czy weneracja powinna być była — głęboką czy wysoką? — Podkomorzy zaciekłał się, splątał — i zaczęło mu się robić na przemianę zimno i gorąco.

Rozstrzygnięcie między: wysoką a głęboką, mógł tylko stanowić usus, potrzeba więc było szukać w listach. Wereschczace zrobiło się zimno — wołał już cały ten początek obrócić inaczej. Zamazawszy więc — rozpoczął na nowo.

Nie dalej, jak w czwartym wierszu, zaszła trudność nowa — utknął.

Położył pióro, westchnął, wtem wszedł Jakub i chrząknął.

— Cóż będzie z kolacją? — spytał.

Wyglądało to na uragowisko — krew się w nim poruszyła.

— A idźże ty mnie, trutniu, do kroć sto tysięcy... nie przeszkadzaj, słyszysz.

Mężny Jakub nie wahał się jednak dodać:

— Blisko dziewiątej.

— Choćby i dwunasta była! — zawołał podkomorzy i pochylił się nad stołem.

Lecz przerwa w pracy umysłowej — ciąg myśli rozbity — przy tym samo poruszenie gniewne działały zwykle fatalnie. Podkomorzy pogubił wszystko, co miał już przygotowane, połapać się nie mógł, odczytał, co napisał — dalej ani rusz. Jednym zamachem przekreślił całą robotę i zniszczył ją. Musiał zacząć raz jeszcze na nowo.

Szło nadzwyczaj tępo, stało przeciw półczwarta wiersza ukośnie i fantastycznie nagryzmonionych, tak, że jedno od drugich uciekać się zdawało — bo podkomorzy pojechałszy zanadto do góry, posuwał się potem nadto na dół — powracał do pierwszego itd. Wtem odczytując redakcję tę, która mu się nową wydawała — postrzegł się, że powtórzył tylko najpierwszy swój koncept. Zdumiał go to — bo nie miał poczucia plagiatu popelnionego na samym sobie.

Rozmyślał więc, jakim trybem się to stać mogło? — a czas upływał.

Listu jak nie było tak nie było — bo to, co raz się wydawało złym — pomimo recydywy — znajdował podejrzanym.

Pół kroplami spadał mu z czoła — czynił wymówki Opatrzności, która go naraziła na tak nieprzyjemny wysiłek. Czekał natchnienia — nie przychodziło.

Upokorzony, ze smutkiem w duszy, pochylił się i rozpoczął czwarty raz, dając sobie słowo, że bądź co bądź wypadnie — nie będzie się już wysilał nadaremnie, i — praetor propter odpowiedziawszy — wysłał podskarbie-mu, co Bóg da.

Tym razem po słowie zwolna stawiając, kreśląc, zmie-

niając, o pół dziesiątej dokończył mozolnie sklejoną odpowiedź.

Odczytując, chociaż nie był nią zaspokojony, znajdował uchodzącą. Jasną nie była, ale interes wymagał, aby wątpliwości rzucić umyślnie. W kilku miejscach styl do życzenia coś zostawiał — lecz do piękności wysłowienia podkomorzy nie miał żadnej pretensji. Szło o to, aby czarną na białym przeciw sobie nie wydać świadectwa.

— Pal go licha! — rzekł wzdykając — jeżeli nie zrozumie, niech głowę łamie. Moja rzecz odpisać, a jego tłumaczyć sobie i ciągnąć konsekwencje, jakie chce.

Szło tedy teraz już tylko o przepisanie.

Podkomorzy obciął trzęsącą się ręką papier niezupełnie równo — poprawił linie krzywe i zasiadł, trzymając w lewej ręce raptularz za świecą, a prawą rozpoczynając: Jasnie...

Papier nie przytrzymywany, poruszeniem ręki prawej pociągnięty zjechał w dół, a „Jaśnie Wielmożny” niespodziewanie ruszył tak szpetnie w górę, że oparł się na samej krawędzi.

Wereszczaka zajęty kaligrafowaniem nie widział, co robił, i pióro dopiero spadające na podłużny arkusz oznajmiło mu, że się zaawanturował.

Czwartka papieru była zepsuta.

Wprawiło to podkomorzego w taką rozpacz, że nie zważając na to, iż się przydać mogła na notatki, kwitki, na pomniejszych listy, zdusił ją w garści namiętnie i cisnął w komin.

Papier, jak wiadomo, jest rzeczą zapalną. W zetknięciu z ogniem zajął się płomieniem i stoczył na posadzkę tak nieszczęśliwie, że, nim podkomorzy ruszył się z krzesła, zapalił zawieszoną ku ziemi serwetę na stole.

Ogień ten potężną garścią zdusił zaraz Wereschczaka, ale co się z nim działo — nie podobna opisać. Szalał po prostu.

Ręce się mu tak trzęsły, że obcięcie drugiego półarkusza przyszło z większą jeszcze trudnością niż pierwszego, a po brzegach był powykąsany obrzydliwie.

— Niech sobie kancelaria się śmieje — mówił w duchu — nie jestem tak wielkim panem, żebym trzymał gryziółków, skryptorów, darmozjadów...

Tym razem tytuł wyszedł, z opuszczeniem jednej litery, niedostrzeżonym, jako tako. Podkomorzy spieszył się, bo nawykły do regularnego życia, obdarzony apetytem znakomitym — czuł głód nie żartem. W żołądku odzywały się głosy — owo charakterystyczne burczenie, które było, jakby przemówieniem natury do sumienia! Trzeba było jednak raz naprzód koniec położyć temu nieszczęśliwemu pisaniu.

Do połowy szło jako tako, gdy, zmuszony uciec się do chustki do nosa, i przerwać kopiowanie — Wereschczaka ani się opatrzył, jak pół wiersza już napisanego powtórzył iterum...

Dopiero kończąc ten duplikat, powziął podejrzenie!

— Masz sobie!

Nastąpiła chwila zwątpienia takiego, że kto by był naówczas pocziwego Wereschczakę zobaczył, miałby liść nad nim.

Przepisywać raz jeszcze? — nie miał już siły. Przemazać te wyrazy było to przyznać się do błędu i obrazić podskarbiego wysłaniem pisma tak niedbale wykonanego.

Podkomorzy powiedział sobie, że mógł to — ignorować.

Zresztą powtórzenie wyrazów, ściśle wzięte, nie było tak wielkim grzechem.

Jednakże siadając pisać dalej Wereschczaka narzekał na los, który mu się dał rodzić w epoce, gdy listy ludzie pisać musieli.

Wrażenie tego usterku tak podziało na rękę jego, że prawie wyrazu jednego nie mógł napisać teraz, który by coś do życzenia nie miał. Jednym brakło liter, drugie nadto stały ściśnięte, inne zbyt luźne. O interpunkcji mowy nie było, gdyż podkomorzy zawsze ją uważał za zbędną. Pieścił tak czytelnika, żeby mu pokazywać, gdzie się miał zatrzymać, gdzie głos zawiesić, gdzie się myśl jedna kończyła, druga poczynała — znajdował Wereschczaka rodzajem rozpusty.

Do końca pierwszej strony dojechawszy, odetchnął. Spojrzał na dokonane dzieło. Nie wyglądało ono wprawdzie lepiej nad inne współczesne — ale też nie gorzej.

— Ujdzie — rzekł w duchu — pal go tam... z elegancją...

Wziął pióro w rękę i razem półarkuszek dla odwrócenia go, spostrzegłszy dopiero, że grubego pióra rysy nie były jeszcze suche.

Tak już się czuł znękanym i był nieprzytomnym, iż jakimś studenckim, dawnym zwyczajem bezmyślnym, jak gdyby piaseczniczkę miał przed sobą, z najzimniejszą krwią atrament wylał na papier. Postrzegł za późno swój błąd i krzyknął.

Z kałamarza wytoczyła się rzeczulka czarna — i kreśliła kilka meandrow na papierze, a słuchając prawa ciężkości, z arkusza listowego połała się na czysty, a z niego na kolana podkomorzego...

Wereszczaka dłonie załamały, podniósł oczy, Jakub skrzywiony stał przed nim. Pokazał mu, co się za nieszczęście przytrafiło, lecz niepodobieństwo było temu zaradzić, bo pod ręką miał Jakub tylko serwetę, a wiadomo, jakiej reputacji zażywają plamy atramentowe. Ruszył po ścierkę.

Wereszczaka zdrętwiała i zrezygnowany siedział — czekając. Jasiek ze ścierką, i to starą, Jakub dla do-zoru, a Dorota przez ciekawość, ze stoczką w rękę, zjawili się przy stoliku.

Tymczasem Wereschczaka w stoliku dopytał kawałka bibuły i list nią uwalniał od resztek powodzi atramentowej; zdecydowany trzeci półarkuszek obcinać i pisać na nowo.

Nikt nie zaprzeczy, że dawał dowody anielskiej cierpliwości.

Już miał zabrać się do pisania, gdy Dorota, jak wszystkie niewiasty, przewidującą, wzięła do rąk ka-



Dwaj zbrodniarze wojenni, którzy utorowali Hitlerowi drogę do władzy: arcy-mistrz obłudy — Franz von Papen i arcymistrz kłamstwa — dr Joseph Goebbels.

DIABEŁ W CYLINDRZE

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI

Latem i jesienią 1932 roku, oczy całego świata skierowane były w stronę Niemiec, gdzie kryzys polityczny zaostrzał się z dnia na dzień. Walka o władzę, jaka rozgorzała między Hitlerem, Papenem i generałem Schleicherem, znalazła w całej prasie światowej głośnie echo. Niemcy bowiem szybkimi krokami zbliżali się do faszystowskiej dyktatury. Jedyną siłą, która całą mocą przeciwstawiała się ofensywie reakcji, samotnie walcząc przeciwko faszystom i zdrańcy interesów klasy robotniczej, była Komunistyczna Partia Niemiec, partia Ernsta Thaelmanna i Wilhelma Piecka. Jej próby utworzenia jednolitego frontu robotniczego, który zdolny byłby skutecznie odeprzeć ataki reakcji na prawa mas pracujących, rozbiły się aż do samego końca o zdradziecką politykę renegatów z ówczesnego kierownictwa prawniczej socjaldemokracji (SPD). Ono właśnie, zdradziwszy w 1918 roku rewolucję listopadową, konsekwentnie rozbiło ruch robotniczy, umożliwiając w końcu dojście hitlerowców do władzy.

Uświadomiona część niemieckiej klasy robotniczej dała wyraz swej woli do walki z reakcją, głosując, w krytycznych dla historii Niemiec wyborach do Reichstagu 6 listopada 1932 roku, na KPD. Partia ta uzyskała wtedy 6 milionów głosów i 100 mandatów. W tym samym czasie NSDAP straciła dwa miliony głosów, co wywołało zrozumiałe zamieszanie w obozie faszystów. W tej sytuacji burżuazja niemiecka obejrzała się za człowiekiem, który obiecywał jej wyjście z politycznego impasu drogą rozpetania imperialistycznej wojny. Tym człowiekiem był Adolf Hitler.

Dla utorowania mu drogi do władzy w

weimarskiej republice potrzebnymi byli ludzie, którzy by potrafili pogodzić sprzeczne interesy rozmaitych grup monopolistycznych, mających szerokie powiązania z międzynarodową imperialistyczną. Tym człowiekiem, którego monopolisci nadreńscy i junkrzy pruscy upatrzyli na „holownika” hitlerowskich piratów pośród morza politycznych sprzeczności i intryg oraz niebezpiecznych skał lewicy niemieckiej, okazał się Franz von Papen.

Zanim reakcja niemiecka, w obawie przed narastającą siłą klasy robotniczej, zdecydowała się oddać władzę dyktatorską Hitlerowi, sama wstrząsana była wewnętrznymi sprzecznościami i miotana walką poszczególnych grup o władzę. Dopiero akta norymberskie i wydane po wojnie bogata literatura pamiętnikarska ujawniły cały mechanizm owego spisku przeciwko narodowi niemieckiemu i pokojowi świata, jaki związany został w gabinetach monopolistów i generałów, pragnących drogą wojny przyspieszyć pogoń za maksymalnym zyskiem.

To, co będzie niżej opowiedziane o zbrodniarzu wojennym Trzeciej Rzeszy, Papenie, oparte jest na literaturze pamiętnikarskiej oraz osobistych wrażeniach autora z procesu norymberskiego. Z książek uwzględniłem przede wszystkim wspomnienia samego Papena oraz relacje Francisca Ponceta, Otto Brauna, Carla Severinga, Kurta von Schuschnigga, Filipa Anfusa, Victora von der Lippe, L. C. Moysa, H. R. Berndorffa, Henry Pickera „Rozmowy Hitlera”, Otto Meissnera, Sumnera Wellsa jak również „Historię Dyplomacji” (t. III, Moskwa 1945).

Gdy wrócił, jego towarzysze płacili już rachunek. Oficer pochylił się i powiedział triumfującym głosem:

— Stary pan udzielił dymisji Brueningowi... Jedziemy do Papena!

„Stary pan” — to był Hindenburg. Tak nazywali go członkowie prezydenckiej kamaryli z Wilhelmstrasse. A oficer, którego tak ucieszyła dymisja kanclerza Brueninga — to generał Schleicher, szara eminencja Bendlerstrasse, zaufany człowiek feldmarszałka i przyjaciel jego syna, Oskara. Razem służyli w tradycyjnym 3 pułku gwardii, co ułatwiała karierę nie tylko w cesarskich Niemczech. Schleicher był tym łącznikiem, którego Hindenburg wysłał w

1918 roku do Eberta z oświadczeniem, iż armia uzna rząd prawicowych socjaldemokratów z SPD pod warunkiem, że „rozprawi się on z komunistami”.

Obie strony dotrzymały warunków tego paktu. Gdy dywizja morska zbuntowała się i opowiedziała się za komunistami, Schleicher był tym oficerem, który uwolnił Eberta i jego ministrów z aresztu. Schleicher uśmiechał później powstanie komunistów w Saksonii i Turynii. Gdy tworzyła się stutysięczna Reichswehra, Schleicher uważany był za „ucho i oko” Hindenburga w nowej armii. W okresie weimarskim łączyła ambitnego generała serdeczna i intymna więź z domem starego feldmarszałka. Cieszył się jego zaufaniem. I korzystał zeń...

Oficerowie pojechali przede wszystkim na Bendlerstrasse, aby odbyć małą naradę wojenną. Reichswehra postanowiła odąd aktywniej wpływać na bieg wypadków w Berlinie.

Tutaj oczekiwali Schleichera dziennikarze, którzy wiedzieli już, co się święci.

Jeden z dziennikarzy, von Oertzen, rzuca pytanie:

— Kogo teraz zrobi pan kanclerzem Rzeszy, generale? A może pan sam reflektuje?

— Chyba diabła zrobię kanclerzem — uśmiecha się Schleicher i powiada tajemniczo: — Mam coś bardzo specjalnego na widoku, będziecie zdziwieni...

2.

30 maja wieczorem ludzie spacerujący po Bendlerstrasse nie przeczuwali wcale, że staromodny „Mercedes”, który zatrzymał się przed żelazną bramą sztabu Reichswehry, wiózł człowieka, który stał się grabarzem będącej już wtedy w stanie agonii republiki weimarskiej. Kiedy jedni nazywali go arcydziełem lub „diabłem w cylindrze”, inni uznali później za bardziej trafne określenie — „akuszer III Rzeszy”. Ale w kołach wojskowych, zwłaszcza wśród kawalerii, nazywano go po prostu „Franusiem” (Fraenzchen). Ten „dandys z Nadrenii”, ubrany zawsze jak manekin z dobrego domu mody, nie obrażał się ani na jednych, ani na drugich. Umiał korzystać z każdego przydomku, z każdego epitetu, z każdej pochwały i nagany — podczas i po swojej karierze, która z ulaskiego siodła zaprowadziła go do kanclerskiego pałacu w Berlinie.

Tym arcyministrem obłudy, kariery i cynizmu był Franz von Papen, zbrodniarz wojenny, któremu przysłówowe szczęście oraz pomoc międzynarodowych mafii dopisywały na wszystkich etapach jego przewrotnej kariery: kiedy był schwytywany na gorącym uczynku szpiegostwa i dywersji podczas pierwszej wojny w USA, kiedy przez noc został kanclerzem Rzeszy, kiedy „wybuchła” tzw. rewolta Roehma 30 czerwca 1934 roku, podczas puczu 20 lipca 1944 roku i zamachu na życie Hitlera, wreszcie w czasie procesu w Norymberdze, a później przed niemieckim trybunałem „denazyfikacyjnym”. Nie przeszkadzało mu to wcale, że za każdym razem świat uważał go za pozbawionego skrupułów zdrajcę, który poświęcał po kolei własnych przyjaciół i współpracowników, wydając ich cynicznie siepaczom Himmlera — i śmierci. Z taką samą mianą człowieka, który „zasłużył się ojczyźnie”, spacerował swobodnie po ulicach Wiednia, dokładnie wiedząc o aneksji Austrii, jak i później, sam wolny, obłudnie żegnał w Norymberdze skazanych na śmierć sąsiadów swoich, mówiąc im przy opuszczeniu więzienia:

— Do zobaczenia, moi panowie!

— Gdzie? — zapytał Goering — na ziemi, czy w niebie...

— Dla nas, katolików — dokończył Papen — nie ma to właściwie znaczenia... — i dał znak wartownikowi, że gotów jest do wyjścia.

— Taka świnia... warknął Goering, który dobrze znał Papena.

3.

W biurze Schleichera na Bendlerstrasse rozmowa trwała krótko.

Papen, który należał do katolickiego „Centrum” pralata Kaasa i był wraz z magnatem stalowym, Florianem Kloecknerem, i biskupem Berlina, kardynałem Galenem, właścicielem organu tego stronnictwa — dziennika pod nazwą „Germania”, stał na prawicy „Centrum” i zwalczał Brueninga. Kiedy 26 maja otrzymał on telefon od swego przyjaciela Schleichera, aby natych-

miast w pilnej sprawie przyjechał do Berlina, Papen zrozumiał, że chwile Brueninga są policzone. Famulus Hindenburga, pruski junkier Oldenburg-Januschau, zamieszany w aferę „Osthilfe” (za miliony utopione w „sanowanie” majątków junkierskich w Prusach Wschodnich Hindenburg otrzymał za jego właśnie pośrednictwem majątek „rodzinny” w Neudeck — tytułem „pro wizji”) powiedział kiedyś Papenowi przy partii skata:

— Jak „stary” przyjedzie do Berlina, to Bruening wyleci; obiecał nam to zresztą solennie...

Jadąc pociągiem do Berlina, Papen uśmiechał się. Telefon Schleichera mile go zaskoczył. Martwiła go tylko jedna rzecz: należał przecież do „Centrum” i bez zgody pralata Kaasa nie mógł podejmować żadnych kroków w Berlinie.

„Ten Bruening to jeszcze doprowadzi do tego, że komuniści wypędzą nas z fabryk i majątków — myślał ze złością Papen, i gdy pociąg jego podjeżdżał na peron Friedrichstrasse, nasz pasażer zdecydowany był już na ostrą rozmowę z „klechą” (jak nazywano Kaasa).

Kiedy jednakże w staromodnym „Mercedesie” pojechał z dworca zobacz się ze Schleicherem i ten z miejsca zaproponował mu w imieniu Hindenburga tekę kanclerską, Papen początkowo odmówił. Jak przystało na starego wyjadacza w robocie szpiegowskiej, zorientował się po argumentach Schleichera, że na skutek trudności parlamentarnych i stale rosnącej siły komunistów, oraz z uwagi na zbliżającą się śmierć starego feldmarszałka, w kołach reakcji rozpoczyna się właśnie walka diadochów o władzę w państwie.

4.

Nie od dziś zbierały się bowiem ciężkie chmury nad horyzontem republiki weimarskiej.

Rok 1930 rozpoczyna marsz „narodowej rewolucji”. Umiarkowana konserwa traci wpływy w silnej „Deutschnationale Volkspartei”. W partii tej decydują teraz wszechniemcy. „Rheinlandbund”, ciężki przemysł i finansjera nadreńska, z tajnym radcą Alfredem Hugenbergiem na czele. Po porażce, jaką poniósł Hugenberg w sprawie planu Younga, występuje on nagle z nową koncepcją: prezydent musi mieć więcej pełnomocnictw! — Z rozmów, jakie wtedy prowadził z sekretarzem stanu w kancelarii cywilnej prezydenta Rzeszy, Meissnerem, z junkrem von Oldenburg-Januschau'em, oraz z generałem Schleicherem wynika jasno, że rola parlamentu maleje na rzecz kamaryli szefa państwa. Już wtedy poszczególne gabinety układa się przy zielonym stoliku. Wiosną 1930 roku taki gabinet nr. 1 tworzy dr Bruening z ramienia „Centrum”. Nie wie on oczywiście nic o rozmowach Hugenberga, ani o tym, że nad nim czuwa „tajny rząd”, złożony z przedstawicieli przemysłu i wojska, który toleruje go z uwagi na rozgrywkę między Reichstagiem a rządem. Daje to spiskowcom „narodowej koncentracji” czas potrzebny na przygotowanie zamachu stanu.

W październiku 1931 roku zbierają się w Bad Harzburg przedstawiciele reakcyjnych stronnictw oraz delegaci NSDAP. Hjalmar Schacht i generał von Seeckt domagają się utworzenia szerokiego frontu do walki z lewicą. „Harzburski front” staje się obecnie realną siłą, stojącą do dyspozycji Hugenberga w jego rozgrywce z Brueningiem. W lutym 1932 w Klubie Przemysłowym w Duesseldorfie następuje z kolei spotkanie Hitlera z magnatami reńskimi. Fritz Thyssen powitał gościa okrzykiem „Heil Hitler” i w imieniu przemysłowców Zagłębia Ruhry przyrzekł mu pomoc i finansowe poparcie. Hitler w wygłoszonej mowie obiecał bowiem rozwinąć olbrzymie zbrojenia, jeśli uzyska poparcie magnatów stalowych i otrzyma urząd kanclerski.

Płyną pieniądze do zlejących pustkami kas NSDAP. Brunatne koszulki zaczynają hulać po ulicach miast niemieckich. Codziennie są zabici i ranni. Leje się krew komunistów, osamotnionych w walce o utrzymanie demokracji, ale i niemało kłesk doznają hitlerowcy. Walka się zaostrza w miarę jak rośnie bezrobocie. Urząd statystyczny notuje w tym czasie 7 milionów ludzi bez pracy.

W Reichstagu chaos. Wszyscy wiedzą, że gabinet Brueninga żyje tylko dzięki poparciu, jakiego mu udziela jeszcze kamaryla Hindenburga.

Ale 30 maja 1932 roku — kamaryla mówi: dosyć! Trzeba obecnie dyktator-

DZIEN 30 MAJA 1932 ROKU był wyjątkowo ładny w Berlinie. Od kilku dni panowała w tym zazwyczaj chmurnym mieście przyjemna pogoda. Na Unter den Linden — jak zwykle promenada. W barze hotelu „Adlon” siedziało kilku wyższych oficerów Reichswehry i piko mozelskie wino. Stary barman Kurt znał ich dobrze. To byli „panowie z Bendlerstrasse” (siedziba sztabu, później OKW). Nagle jednego z oficerów odwołano do telefonu. Ruszył sprężystym krokiem, a kłaniając się na wszystkie strony, co chwila wkładał i wyjmował swój błyszczący monokl.

LONDYŃSKI DOKER

RYUNKI PAULA HOGARTHA

skiego rządu — możliwie bez parlamentu. Nie może ona jeszcze zdecydować się na Hitlera, ale chętnie widziałaby go w gabinecie „koncentracji narodowej”. Klika wojskowa Hindenburga ma pogardliwy stosunek nie do programu Hitlera, ale do jego osoby. „Kapral austriacki” nie odpowiada jeszcze towarzysko baronom pruskim, którzy sami postanowili utworzyć gabinet, skoro Hitler nie chce zadowolić się teką wicekanclerza i w ten sposób zapchać wreszcie usta brunatnym krzykaczom pokroju Goebbelsa. Hindenburg nie stawia oporu i udziela dymisji Brueningowi. Ma obecnie zostać powołany do władzy nr. 2 — znowu gabinet „prezydialny” wedle planu Hugenberg, oparty na autorytecie nie parlamentu, ale szefa państwa — tym razem „gabinet baronów” (klika ziemian i magnatów przemysłowych).

Po wizycie w Neudeck, general Schleicher (obecnie „polityczny dyrektor” Reichswehry) zostaje mediatorem. Sam nie chce oficjalnie rządzić, uważa to w tej chwili za bezcelowe. Szuka więc kogoś spośród dawnych przyjaciół, spośród wojskowych ulubieńców „starego pana” i przypomina sobie dawnego majora kawalerii, który dał się poznać w cesarskim wojsku jako przebiegły szpieg w USA i nie mniej zapobiegliwy oficer polityczny na froncie tureckim (później w Palestynie i Syrii u boku Kemala-Paszy), a który ostatnio wycofał się z życia politycznego i osiadł w swoim majątku Wallerfangen (Saara).

Gdy więc Franz von Papen po raz drugi spotkał się ze Schleicherem na Bendlerstrasse, dla obu dawnych towarzyszy broni sprawa była jasna:

Papen, po rozmowie z prałatem Kaasem, oświadczył, że gotów jest przyjąć propozycję Hindenburga — a Schleicher uprzedził, że może utworzyć rząd oparty na autorytecie prezydenta Rzeszy, pod warunkiem, że Papen zaakceptuje dwie rzeczy: zniesienie brueningowskiego zakazu w sprawie noszenia mundurów i odznak NSDAP oraz rozwiązanie Reichstagu.

Tylko pod tym warunkiem Hitler gotów jest „tolerować” gabinet baronów, w którym sam nie może „jeszcze” wziąć udziału. Bez akceptacji Hitlera żaden rząd nie utrzyma się — dodał Schleicher.

31 maja, po obiedzie, obaj panowie udali się do Hindenburga.

— A więc, mój drogi Papen, pomóż mi pan w tej ciężkiej sytuacji? — zapytał prezydent zaraz po przywitaniu. Gdy Papen jakby przez chwilę się wahął, Hindenburg zrobił oko do Schleichera i dodał z naciskiem:

— Pan był przecież żołnierzem i podczas wojny wykonał pan swój obowiązek. W Prusiech znamy tylko obowiązek, kiedy ojczyzna wzywa!

W godzinę potem wszyscy wiedzieli już o tym w Reichstagu. Prałat Kaas, który popierał Brueninga, oskarżył Papena o zdradę. W kilka godzin później Papen wystąpił z „Centrum”. Odtąd stałe stosował tę taktykę — „obrażonego przyjaciela”.

5.

Jarzą się olbrzymie świeczniki w berlińskim „Herrenklubie” przy Jaegerstrasse 2 (dzisiaj mieści się tutaj demokratyczny „Kulturbund” wraz ze stółką dla literatów). Pan von Papen wydaje pierwsze przyjęcie dla gabinetu baronów i swoich wojskowych protektorów. Wąska ulica nie może pomieścić wszystkich pojazdów i limuzyn. Odtąd wszystkie decyzje zapadać będą nie na Wilhelmstrasse, ale w Herrenklubie i oczywiście na Bendlerstrasse. General Schleicher został bowiem ministrem Reichswehry w rządzie swojego protegowanego... Trącają się kieliszkami baronowie Neurath, Gayl, Braun, Eltz von Ruebenach i hrabia Schwerin von Krosigk. Tak wyglądał gabinet „narodowej koncentracji”... przy biesiadnym stole, gdy w kraju szalał głód, bezrobocie i terror.

Kiedy padają jeszcze ostatnie toasty, Herr von Papen jest już w obszernym westybulu, gdzie wisi obraz Bismarcka, pędzla Lenbacha. (Teraz wisi konterfekt Goethego). Papen uśmiecha się życzliwie do „żelaznego” kanclerza. Gdy usłużny kamerdyner podaje mu cylinder i szary płaszcz z aksamitnym kołnierzem (tzw. wizytówkę) poprzez na-

Wielkie są doki Londynu — wielkie i stare. Praca w nich ciężka i brudna. Kiedy skończy się zmiana, ujrysz setki ludzi, wychodzących z bram na East End. Ludzie, którzy wyglądają jakby odwalali śnieg — to ci, co ładowali worki z cementem. Inni, posmarowani na czarno, ładowali węgiel... Wszyscy chcieliby się wykapać po pracy, ale... doki londyńskie nie mają odpowiednich łaźni dla robotników. Nie mają także stołówek. A tymczasem warunki pracy pogarszają się z każdym rokiem, z każdym miesiącem, niemal z każdym dniem.

Londyńscy dokerzy mają za sobą długą drogę walki o swoje prawa. Zaczęła się ona w 1889 roku, kiedy na East End odbył się wielki strajk, który doprowadził do stworzenia pierwszego związku zawodowego dokerów. W roku 1923 poszczególne związki zawodowe dokerów zjednoczyły się w centralny Związek Transportowców i Robotników Niewykwalifikowanych. Kierownictwo tego związku zdradziło później robotników, ale członkowie organizowali w dalszym ciągu akcje strajkowe i umacniali jedność walczących.

Nieugięta walka dokerów przeciw wyzyskowi budzi wściekłość kapitalistów. Za czasów rządów labourystowskich, rządów rzekomo „robotniczych”, władze użyły wojska przeciwko dokerom, a siedmiu przywódców związkowych postawiono przed sąd. Rząd labourystowski nasyłał do szeregów związkowych szpiclów policyjnych, aby zahamować i sparaliżować walkę przeciw wyzyskowi. Dzisiaj rząd konserwatywny podjął dzieło swego poprzednika, dzieło represji przeciwko dokerom.

Atmosferę ogromnych doków brytyjskich i charakteru wspaniałych dokerów oddają w pełni doskonale rysunki Paula Hogartha. Twarze portretowanych przez rysownika ludzi formowały się w ogniu zacieklej walki klasowej: maluje się na nich gorzkość i surowość — uczucia zrodzone z tysięcy krzywd, jakie im wyrządzili kapitaliści. Ale uderza przede wszystkim wyraz dumy i bojowości.

Rysunki Paula Hogartha są hołdem złożonym londyńskim dokerom.



Stare magazyny nad Tamizą.



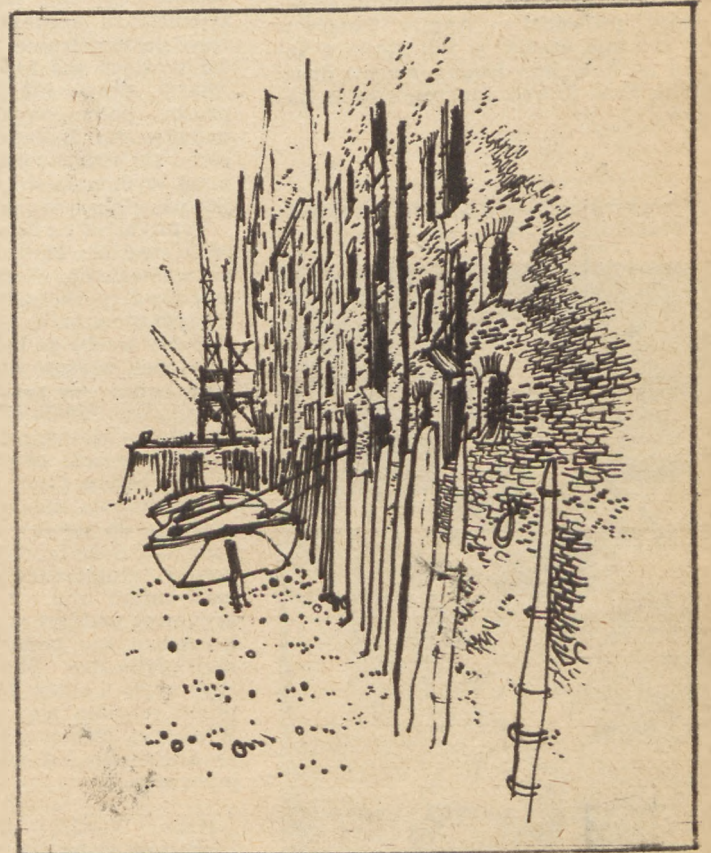
Wiec dokerów.



Żona dokera.

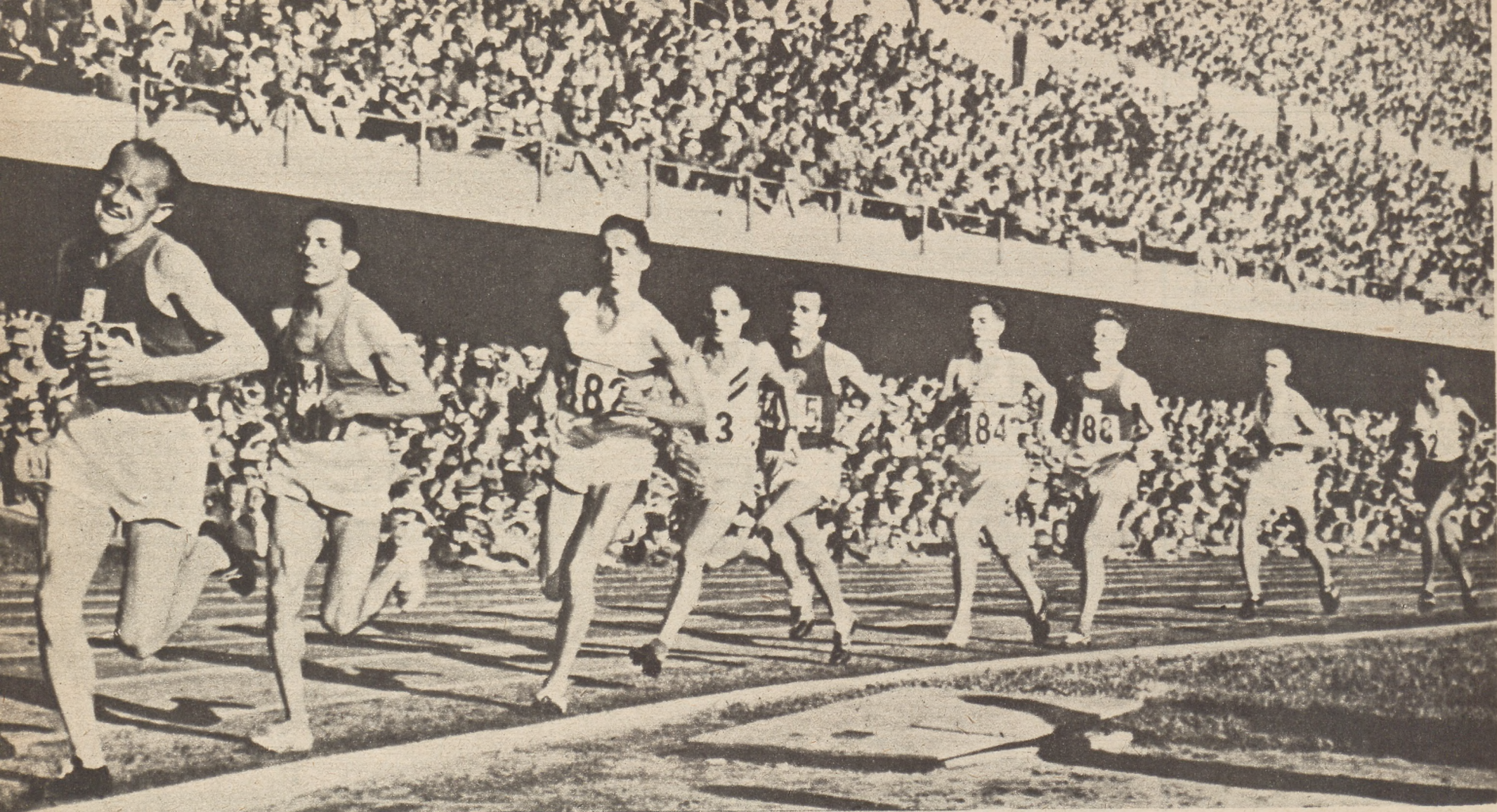


Londyński doker.



Osiemnastowieczne magazyny w londyńskim porcie.

Dokończenie na str. 30



EMOCJONUJĄCY DZIEŃ OLIMPIADY W HELSINKACH: W BIEGU NA 5.000 M PROWADZI ZATOPEK (ZŁOTY MEDAL) PRZED MAROKAŃCZYKIEM MIMOUNEM

Wielki Bieg

JERZY BROSZKIEWICZ

JAK opowiedzieć o Wielkim Biegu? Na stadion przybywały meldunki. Z każdego piątego kilometra podawano czas — na ruchomej, ustawionej w samym środku boiska tablicy, sędziowie wywieszali numery startowe pierwszych piętnastu zawodników.

Pierwszy meldunek mówił: dystans — 5 kilometrów; czas — 15 minut 43 sekundy; prowadzi — Anglik Peters w tym właśnie czasie; w odległości 6 sekund za Petersem biega razem: drugi Anglik Cox, Szwed Jansson i Emil Zatonek.

„Najszybszy człowiek świata“, Zatopek, to chluba sportu Demokracji Ludowych.



Drugi meldunek mówił: dystans — 10 kilometrów; prowadzi — Anglik Peters. O sześć sekund za nim biega Jansson i Zatopek. O pół minuty za tymi dwoma biega Cox — minęli już Argentyńczyk Carbera i Corno.

Tak więc samym tylko suchym podaniem kolejności numerów i czasów skwitowana została pierwsza klęska — klęska Coxa. Pierwsze pięć kilometrów pokonać było łatwo. Nie czuło się zmęczenia, choć cały drugi i cały czwarty kilometr to wzniesienia dochodzące do trzydziestometrowej różnicy poziomów. Od szóstego zaś kilometra, od granicy miasta, droga już biegła łagodnie, po prostej, potem nawet lekko zaczęła opadać w dół. Z obu stron gościńca przyszybiał się świerkowy, żywiczny las i Coxowi wydawało się, że wszystko jest w jak największym porządku.

Tymczasem na ósmym kilometrze zdarzyło się małe, bardzo krótkie i nieznaczne wzniesienie — garbek gruntu przed szeroką i nieckowatą doliną. Z daleka niczym nie groziło — po prostu drobiazg. Ale gdy trzeba go było minąć, a Jansson i Zatopek właśnie tuż przed nim zwiększyli tempo, ów garbek wzrósł nagle do rozmiarów wielkiej przeszkody. Nogi osłabły — zimny pot zalał oczy. Umysł zaś, tak jeszcze przed kilkoma minutami swobodny i jasny, zaćmiła niechęć. Ostra, gorzka niechęć — do walki, do wysiłku, do siebie i swojej słabości. Od razu zgubił się tamtym dwóm — Janssonowi i Zatopekowi. Potem doszli go i zaczęli mijać inni. Nie zareagował, nie próbował walczyć. I tak meldunek z 10 kilometra nie podał go już w pierwszej piętnastce biegaczy. Kryzys był zbyt nagły i ostry, by się udało — a po prostu chciało się go przezwyciężyć. Wiadomo: jeśli przychodzi tak wcześnie — nie warto już walczyć. Walka jest przegrana.

Honor Wielkiej Brytanii postanowił uratować Peters. Peters obejrzawszy się na ósmym kilometrze spostrzegł, że Cox traci siły. Po kilku minutach obejrzał się znowu i nie była to dobra chwila — biała koszulka kolegi znikła już w

dalekiej perspektywie drogi. Peters spodziewał się, że nadejdzie taki moment. Wiedział, że tamtego nie stać na walkę ze stawką najlepszych. Nie spodziewał się jednak, że cała sprawa rozstrzygnie się tak szybko. Serce mu drgnęło pod ciężarem samotności. Bliskość Coxa, dobrego chłopca, dowcipnego kompana, była czymś, co dodawało otuchy. Pomału myśleć spokojniej, spokojniej rozpatrywać sprawy biegu.

Peters bowiem niezbyt wierzył w swoje zwycięstwo. Wierzył, że ma prawo i musi o nim myśleć — był w życiowej formie i cały ostatni rok pracował z myślą o nim. Przestał nawet palić, wyrzekł się niemal całkowicie piwa, trening prowadził z pedanterią i flegmą przeciwną jego bardziej „irlandzkiej” niż „brytyjskiej” duszy.

Teraz zaś postanowił postawić wszystko na jedną kartę: iść do przodu, dyktować tempo, prowadzić. Wydawało mu się, że jeśli narzuci reszcie swoją bezwzględną wolę szybkości, swój rytm i swoje obliczenie międzyczasów — reszta podda się owej woli. Nie przetrzyma rozgrywki.

Poza tym Peters chce uciec. Wie, że przyjdzie nań kryzys. Między 20 a 30 kilometrem zapewne zagarnie go ciężka, rozgrywka.

Poza tym Peters chce uciec. Wie, że przyjdzie nań kryzys. Między 20 a 30 kilometrem zapewne zagarnie go ciężka, rozgrywka.

Zdobywca trzech medali olimpijskich, zwany popularnie w Helsinkach „czechosłowacką lokomotywą”, dwukrotnie zwyciężył znakomitego Marokańczyka Mimouna.



szeroką falą zmęczenia. I właśnie dlatego ucieka, by być wtedy na przodzie — daleko przed przeciwnikami. By mieć przewagę, która pozwoli utracić tylko część zdobytych metrów i na „drugim oddechu” odeprzeć ataki idących za nim, najgroźniejszych przeciwników. Znow się ogląda — poznaje ich: Jansson i Zatopek.

Ucieka więc coraz szybciej. Oto piętnasty kilometr — jest ciągle pierwszy, ciągle dyktuje tempo biegu. Ale oto w perspektywie prosto już, bez załamania biegnącej szosy, poczyna ukazywać się coraz bliższa fala wzniesień. Peters biegnie ku nim — one zaś nadchodzą, płyną mu naprzeciw szeroką ławą falistych pagórków.

O tej zaś także porze idący od morza wiatr przyspiesza lot chmur, rozrywa ich spojone ze sobą brzegi. W głębi krajobrazu pojawia się ściana światła. Wygląda to bardzo pięknie — lasy ożywają, ich zieleni nabiera miękkości aksamitu. Słońce.

Biegacze podnoszą wzrok ku niebieskim wyspom wylaniającym się z chmur coraz jaśniejszych, coraz bardziej przejrzystych. Ich twarze skrzeple w obojętnym grymasie, ścięte już zmarszczkami zmęczenia, pozostają nieruchome.

Na 18 kilometrze — droga ciągle idzie pod górę, a po twarzy Petersa poczyna spływać pierwsze strumienie potu — w gwar witających biegaczy widzów wpada wysoki, skandowany okrzyk:

— E-mil! E-mil! E-mil!

Zatopek, ciągle jeszcze biegnący na trzeciej pozycji za Janssonem, rozgląda się. Mijają właśnie zakręt — na zakręcie stoi kilkudziesięcioosobowa grupa chłopców i dziewcząt w granatowych koszulkach — wymachują na jego powitanie chorągiewkami o czeskich barwach. Inne chorągiewki mają barwę niebieską — na niebieskim tle biała sylwetka gołębia. To Czesi z wioski w Jalias.

Zatopek odpowiada na powitanie unosząc w górę dłoń. Uśmiech jego jest swobodny i jasny. Uśmiechem tym chce ich powitać — chce nim także dać znać, że osiemnaście kilometrów nie sprawiło na nim żadnego wrażenia. Że mogą mu ufać.

Mija ich szybko — tym szybciej, że spotkanie z nimi wyzwala wreszcie decyzję: czas objąć prowadzenie. Droga znowu wznosi się pod górę. On jednak nie dba o to. Więcej — postanawia właśnie ten moment wykorzystać. Czuje w sobie taki zapas sił i energii, że dłużej czekać mu już nie wolno. Jeśli nie ze względu na przeciwników, to ze względu na czas — czas, który powinien być rekordem.

Wychodzi przed Janssona. Właśnie nadpływa szeroka, świecąca fala słońca. Zatopek marszczy się niechętnie — i od razu z przyjazną kpinką krzywi twarz w uśmiechu. Wyobraża sobie, co teraz zacznie przeżywać Doleżał. Będzie to miało zapewne charakter żywiołowego przerażenia — słońce, co robi z Emilem słońce? Zatopek zresztą wie, czego przede wszystkim boi się Doleżał. Sprawa nigdy nie została dopowiadana do końca — a w gruncie rzeczy jasna jest, jak słońce właśnie. Doleżał po prostu boi się Argentyńczyków. Twierdzi, że ich sukcesy w maratonie wynikają częściowo także z diabelnej odporności na upał. Argentyńczykom słońce nie strasze.

A słońce istotnie potrafi być wrogiem. Peters biegnie w jego świetle i cieple od kilku zaledwie minut. Zatopek coraz bardziej zbliża się do Anglika i coraz wyraźniej widzi jego zlane potem barki, mokry kark, zwilgotniałe koszulki na plecach. Owe plecy są boleśnie wymowne. — Po ruchu łopatek, po pracy nisko opuszczonych łokci widać, że Peters nie potrafi walczyć. Jeszcze prowadził, jeszcze przez kilkanaście sekund będzie pierwszym. Ale — patrząc na Zatopek czuje, jakim ciężarem staje się dla Anglika każdy krok, jakim bolesnym wysiłkiem każdy oddech. Przez głowę przemija niespokojna, zła myśl — czy i tobie nie zagrozi przestrzeń, nie dobije cię słońce? Dla najgroźniejszych przeciwników, biegaczy Argentyny, słońce rzeczywiście nie jest tak surowym egzaminatorem kondycji, jak dla Europejczyków.

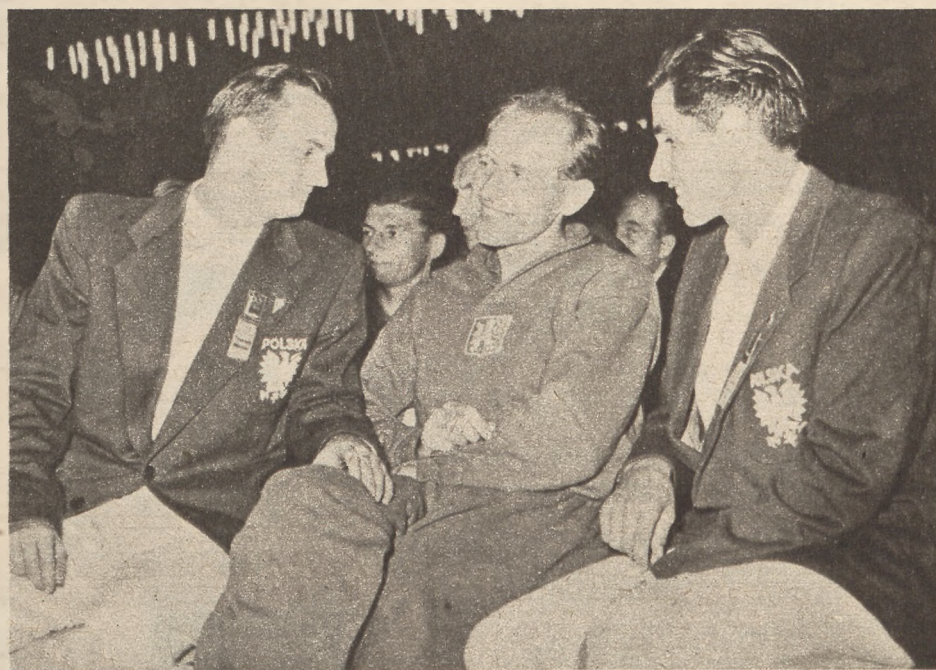
By odgonić złą myśl i uciec od złego widoku pleców Petersa, Zatopek wydłuża krok i po kilkudziesięciu metrach mijają Anglika. Ludzie stojący wzdłuż trasy reagują na ten obraz opętanym krzykiem — Zatopek obejmuje prowadzenie! Mijając Petersa chwytają jego

spojrzenie. Anglik nie próbuje nawet walczyć. Jego oczy przesłania mgiełka drżenia i świetlistości.

Przed Zatopekiem otwiera się wolna perspektywa drogi. Emil nabiera oddechu w płuca i zapominając o wszystkim znowu przyspiesza. Musi się śpieszyć. Na Wielkim Stadionie — na mecie biegu czeka rekord.

Niedługo będzie półmetek. Na stadion przybywa meldunek. Patrzący w stronę tablicy widzowie łączą się w oklaskach — a więc prowadzi „903”, Emil Zatopek. Tuż za nim Jansson. Peters pozostał już z tyłu o pół minuty.

Doleżał widząc pojawiające się na tablicy dalsze numery podnosi wzrok na coraz czystsze niebo i szepce coś z pasją — oto numery „6” i „5” idą wyraźnie naprzód, jakby słońce ich obudziło. Są to Argentyńczycy: Corno i Carbera. Młody, piękny Corno i słynny Carbera o twardej, ciemnej twarzy drwala — słynny ze zwycięstwa w Londynie, kiedy to wspaniale finiszując, już na stadionie, na ostatnim okrążeniu dognał prowadzącego cały bieg Belga i zostawił go za sobą o 100 metrów.



Zatopek rozmawia z zawodnikami polskimi. W Helsinkach zacieśniły się więzy przyjaźni pomiędzy sportowcami bratnich krajów Demokracji Ludowych.

Tymczasem właśnie w tej chwili na trasie rozgrywa się scena, której widok ukoiliły wszystkie troski i niepokoje Doleżała związane z biegiem przyjaciele. Bohaterem zaś owej sceny jest nie tyle Zatopek, co młody fotoreporter, chłopak o wesołej twarzy i walczącej się znużeniu czoła ku oczom gęstej fali włosów.

Fotoreporter jadący na wozie prasowym chciał zrobić sobie efektowne zdjęcie Zatopeka — z klęczącej pozycji, od dołu. Wysiadł więc z wozu i czeka.

Za pierwszym jednak razem Zatopek odwraca głowę i źle wchodzi w plan. Fotograf chcąc poprawić zdjęcie goni go — i nie może dognać! Z oklaskami na cześć biegacza łączą się rosnąca coraz wyżej gama śmiechu, parskania, chichotu i kpiny. Młody chłopiec, który wszystkie te kilometry przejechał w wozie, nie może dognać Zatopeka. Tak, biegacz umyka mu, zostawia go za sobą. Nie widzi zresztą nawet trudów fotoreportera — patrzy prosto przed siebie. Tamten zaś macha w końcu rozpaczliwie ręką i wraca do auta. W ten sposób — decyduje — prawdopodobnie dogna Czecha.

Na półmetku zaczyna się droga powrotna. Teraz — po przebyciu połowy trasy — będzie się wracać ku południowi, w stronę stadionu, mety, rekordu. Mijając półmetek Zatopek czuje radosne drgnienie serca. Jest spokojny o siebie. Nie czuje ciężaru rosnącego upału, mięśnie ma płynne, elastyczne — serce bije swobodnie. Uśmiecha się. Po chwili jednak jego twarz staje się znowu doskonale obojętna, patrzy prosto przed siebie.

Patrzy prosto przed siebie, by uniknąć wzroku biegnących jeszcze w stronę półmetka zawodników. Sprawia to widok twarzy Petersa — ścięte zmęczeniem w grymas bezwiednej, nieświadomej nawet rozpacz. Na bieżni, przy dublowaniu, takich twarzy się nie widzi. Po prostu mijają się zawodnika — nie wi-

dać jego twarzy, nie musisz spotykać jego wzroku. Teraz zaś jest inaczej. I to sprawia przykrość — chwile wstydu, rozpacz, lub tępej jak zmęczenie obojętności na wszystko co się dzieje. Tych, którzy mają jeszcze przed sobą drogę dłuższą o upokorzenie. O klęskę.

W pewnej jednak chwili — gdy droga Zatopeka krzyżuje się już z drogą ostatnich zawodników — nadchodzi moment szczególny. Taki, jakiego nie zapomina się.

Oto biegnący z najwyższym trudem, niezmiernie chudy Hindus, traci na widok Zatopeka grymas rozpaczliwego wysiłku. Nie unika jego wzroku, nie schodzi mu z drogi. Wybiega mu nawet naprzeciw — tak że niemal się ocierają barkami. I właśnie gdy się mijają uśmiecha się pięknym uśmiechem, potrząsa dłońią, woła, by go zrozumiano, po angielsku:

— Zwycięzaj.

Po chwili zaś przed biegnącym już samotnie Czechem znowu otwiera się wolna od widoku tamtych, czysta perspektywa wiodącej na południe szosy.

I tak mijają kilometry. Na trzydziestym drugim znowu słyszy głos Cze-

chów. Na czterdziestym wita go cała reszta chłopców i dziewcząt z Jalias. Witają go zawołaniem w wielu językach, ale o jednej treści:

— Ranka! Paix! Frieden! Pace!

— Ranka! Paix! Frieden! Pace!

Na stadion zaś idą meldunki. Kilometry: dwudziesty piąty, trzydziesty, trzydziesty piąty. Prowadzi ciągle numer „903”.

Ale oto między trzydziestym a trzydziestym piątym ujawnia się nowa prawda — Argentyńczyk Corno zaczął pogoń za Zatopek. Wpierw wyszedł na trzecią pozycję minawszy osłabłego całkiem Petersa. Potem zaś rozpoczął walkę z Janssonem i wygrał ją bez większego trudu. Teraz dzieli go już od Szweda pół minuty — blisko dwieście metrów.

Zatopek jest przed nim o pół kilometra. Corno jednak biegnie równie lekko jak Czech. Na brawa odpowiada uśmiechem — z ciemnej twarzy błyskają białe zęby.

Wszyscy wiedzą, że ta chwila się zbliża. Coraz częściej wiąże ludzkie spojrzenia maratońska brama stadionu. Dzień pozośnie jeszcze nie przechylał się ku wieczornej porze i trwa pełnia jasności — a przecież dno stadionu poczyna już dymić cieniami. Cienie jak mgły wstają z wnek i załamania muru, legną się koło balustrad, skupiają w bramach stadionu.

Brama maratońska jest pusta i cicha. I właśnie pełna jest już cieni. By go rozegnać, trzeba wyteńczyć wzrok na długo, że w końcu spojrzenie mać się łzami i znowu nic nie widać. Mimo to w ostatnich minutach dziesiątki tysięcy ludzi patrzą w owo miejsce, starają się przebić mrok niespokojnym spojrzeniem. Niepokój oczekiwania ogarnia nawet najbardziej obojętnych — rozróża nawet zimne serca. Kto wbiegnie jako pierwszy przez maratońską bramę? Czy uda się zwycięstwo człowiekowi, który podjął bezprzykładną próbę zdobycia

trzech złotych medali. Na trzech wielkich dystansach jednej Olimpiady? W tej chwili każdy pojmuje wielkość owej próby — i nikt nie umie oprzeć się porwyczej, żarliwej niecierpliwości tych ostatnich minut. Długość ich mierzą uderzenia serc. Danie wydaje się, że ciężki rytm jej serca jest wspólny z ciężkim rytmem kroków biegnącego trasa zawodnika. — Erich Schubert z Turyni i Annie Tolschien z Sidney unoszą dlonie ku piersiom — „Pet” marszcząc boleśnie czoło nie odrywa wzroku od siemnej wnęki bramy. Olawi stoi pochylony, jakby sam chciał zerwać się do biegu — Armas mówi coś do siebie szeptem zdyszany a szybko... Na stadionie zapada nagle cisza — wydaje się, że słychać zmieszany, odległy chór tysięcy głosów — tak, słychać je już na pewno. Cisza jest taka, że łopot flagi płynie tuż nad głowami. Wpada w nią głos spikera:

— Za chwilę wbiegnie na stadion pierwszy z maratończyków!

W sekundę później stadion słucha olimpijskich fanfar — motyw zwycięzców powtarza się po raz pierwszy, drugi, trzeci... Tak, nikt nie potrafi oprzeć się wzruszeniu owych sekund. Motyw zwycięzcy wita niewidzialnego jeszcze zawodnika. Ludzie jeszcze milczą — jeszcze czekają. Ale właśnie siła ich wzruszenia, mierzona milczeniem tak doskonałym i napięciem tak żarliwym — już jest powitaniem, już święci zwycięstwo, którego obraz za chwilę wejdzie w serca widzów, by na długie lata w nich pozostać.

Brama maratońska tonie w cieniu — dlaczego ów cień jest tak gęsty? Oczywiście zachodzą łzami.

Ale oto cień ów nagle przełamuje się i drży. Rozbija jego nieruchomy spokój czyjaś sylwetka. Przez ułamek sekundy nikt jeszcze jej nie rozpoznaje.

Jest to zwycięzca.

Już mija mrok bramy. Wbiega na bieżnię. Wbiega w jasność dnia. Pędzi krokiem długim, pewnym siły, jak zwycięstwo właśnie. Któż ośmielił się mówić o brzydocie tego kroku? Przecież nikt o niej nie pamięta — nie umie pamiętać. Uniesienie powitalnych chwil podrywa osiemdziesiąt tysięcy ludzi z miejsc, nikt nie wie, co krzyczy — nikt nie słyszy swego głosu.

Każdy natomiast pojmuje piękny sens swego entuzjazmu. Nie ma w nim śladu łatwej radości na temat szczęśliwego trafu. Nie jest to wypalające się, jak słomiany płomień, uniesienie hazardem. Ten oto zwycięzca, którego w tej chwili witają, godny jest najszlachetniejszego wzruszenia. Nikt tak jak on nie potrafił przezwyciężyć wszystkich słabości ludzkiego organizmu — nikt nie umiał w sposób tak doskonały dać przykładu woli walki, mądrości i siły zawodnika walczącego o zwycięstwo najpełniejsze.

Zatopek zwycięża po raz trzeci. Jakże sprawiedliwe jest jego zwycięstwo. Teraz wiedzą o tym wszyscy. Nawet Frazer patrzy nań oczami zaokrąglonymi podziwem i szacunkiem; bije brawo zawzięcie. Przed pędzącym ku mecie Czechem pochylają się chorągiewki wszelkich barw. Dotychczas barwy Wielkiej Brytanii witały tylko angielskich zawodników — zielone chorągiewki Brazylijczyków miały budzić zapal w sercach reprezentantów Brazylii — taki był stary obyczaj i owej wyłączności przestrzegano sumiennie.

Tym jednak razem zwycięzca pozdrawia wszystkie chorągiewki. — Chyla się ku bieżni — migają barwami.

On zaś mija już ostatni wiraż. Finiszuje, jak po pięciu kilometrach — walczy o każdy ułamek sekundy, z całą pasją człowieka walczącego o zwycięstwo najdoskonalsze. Jego przeciwnikiem przed kilku minutami już tylko rekord. Ale i tego przeciwnika zdążył pobić.

Tak więc Zatopek nie walczy nawet z rekordem. On walczy z czasem i przestrzenią o najpiękniejszy wzór dla swych następców. Daje nową wartość — uczy sportowców całego świata nowej odwagi. Żąda od swych następców doskonałości takiej, jakiej nie znała dotychczas historia Olimpijskich Igrzysk. I ta właśnie prawda odkrywa go największą sławą — na długie dziesiątki lat. Cały stadion wie o tym. Wzrusza go pasja tej wspaniałej walki. Porywa go pewnością, że uniesienie, jakie przeżywa, jest szlachetnym uniesieniem.

Zatopek dobiega już taśmy — na bieżni zaś nie znalazł się jeszcze idący na drugiej pozycji Corno.

Taśma opada przed piersią zwycięzcy.

Pierwsza całuje go żona. Oczywiście i migotliwe.

Gra świąteczna „Świa

DWAJ BERBECIE

Tekst:
JAN BRZECHWA
Rys.:
HA-GA i E. LIPIŃSKI

Gra jest dla tych, którzy wiersze
Lubią czytać. To po pierwsze.

A po drugie i po trzecie
Byli sobie dwaj berbecie:

Jeden dosyć okazały,
Za to drugi bardzo mały.

Jeden miał już cztery lata,
Drugi starszy był od brata.

Tak, czy owak — dwaj berbecie
Wędrowali raz po świecie.

Świat berbeciów jest nieduży,
Lecz wystarczy do podróży.

Idą, idą dwaj berbecie,
A to właśnie było w lecie —

Z górki widać sad i pole,
Srebrna rzeczka szemrze w dole,

A kukułka w cieniu buka
Cztery razy głośno kuka.

Na podwórku widać Burka,
Uciekajmy więc z podwórka,

Bo gdy zacznie się szczekanie,
Matka zaraz w oknie stanie.

Pokąd wszyscy trwają we śnie,
Warto pójść jest na czereśnie —

Płotek stoi na zawadzie,
Hop! I już jesteśmy w sadzie.

Lubi jeść czereśnie łasuch,
Ale czyż nie szkoda czasu?

Bo to przecież trwa dopóty
Aż się straci w grze dwa rzuty.

No, ruszamy! Oto ścieżka,
Przy tej ścieżce indyk mieszka,

Trudno nie bać się indyka,
Kto go spotka — zaraz zmyka.

Można w świat iść inną drogą,
Tutaj nie ma już nikogo,

Można podejść do mrowiska
Żeby mu się przyjrzeć z bliska.

Przystanęli dwaj berbecie,
Patrzą, patrzą i — czy wiecie? —

Tak ich wszystko to ciekawi,
Ze dopóki się nie zjawi

Inny gracz — nie pójda dalej,
Tylko tutaj będą stali.

Wreszcie w drogę znów ruszyli.
Naprzód! Biegiem! W jednej chwili

Są już hen, na skraju łącki,
Patrzą — co to? Dwa zajaczki.

By dorównać im w szybkości
Gracz dwa razy rzuca kości.

Naprzód suną dwaj berbecie,
Już tuż prawie są przy mecie,

A tu nagle — katastrofa:
Idą krowy... Gracz się cofa,

Gracz ucieka dość daleko,
Tam, gdzie stoi młyn nad rzeką.

By ostrożnie przejść przez mostek,
Gracz wyrzuca jedną z kostek:

Jeśli jeden punkt wyrzuci,
Do mrowiska znów powróci.

Dwaj berbecie drogą polną
W stronę lasu idą wolno,

Ale lasek ogrodzony,
Widać napis: „Wstęp wzbroniony“.

Z tego prosty sens wynika,
By nie niszczyć zagajnika.

Kto się znajdzie w tym zakątku,
Grę zaczyna od początku.

Ale oto jest dąbrowa —
Kto się w drzew gęstwinie schowa,

Ten przeczeka wszystkich graczy.
Cóż... Nie może być inaczej.

Dwaj berbecie siedzą w lesie,
Trochę jeść i pić już chce się,

A tu rośnie jagód tyle...
Stój! Zatrzymaj się przez chwilę!

Kto jagody wilcze zjada,
Ten natychmiast z gry wypada.

Zamiast czas napróżno trwonić,
Lepiej innych graczy gonić,

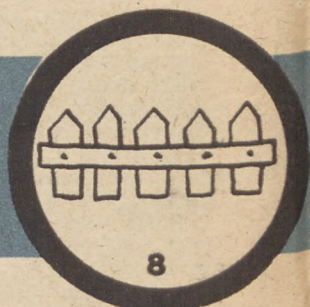
Więc na przełaj biegną miedzą,
Niejednego z nich wyprzedzą.

Długa podróż jednak nuży,
Czas już wracać z tej podróży.

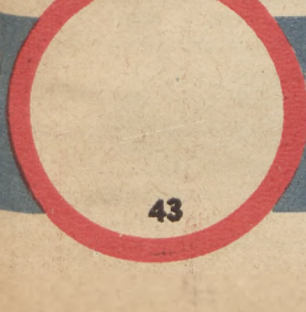
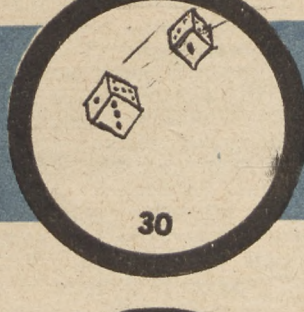
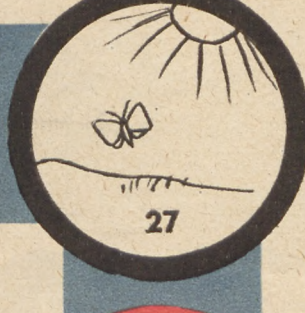
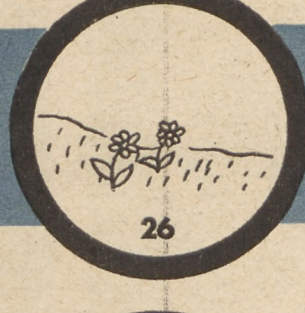
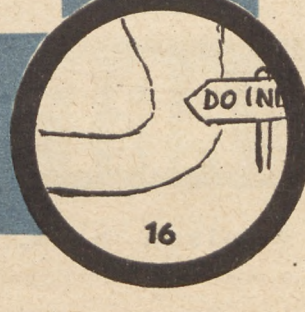
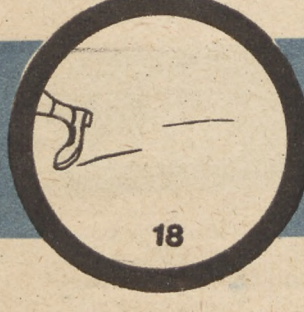
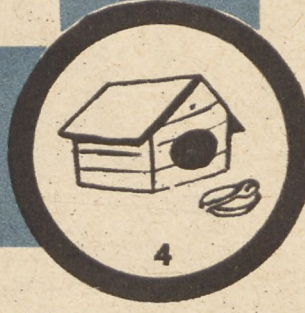
Właśnie chłopak jedzie wozem,
— „Siadźcie, chętnie was podwiozę!“

I niebawem dwaj berbecie
Ukazali się na mecie.

Matka chwytą ich w ramiona,
Ot i wszystko. Gra skończona.



la"



OBJAŚNIENIA GRY

Świąteczna gra „Świata” przeznaczona jest dla naszych najmłodszych Czytelników. Jest łatwa, ale niemniej ciekawa i na pewno wielu dzieciom spodoba się i uprzyjemni święta.

Do gry potrzebna jest kostka. Taka zwyczajna, sześcioboczna, z kropczkami na każdej ścianie — od jednej do sześciu.

Poza tym każdy gracz musi mieć pionek, przy pomocy którego będzie uczestniczył w podróży „Dwóch Berbeci”.

Każde z grających dzieci kolejno rzuca kostkę i posuwa się pionkiem o tyle miejsc, ile punktów wyrzuci. Jeśli trafi do kółka z czerwoną obwódką, czeka go przygoda — a jaka? — spójrzcie na poniższe objaśnienia. A poza tym przeczytajcie sobie piękny wierszyk Jana Brzechwy.

Nr 3 — posuwasz się o cztery miejsca naprzód.

Nr 5 — przechodzisz do n-ru 7.

Nr 9 — przechodzisz do n-ru 11.

Nr 12 — tracisz dwa rzuty

Nr 17 — przechodzisz do n-ru 19.

Nr 21 — czekasz, aż drugi gracz wejdzie na to miejsce — wtedy obaj przechodzicie do n-ru 23.

Nr 28 — rzucasz dwa razy.

Nr 31 — przechodzisz do n-ru 32.

Nr 33 — jeśli będąc na mostku wyrzucisz jeden punkt, wracasz do mrowiska, to jest do n-ru 22, jeśli wyrzucisz więcej punktów, posuwasz się normalnie naprzód.

Nr 36 — jeśli tu trafisz, zaczynasz grę od początku.

Nr 40 — czekasz, aż inni gracze przejdą poza Twój numer.

Nr 43 — wychodzisz z gry.

Nr 45 — przechodzisz do n-ru 46.

Nr 46 — przechodzisz do n-ru 50.

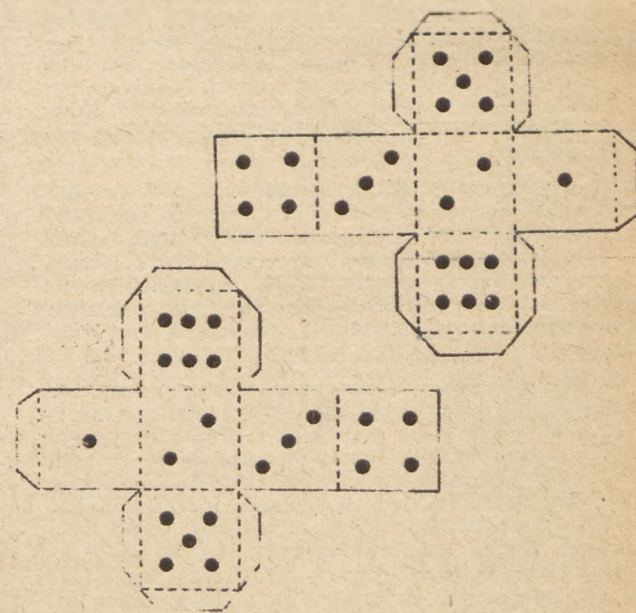
Nr 49 — wracasz do n-ru 32.

UWAGA!

Jeśli nie macie w domu kostki, wytnijcie tę, którą zamieszczamy na tej stronie. Należy ją jednak przedtem nalepić na karton, aby była sztywna, a właściwy kształt na pewno potrafcie jej nadać. Tym sposobem wykonacie i pionki, ale możecie także w ich miejsce użyć np. cukierków w różnokolorowych papierkach.

Zyczymy Wam wesołej zabawy z „Dwoma Berbeciami”.

KOSTKI I PIONKI DO LOTERYJKI





Ofelia w „Hamlecie” Szekspira.



Maria Stuart w tragedii F. Schillera.



Julia w „Romeo i Julia” Szekspira.

NA WYŻYNACH ARTYZMU

Z KRONIK
O MODRZEJEWSKIEJ

Napisał: S. W. BALICKI

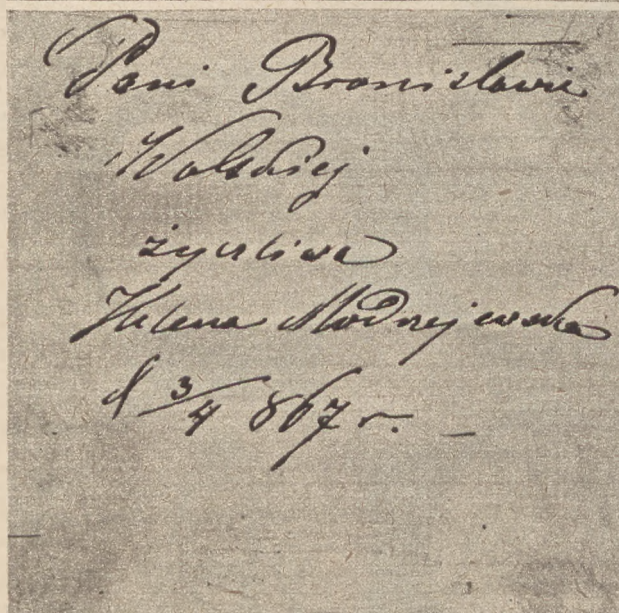
„Jak żyję, nie widziałem artystki naszej tak grającej. W porwywie natchnienia przeszła samą siebie. Czar najprawdziwszej poezji płynął z niej i porwał w siódme niebo słuchaczy... W antrakcie można było dopiero ocenić wrażenie, jakie wywarła na publiczności. Słowa: „splendid! splendid!” rozległy się naokoło. Wyrażano głośno niewiarę w to, że uczyła się dopiero od ośmiu miesięcy po angielsku. Reportażowicze gazet łatali jak szaleni, nastuchując, co mówi publiczność. Pułkownik Hinton, redaktor „Evening Post”, przybiegłszy do jednego z naszych rodaków wykrzyknął z czysto amerykańskim entuzjazmem: „Now she is Worth 200 000 dollars!” (Teraz ona już ma 200 000 dolarów)...”

Tak Litwos, czyli Henryk Sienkiewicz, w korespondencji z San Francisco, pisanej w r. 1877 do warszawskiej „Gazety Polskiej”, donosił o niebywałym sukcesie, jaki odniosła „celebrated Polish artist, Mrs. Helena Modrzejewska”, dn. 20 sierpnia 1877, wystąpieniem na scenie angielskiej California Theatre w roli Adrianny Lecouvreur (dramat Scribe’a o heroinie sceny francuskiej).

Powtórzyły się więc te same emocje publiczności i te same triumfy Heleny Modrzejewskiej (Anglicy i Amerykanie uprościli sobie wymowę i pisownię jej nazwiska), jakie odnosiła już w Warszawie w r. 1868, grając, obok „Adrianny Lecouvreur”, Anielę w „Ślubach panieńskich” czy tytułową rolę „Panny mężatki” w komedii Korzeniowskiego. Wtedy to wielkość sceny warszawskiej, słynna Halpertowa, emerytka od lat dwudziestu, zawołała zachwycona: „Ależ ona rozpoczyna tym, na czym ja skończyłam!” Tak pisze w swych pamiętnikach znakomitość aktorska i kronikarz sceny warszawskiej, Wincenty Rapacki, dodając od siebie: „Była zjawiskiem”.

Niezapomniany amant bohaterski warszawskich „Rozmaitości”, jakże zasłużony Józef Sliwicki poznał Modrzejewską w r. 1885, gdy — przyjechawszy z Ameryki — występowała w Warszawie. W swoich wspomnieniach, podobnie jak inni, pisze: „Już zewnętrzne warunki czyniły z Modrzejewskiej zjawisko wyjątkowe i to nawet w tych czasach, kiedy uroda była koniecznym atrybutem aktorki. Stusznego wzrostu, miała Modrzejewska śliczną figurę, której smukłość podkreślała ówczesna moda obcisłych sukien i gorsetów, niezwykle piękną twarz, melodyjny głos i precyzyjne oczy, w których spojrzeniu odbijał się każdy wyraz duszy...”

„Ażeby dostać bilet na przedstawienie — notuje dalej Sliwicki o powodzeniu występów Modrzejewskiej — ustawiano się w ogonku przed kasą już o godzinie dziesiątej wieczorem i czekano cierpliwie całą noc. Ogonek ten — sam w nim raz stałem — obiegał cały teatr, skrę-



Dedykacja na fotografii dla wybitnej artystki sceny krakowskiej, Bronisławy Wolskiej.

cał w Wierzbową, potem w Senatorską i kończył się pod kościołem św. Antoniego...”

Mistrz Franciszek Kostrzewski miał jeszcze jeden temat do swych popularnych, świetnych szkiców z życia obyczajowego ulicy warszawskiej.

Modrzejewska (ur. 1840, zm. 1909) była dzieckiem Krakowa. Wychowała się w środowisku aktorskim, jej starszym bratem przyrodnym był znakomity Feliks Benda. Od amatorskich przedstawień w Bochni, poprzez wędrowną rzemienną dyszlę w trupie Łobojki, zwanej „Nowosądecki teatr polski”, wciąż wiele czytając, kształcąc się, przy trudnych i przykrych warunkach rodzinnych, wiedzie Modrzejewską droga na scenę lwowską, gdzie ma pełnić rolę stałej dublerki. Tu od złośliwości zawistnych koleżanek ratuje ją wielkoduszna Aszpergerowa, pod której opieką gra po raz pierwszy Słowackiego — Skierkę w „Balladynie”. Przy pomocy protektorki sama przygotowuje kostium. „Tunika była zrobiona z pasa mieniącego się gazy brązowej, grubo fałdowanej na żółtym jedwabiu; miała przedstawiać chrapąszcza — zapisuje w swoich pamiętnikach Modrzejewska. — Moja suknia była krótka w porównaniu do długich spódnic, jakie nosiły wówczas aktorki. Miałam na sobie brązowe trykoty i złote skrzydełka. „Okropność!” — zawołała każda z bogini, widząc mnie przechodzącą. „Wstyd! Okropność! Ona jest goła!”, z czego p. Aszpergerowa się śmiała, mówiąc do mnie: „Nic nie szkodzi, zupełnie dobrze wyglądasz”. Ale mimo jej dobrych słów pocieszenia przeżyłam jeden z tych strasznych przestrachów scenicznych, który wytwarza głos bełkocący, paraliżując akcję”.

W r. 1865 jest już Modrzejewska w Krakowie, na scenie Skorupki i Koźmiana, w otoczeniu pierwszych wielkości aktorskich. W dwa lata później gra tytułową rolę w „Marii Stuart” Słowackiego w prapremierze krakowskiej, wkrótce gra Goplanę w krakowskiej premierze „Balladyny”, obok gościnnie występującej Aszpergerowej (Matka), Ładnowskiego (Kirkor) i Antyni Hoffman (Balladyna). Hoffman i Modrzejewska — dwa z największych nazwisk artystek teatru polskiego. Obie szerzyły kult Słowackiego, przeniosły go z Krakowa na scenę warszawską i poznańską, przewalczywszy trudności w cenzurze państw zaborczych. Fragment „Mazepy” grała Modrzejewska na koncercie w Warszawie, „ukrywszy” autora pod literami: J. S.

Pasją Modrzejewskiej — obok polskiego repertuaru romantycznego i klasycznego, a także twórczości Wyspiańskiego — był Szekspir. Jej pierwszą szekspirowską rolą była Julia w dramacie „Romeo i Julia”, granym u Koźmiana. Romeem był Ładnowski. Wspomina, przejęta tą rolą, w pamiętniku, że próby z Ładnowskim odbywali na cmentarzu, to znów pod drzewami „przy przytłumionych głosach” przygotowywali się do sceny

balkonowej. Te metody stosować będzie później jakże często Stanisławski w Rosji, u nas Osterwa.

Decyzja Modrzejewskiej przeniesienia się wraz z mężem. Chłapowskim, do Ameryki i osiedlenia się w Kalifornii, na farmie, podyktowana była wielu względami osobistymi. Ale wśród nich, jak to niejednokrotnie podkreślano, była w tej niespokojnej, artystycznej naturze i chęć grania Szekspira w jego ojczystym języku. Szekspir też w Ameryce i w Anglii był głównym tematem jej aktorskiej działalności. Z nowo wystudionowanymi rolami, najpierw po angielsku, potem po polsku, zjeżdżała do kraju, głównie Krakowa.

W Ameryce, na angielskiej scenie, grała też po polsku. „Proszę napisać do Warszawy — cytuję w korespondencji jej oświadczenie Sienkiewicz — że gdziekolwiek będę, w każdym mieście, tak w Ameryce jak w Anglii, będę grała Ofelię po polsku”. I w jednym z „Listów z Ameryki” znajdujemy sienkiewiczowski opis wzruszeń, jakie przeżywała amerykańska publiczność: „Doprawdy, dziwne to było przedstawienie. Mała rola Ofelii pokryła sobą wszystkie inne; zniknął Hamlet, zniknął król Klaudiusz, Poloniusz, Laertes, zdawało się, że gra sama tylko Ofelia”.

Występy Modrzejewskiej stawały się okazją do manifestacji uczuć narodu amerykańskiego dla polskiego. W jednym z sonetów ku czci artystki czytamy (przekład prozą, Sienkiewicz): „Cóż Sarmacji wielka! bądźże po zdrowiona w naszym kraju, za który bliscy ci bohaterowie walczyli. Ty, przyczyniając się do nowych triumfów, nawiązujesz na nowo dawne nici i nowy blask dodajesz do kart, które już sława nakreśliła”.

W r. 1905 w „Metropolitan Opera House”, w Nowym Jorku, odbył się wielki publiczny hołd dla Modrzejewskiej, będący, jak głosiło zaproszenie, podpisane przez najwybitniejszych artystów i czołowe osobistości amerykańskiej kultury, „niedotężną próbą spłacenia drogiej Pani wielkiego długu, z którym pozostaniesz zawsze wobec nas hojną wierzycielką: w Pani sztuka aktorska naszych czasów znalazła jeden z najszczytniejszych wyrazów...”

W r. 1936 jedna z czołowych aktorek Stanów Zjednoczonych, siostra popularnych artystów filmowych, Ethel Barrymore, ukończywszy lat pięćdziesiąt wycofała się ze sceny, motywując swój krok w wywiadzie dla prasy amerykańskiej tym, że scena amerykańska należy do przeszłości. Największą artystką sceny amerykańskiej była Helena Modrzejewska — Polka. Do jej wyżyn artystycznych nie dotarła żadna amerykańska aktorka.

Nie posiadamy zorganizowanej nauki o polskim teatrze. Nie mamy rzetelnych monografii o aktorach.

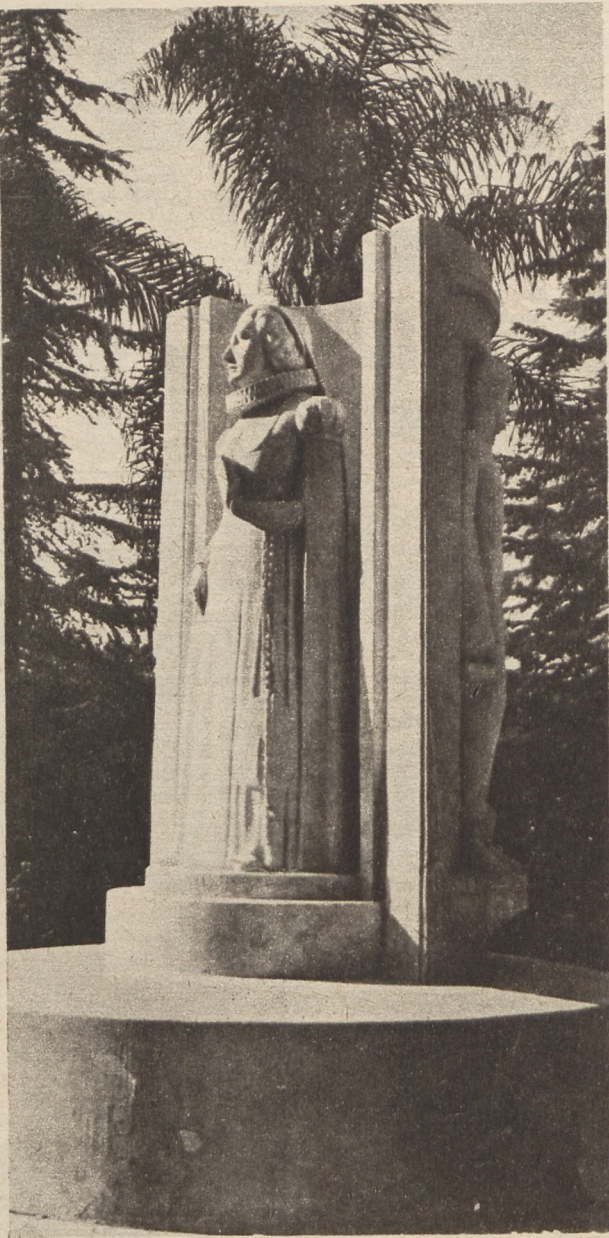


Rysunek Kostrzewskiego: Kasa teatralna w Warszawie w dzień występu Heleny Modrzejewskiej.

Wiedza nasza o Modrzejewskiej jest również skąpa. Materiały, dokumenty rozproszone, zagubione.

Trzeba wreszcie podjąć trud planowej pracy nad dziejami i osiągnięciami polskiej sceny, wciągając do badań najmłodsze kadry uniwersyteckie. Dla odbudowania tradycji polskiej kultury teatralnej, dla ustalenia stylu narodowego trzeba przeanalizować dokumenty przeszłości, utrwalając żywe jeszcze wspomnienia.

Badania nad działalnością i twórczością sceniczną Modrzejewskiej, monografie o niej — to jeden z pilniejszych postulatów. Zwłaszcza że Modrzejewska — to jedna z wielkich realistek naszego teatru, o której z górą 70 lat temu znakomity krytyk, Władysław Bogusławski, pisał, że ustrzegła się od wpadnięcia w jaskrawy naturalizm cechujący grę wielu ówczesnych znakomitości europejskich. Realistką była szczególnie w repertuarze jej współczesnym, walczącym. „Realistka z instynktów, z temperamentu, wydobywała z chwili obecnej jakąś odurzającą poezję rzeczywistości. Najwyższym artyzmem gry Modrzejewskiej była wtedy szczerść i prawda”.



Kalifornia. Kanion i droga koło farmy Modrzejewskiej, nazwane od jej imienia. Pomnik artystki w Anaheim

ANTONI SŁONIMSKI

WPŁYW LITERATURY

Wpływ literatury na nasze życie jest przemożny. Któż z nas nie padał ofiarą przeczytanych książek? Już w najwcześniejszym dzieciństwie, pod wpływem powieści o Indianach, wdawałem się w bójki uliczne i raz zostałem nawet oskalpowany szczyrykiem przez starszego kolegę, na skutek czego do dziś dnia chroamię na włosy.

W zależności od przeczytanej książki zmieniał się mój charakter na parę godzin, a czasem nawet na dni parę. Jako uczeń klasy czwartej bywałem już znudzoną arystokratą, prawym, prostodusznym księciem, czcigodnym starcem z gór, aby nagle pod wieczór zmienić się bez żadnego uprzedzenia w kwiozerczą Żelazną Dłoń z plemienia Siuksów. Książki nie tylko zmieniały moje usposobienie, ale również miały wpływ na słownictwo. Kiedyś zwróciłem się do naszej starej gospośki Frani z następującym zdaniem: „Moja dobra Franciszko, wasz pan udaje się do szkoły, zaczekajcie więc z posiłkiem na mój rychły powrót!” Apostrofa ta miała skutek nieoczekiwany. Zostałem mocno uderzony szczytką w plecy i od tego czasu cierpię na artretyzm. Czasem dochodziło do poważniejszych nieporozumień. Przeczytałem kiedyś w starym numerze „Wędrowca” anegdotkę o hr. Bedfordzie i Jerzym II.

Hrabia Bedford spóźnił się o kwadrans na audyencję i gdy wchodził do gabinetu króla zegar na kominku wybił godzinę pierwszą. Hrabia zbliżył się do kominka i uderzeniem łaski rozbił zegar.

— Cóż pan uczynił zegar, że go pan tak potraktował? — spytał zdumiony król.

— Jakto, Wasza królewska mość nie słyszał? Zegar pierwszy uderzył!

Otóż ta anegdota oczarowała mój umysł młodzieńczy i postanowiłem wprowadzić ją w życie. Spóźniwszy się kiedyś na kolację, czekałem z przytępieniem oddechem, aby wejść do jadalni na pół minuty przed uderzeniem zegara. Wreszcie wchodzę trzymając w ręku łaskę. Stoję na środku pokoju wpatrzony w tarczę zegara, ale zegar, mimo iż wskazówki wskazywały dokładnie godzinę ósmą — nie spieszył się z wybięciem godziny.

— Czego stoisz, jak głupi. Siadaj — odezwał się ktoś z rodzeństwa i to już trochę popsuło mi szyki. W tej chwili zegar wybił godzinę. Uderzyłem z całej siły łaską i zbiłem cyferblat.

Zrobiła się z początku wielka cisza. Zamiast spytać się po ludzku, normalnie — „coż ci ten zegar uczynił, żeś go tak potraktował?” — zaczęło krzyczeć na mnie i wyrzucono mnie z pokoju. Kiedy po paru minutach wróciłem, doszedłem wreszcie do głosu i wykrztusiłem przez zły: „Zegar pierwszy uderzył!” — powiedziano mi, że oszalałem, matka odebrała mi łaskę i uderzyła mnie nią mocno w potylicę, na skutek czego cierpię do dziś dnia na lumbago.

Jak widzimy, niebezpieczną jest rzeczą poddawać się zbyt wielkiemu wpływom głupich anegdot historycznych. Głupie książki mogą spowodować głupie uczynki, ale niewątpliwą jest prawda, że zbrodnicze książki mogą powodować zbrodnie.

Przechodząc do spraw serio pragnę podać tu jeden tylko przykład wpływu sensacyjnej literatury na młodzież amerykańską. Przed paru laty dwaj synowie bankiera new-yorskiego zamordowali kolegę, dusząc go sznurem. Trupa schowali w ozdobnej skrzyni, którą zastawili trunkami i zakąskami. Na tę makabryczną ucztę zaprosili rodziców i narzeczoną zamordowanego. Z tego autentycznego zdarzenia w Hollywood zrobiono film pt. „The Rope” (Sznur). Na rozprawie sądowej młodocieni przestępcy zeznali, że myśl zbrodni podsunęła im przeczytana w jakimś magazynie nowela. Ale nie koniec na tym. Po wyświetleniu filmu „Sznur” w jednym z prowincjonalnych miast amerykańskich zdarzyła się zbrodnia, która była mniej więcej dokładnym powtórzeniem filmu. Więc to już nie „Sznur”, ale „Łańcuch”.

Po naszej stronie świata młodzież z książek czerpie wiedzę o życiu, poczucie solidarności ludzkiej, sprawiedliwości społecznej, szeroko pojęty humanizm kształci przyszłych obywateli krajów socjalizmu i komunizmu. Nauczycielami tej młodzieży są nie tylko autorzy współczesni Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowych, ale wszyscy wielcy naprawdę pisarze przeszłości. Tak rosną dwa pokolenia. Ich pokolenie i nasze. Widzieliśmy pokolenie zaprawiane do okrucieństwa przez rząd hitlerowski. Kariera przewódców i profesorów okrucieństwa skończyła się na szafocie. Sznur, szafot zbrodniarzy wojennych — oto co zostało z pogardy dla człowieka i z imperialistycznych marzeń o podboju świata.

Po naszej stronie świata wpływ literatury rośnie z każdym rokiem. Nakłady książek dochodzą do milionów egzemplarzy, a zwalczony analfabetyzm i udośćpionie wszystkim nauczanie powiększa stale kadry czytelników. W Ameryce książkę niemal całkowicie wypiera telewizja i ilustrowany magazyn. W naszym więc świecie wpływ mają na młodzież najlepszy z żyjących i największy z przeszłości. W Ameryce wpływ na młodzież mają najgorsi przedstawiciele społeczeństwa: handlarze zbrodni. Nie mamy wątpliwości, kto w tej walce zwycięży. Zwycięży literatura piękna. Przyjdzie czas, gdy znikną z amerykańskich ekranów telewizyjnych krwawe sensacje i pornograficzne brudy. Wróci wygnany humor i wdzięk, liryzm i patos. Wróci Molier i Gogol, Dickens i Hugo. I wróci wygnany Chaplin.

18 KWADRATÓW

Rozwiązywać konkurs należy następująco: najpierw trzeba rozpoznać poszczególne portrety, następnie należy wyciąć 18

Prócz tego 20 nagród książkowych.

Odpowiedzi na konkurs adresować: **Redakcja Tyg. „ŚWIAT”, Warszawa, Nowy Świat Nr 58.**
Zaznaczyć na kopercie: **Konkurs.**





MĘKA NA DWA PIÓRA



RYSOWAŁ: CHARLIE

— Jak się cieszę, że pana zastaję, panie Stefanie.

— Co za traf! Właśnie za chwilę miałem iść do pana, panie Jerzy.

— No, to świetnie się składa. Załatwimy dwa interesy za jednym zamachem. Co do mnie, to chciałem spytać, czy pan nie ma na zbyciu jakiegoś tematu do felietonu...

— Świątecznego?

— Świątecznego.

— I żeby był oryginalny?

— Tak! Żeby był oryginalny.

— W takim razie nie załatwimy jednego interesu za dwoma zamachami, bo ja chciałem spytać pana akurat o to samo.

— 1952 lata, niby nie tak wiele, a przecież tematy świąteczne zdążyły się wyčerpać.

— Od wczoraj nie mogę nic wymyślić...

— Jan pan w ogóle tworzy, panie Stefanie?

— Przeważnie w pozycji siedzącej, chociaż raz zdarzyło mi się napisać wcale niezły kawałek na stojąco, w ogonku przed Centralą Meblarską, gdzie chciałem sobie kupić biurko.

— A ile czasu zużywa pan na napisanie felietonu?

— Różnie. Od piętnastu minut do trzech dni. Średnia arytmetyczna wynosi 6 godzin. Ten felieton przed Centralą pochłonął dwie średnie arytmetyczne.

— A w normalnych warunkach czy potrzebna jest panu przy pracy absolutna cisza, czy też nie przeszkadza panu gwar?

— Oczywiście wolę ciszę, chociaż jeden z najlepszych moich felietonów napisałem w gwarnej kawiarni, od połowy — czarną kawą.

— Dlaczego?

— Zabrakło mi w piórze atramentu.

— To musiała być jakaś dobra kawa...

— Do pisania świetna! Nie próbowałem natomiast tworzyć w restauracji, ale przypuszczam, że z zup doskonale nadawałaby się do tego celu czernina, albo barszczyk, rozumie się — bez uszek, bo pióro mogłoby się zatkać. Najlepiej jednak pisać mi się w domu i to nocą, ale tylko w lecie. Zimą, w okresie drobnych pożarów od piecyka, ciągle muszę się odrywać do telefonu.

— Nie rozumie! Zawiadamiają pana o każdym pożarze?

— Nie. Tylko nie wiem, czy numer mam zbliżony do praskiego oddziału Straży Ogniowej, czy automat na stacji przeskakuje, doś, że kto tylko wzywa Straż, łączy się przede wszystkim z moim mieszkaniem. Zanim wyjaśnię nieporozumienie trwa to zwykle około kwadransa. Niektórzy z rozmówców nie chcą wierzyć, że nie jestem dyżurnym

strażakiem. W zdenerwowaniu wołają: „Co pan z ognia śmichy robisz, jak pragnę zdrowia?... Jazda, siadać na beczkie i zasuwac do pożaru, Brudnowska 14. Firanki nam się zajęły od choinki” — i rzuca słuchawkę. Cóż mam robić? Sam dzwonię do Straży i wysyłam beczkowóz pod przyjęty adres. Nie mogę przecież dopuścić, żeby od firanek pościel się komuś zajęła. W dobie choinek prawie nie śpiam, o pisaniu oczywiście nie ma mowy. — No, a jak pan tworzy, panie Jerzy?

— U mnie pisanie zależy od warunków zewnętrznych. Bardzo pomaga mi przede wszystkim muzyka. Podczas pisania felietonu przygrywam sobie na flecie, podczas większego artykułu gram na wiolonczeli.

— A gdy pan pisze powieść?

— Wówczas przygrywam na organach. Na natchnienie doskonale wpływa także moczenie nóg. Zanim siadę do roboty, stawiam sobie zawsze pod biurkiem cebury. Jeśli mam pisać felieton satyryczny, wlewam do cebury sok z kiszonych ogórków. Skoro mam pisać coś lirycznego, wlewam sok wiśniowy i dosypuję nieco cynamonu. Zaczem wsadzam do cebury prawą nogę.

— Dlaczego tylko prawą?

— Bo lewą piszę. No, ale to wszystko nie załatwia sprawy tematu. Zdobyć temat, oto jest podstawowe zadanie! Jak pan się z tym urządza, panie Stefanie?

— Troszczy się o to moja żona.

— A więc żona jest pańską muzą...

— Tak. Robi to w zupełnie prosty sposób. Mówi dajmy na to: „Czy wiesz, że nie mamy węgla na zimę?” — „Wiem, ale ja nie mam forsy”. — „Więc napisz felieton!” — „Kiedy nie mam tematu”. — „To usiądź i wymyśl. Potrzeba jest matką wynalazków”. — Ponieważ węgiel na zimę istotnie jest potrzebny, siadam i rzeczywiście wymyślam. Później trzeba wykupić futro z przeróbki, odebrać pantofle od szewca, zreperować wyzmaczkę, zapłacić to, wyrównać tamto — siada się i kombinuje tematy. W ten bardzo prosty sposób, dzięki pomocy żony, powstaje wkrótce cały zbiór felietonów. Chociaż nie mogę narzekać, często przyjaciele i sympatycy, a nawet ludzie zupełnie obcy zwracają się do mnie z gotowymi, świetnymi tematami, tylko pisać! Wygląda taka przysługa mniej więcej następująco: „Panie Wiechu, mam dla pana temat... Niech pan słucha... nie... nie mogę!” — i mój dostawca dostaje kolek ze śmiechu na samo wspomnienie kapitalnego wątku, który mi chce bezinteresownie odstąpić. Wreszcie uspokaja się jako tako i znowu zaczyna opowiadać, ale następny atak śmiechu rzuca go na fotel. Ja śmieję się na zapas również i usługuję najprędzej wydobyć z niego temat, zachęcając: „No i co, niechże pan wreszcie powie!” — Ale znajomy miota się w drgawkach po fotelu. Lekko zaniepokojony, gładzę go po rękę, mówiąc jak najczulej: „No dobrze, już dobrze, niech się pan nie przejmuj...” Skutek jest wręcz odwrotny — atak śmiechu przybiera na sile, przechodzi wyraźnie w konwulsje, przypominające żywo chorobę świętego Wita. Prerażony, wciskam memu rozmówcy w rękę klucz od strychu, bo słyszałem, że w ciężkich przypadkach tej choroby tak należy postępować. Właściciel tematu rzuca klucz na podłogę i ryczy dalej, zalewając się łzami. Przynoszę z apteczki walerianę. Odliczam 30 kropki na wodę i przemocą wlewam mu w gardło. Uspokaja się z miejsca, bo się okazuje, że to była przez pomyłkę jodyna. Obraża się nieco, ale po chwili zaczyna opowiadać: „Niech pan sobie wyobrazi, jadę wczoraj tramwajem, tłok jak nieśczęście... Zdawało by się, palca nie można wetknąć, a tu nagle na przystanku wsiada baba z bankami po mleku.

Mimo protestów przepycha się przez wagon. Strąca jakimś panu kapelus, więc on — ma się rozumieć — mówi: „Czego się pani tak pcha?” — A ona na to: „Jak panu za ciasno, to jedź pan tak-sówką!” — Tu opowiadacz przerywa. Czekam chwilę. Wreszcie mówię: „No i co?” „Jakto, co? Temat!” — „To już?” „Już”. — „Cały?” — „Cały. A to mało?” — „No owszem, sporo, ale nie na felieton. Pointy nie ma”. — „No, coś pan chyba od siebie też musi dodać?... Wszystkiego za pana nie mogę zrobić!”.

— Potworne doświadczenia, biedny panie Stefanie!... A przecież znalezienie tematu to jeszcze nie wszystko, bo dopiero wtedy temat zaczyna się nie po-



dobać. Raz doradziła mi mama: „Jest Tydzień Dziecka, napisz o dzieciach! To wszyscy lubią”. Napisałem i dałem do przeczytania pewnemu młodemu poloniście. „Wy nie dostrzegacie — powiedział — całości zagadnienia. Czy w naszej rzeczywistości nie ma nikogo więcej, prócz dzieci? Dlatego wasz felieton jest demagogiczny i oportunistyczny. Zamiast kroczyć z dzieckiem naprzód, aż do dorosłości, wy zatrzymujecie je na początkowym etapie!”. — Wobec tego przerobiłem felieton w ten sposób, że dodałem dziecku wasy. Przeczytał to redaktor i powiedział: „Dziecko dzieckiem, a trzeba by dać coś o pracy”. — Wobec tego dopisałem, że dziecko w chwilach wolnych od ssania tetonuje szosę, podkreślając wasy. Przeczytał to mój przyjaciel, z zawodu działacz społeczny i oburzył się: „A gdzie są problemy nowej wsi?!” — Wobec tego dopisałem, że dziecko betonuje szosę tylko rano, a popołudniu wyjeżdża na wieś, gdzie kosi żyto, podkreślając wasy. Przeczytał to mój wujek i się skrzywił: „Ciągłe wielkie problemy, a tymczasem na rynku jest za mało kaloszy, skutkiem czego przemocytem nogi!” — Wobec tego dopisałem, że dziecko kosi żyto tylko w jednym kaloszu i przed podkreśleniem wasy kicha. Przeczytał to mój sławny kolega, literat-laureat Koźniewski i uśmiechnął się z politowaniem: „Gdybyś miał część mego talentu, to byś od razu zauważył, że postać z felietonu musi jasno określić swój stosunek do przemian społecznych!” — Wobec tego napisałem, że dziecko rano betonuje szosę, popołudniu kosi żyto prawą ręką, a lewą wygraża przechodzącemu drogą kułakowi, ponadto co pewien czas przystaje, poprawia sobie kalosz, kicha i podkreśla wasy. Przeczytał to po raz drugi redaktor i powiedział: „Wie pan, że jednak najlepszy był ten felieton w pierwszej wersji, po prostu o dziecku. Nie można pisać na raz o wszystkim!” — Mimo wszystko felietonu nie wydrukowałem, bo tymczasem Tydzień Dziecka minął.

— Biedny panie Jerzy! Niech pan zaczeka, przyniosę czyste chustki i będziemy płakać.

— Nie! Mam pomysły...

— Jaki?

— Nie napiszemy w ogóle świątecznego felietonu! Jak święta, to każdy ma prawo do odpoczynku.

— Słusznie! Felietonista też człowiek, chociaż nikt nie chce uwierzyć.

— Zatem, pióra do kieszeni!

— Dowidzenia, panie Jerzy.

— Wesółych świąt, panie Stefanie.



DZIEJE PISANE STAŁĄ

Dokończono ze str. 1

wydanej już właściwie na łup hitlerowcom. Wkrótce też Wielki Łowczy Trzeciej Rzeszy, Hermann Goering, który doskonale polował na kapitały, włączył hutę do swojego koncernu. Tysiące jeńców wojennych za miskę „eintopfu” wykonywać musiały ciężką pracę...

JUBILEUSZ HUTY

Powojennych dziejów huty, życia huty w Polsce Ludowej, nie można by zawrzeć w encyklopedycznych informacjach. O ile bowiem dzieje dawne skryte były na ogół przed naszymi oczyma, dzisiaj wiemy o hucie i jej ludziach wiele, cieszymy się jej sukcesami, rozumiemy jej znaczenie w Polsce Planu Ścieśnionego.

Nazwisko Władysława Truchana pamięta każdy z nas, choć człowiek ten nie żyje już. Z zaciętymi ustami stawał do pracy, a szerokim uśmiechem opowiadał o wynikach rozpoczętego przez siebie współzawodnictwa w szybkościowych wytopach.

— Wiecie — mówił na jednym z zebraniach załogowych — wszystko to nie jest wcale trudne. Człowiek się nawet mniej męczy przy pracy, trzeba mieć tylko tu... — to mówiąc wskazywał na głowę, jako na siedlisko praktycznej mądrości.

Przysłuchował mu się w gronie młodych ludzi zetempowiec Henryk Kowol, jasnowidz, młody, muskularny, ciekawy życia i przygód. I oto Henryk Kowol znalazł największą przygodę swego życia: pracę. Znalazł ją i, korzystając z doświadczeń Władysława Truchana, zreformował, przystosował do szybkości biegnącego czasu, nadał jej tempo socjalistyczne. Dzisiaj możemy Kowola spotkać nie tylko w hucie, porozmawiać z nim możemy także w Sejmie, w którym poseł Henryk Kowol jest reprezentantem huty i Śląska.

— Warszawa — powiedział I wyta-piacz huty, Franciszek Imiołczyk — gdzie dzisiaj obraduje nasz towarzysz Kowol razem z najlepszymi ludźmi Polski Ludowej, ta Warszawa jest nam bardzo bliska. Przecieżmy pomagali naszą stałą w jej odbudowie...

Tak, tak, towarzyszu Imiołczyk, to prawda. Z huty „Kościszko” jest dziś bliżej do Warszawy, niż z dawniejszej huty „Królewskiej” czy „Piłsudski”. Nie zmieniły się odległości geograficzne, zmieniła się natomiast geografia polityczna w naszej Ojczyźnie, zmieniła się geografia gospodarcza i zmieniła geografia uczuciowa. Nad hutą „Kościszko” gromadzą się dymy jak dawniej, ale każdy wie, komu dziś służy praca tych, którzy z potopu ognia wyciskają ku chmurom drobne obłoczki rudego dymu. Olbrzymi piec B powstał w roku 1951 na prawie pięć miesięcy przed terminem. Stalowe konstrukcje, nowa przemysłowa architektura polska, imponują z daleka już jakimś niespotykanym dawno rozmachem. Wkrótce popłynie surówka z pieca C. Tyle stali, ile huta „Kościszko” da krajowi, pokojowej sprawie odbudowy naszych miast i osiedli, mostów i kolei, tyle stali, ile ręka hutnika pokieruje w mądre łożysko pokoju — dawno nie widziała nasza epoka.

150 lat istnienia huty, to sto pięćdziesiąt lat walki, którą wspominać warto dziś, zwłaszcza, gdy nowy ustrój zagwarantował robotnikowi współudział w jej zarządzie, gdy go uwolnił od kapitalistycznego ucisku. Ale imperialiści wciąż jeszcze nie mogą zapomnieć o stracie huty „Kościszko”, o stracie wielu innych hut i kopalń. W 150-lecie istnienia huty adenauerowski urząd informacji wydał przy poparciu Łukaschki księgę pamiątkową. Okładka książki spowita jest w krepe. Treść zawiera znane wymysły o „dobrodrojeństwach” kapitalizmu.

My czcimy jubileusz huty inaczej, realnymi planami jej dalszej rozbudowy, serdecznymi pozdrowieniami przeznaczonymi dla tych wszystkich hutników, którzy imię huty uczynili synonimem pięknej, socjalistycznej pracy dla dobra wszystkich.

WILHELM SZEWCZYK



SMOKACH, HYDRACH I NOWYCH ODKRYCIACH NAUKOWYCH



Profesor Studitski podczas przeprowadzania jednego z doświadczeń. Usuwa właśnie kość ramionową młodemu kogutowi.

PRZECIEŻ to istny, choć miniaturowy, smok z bajki — pomyślałem, obserwując dziwne zwierzątko, które wychynęło właśnie z rzeczki i umieściło się na szerokim liściu lilii wodnej. Nad półokrągłą paszczą groźne oczy, wpatrzone w pobliskie zarośla. Ciało długie, zakończone jaszczurzym ogonem, oparte na czterech rozczapierzonych łapach. Grzbiet prawdziwie smoczy: uzbrojony kolczastym grzebieniem...

JAK FENIKS Z POPIOŁÓW...

O smokach powiadają baśnie, iż potrafiły odzyskiwać odrąbane łby, łapy czy ogony. Podobnie ma się sprawa z owym zwierzątkiem na liściu. Można mu odciąć palce albo całą kiść łapy — niewiele mu to zaszkodzi. Po miesiącu odrośnie. Odetniesz ogon — także odrośnie. Wyłupiesz oko — odrośnie. Co dziwniejsze — tę samą część ciała można zwierzęciu wielokrotnie niszczyć, a zawsze po pewnym czasie odtworzy nową. Zjawisko odtwarzania utraconych części organizmu nazywano regeneracją. A zwierzątko, przypominające legendarnego smoka, to po prostu — tryton. Widział je chyba każdy, czy to w rzece podczas wakacji, czy też w szkolnych akwariach.

Niezwykłe właściwości trytona nie są czymś wyjątkowym w świecie zwierzęcym. Przeciwnie: są istoty bijące na głowę zdolności trytonów. Małeńkie słodkowodne żyjątka, zwane hydrą lub stułbią, przerasta swoimi możliwościami regeneracyjnymi legendarne stułgowe hydry czy smoki. Można pokrajać stułbię na plasterki i przenosić je jak zniszczone ubranie — zawsze z poszczególnych części odtworzą się normalne stułbie. Dżdżownica pokrajana na 10 części zamienia się w dziesięć dżdżownic. Pospolity jednokomórkowiec trąbik, mieszkawiec stojących wód — „dziwak”, pochłaniający pożywienie otworem gębowym, przypominającym podstawę trąbki do grania, robi wrażenie istoty słabej i kruchej. Ale spróbujcie go zniszczyć. Przecięty na kilka części odradza się z każdej jak Feniks z popiołów. W parę dni po dokonanej na nim operacji znajdziecie kilka trąbików.

Jak widać, najprościej zbudowane organizmy zdają się bić rekordy w dziedzinie odradzania się, zjawiska badanego wszechstronnie przez uczonych już od 200 lat. W regeneracji celują też organizmy wyższe — organizmy kręgowców takich, jak np. tryton czy jaszczurka, których budowa ciała przypomina pod wieloma względami naszą budowę. Jak jednakże przedstawia się sprawa regeneracji u jeszcze wyższych istot: — ssaków (których najwyższym przedstawicielem jest człowiek) i u ptaków?



Kogut ten trzykrotnie regenerował usuniętą kość ramionową, a mimo to skrzydła jego pracują zupełnie normalnie.

LEKARZE BYLI BEZSILNI

Uczeni na takie pytania rozkładali dotychczas z rezygnacją ręce i smutnie kiwali głowami. Gdy człowiek utraci nogę czy rękę — nie odzyska jej już nigdy. Co najwyżej, brakującą kończynę zastąpić można mniej lub więcej dobrą... protezą. Tak samo nie odrasta nam odcięty palec, ani nawet jego kościuszek. Dlaczego tak się dzieje? — pytano od dawna. — Przecież to dziwne, że my, istoty

tak wspaniale zorganizowane, o doskonale rozwiniętym systemie nerwowym, posiadającym szerokie możliwości opanowania przyrody, jesteśmy przecież upośledzeni w porównaniu z takim na przykład trytonem. Robakom odrastają głowy, jaszczurkom ogony, trytonom łapki i oczy. My zaś z trudem, przy pomocy jakże skomplikowanych metod chirurgicznych, musimy radzić sobie z drobnymi nawet uszkodzeniami skóry, kości czy mięśni. I ta nasza walka z uszkodzeniami nie zawsze jest skuteczna; niekiedy kończy się kalectwem na całe życie.

Tak jest, uczeni pod wpływem poglądów reakcyjnej biologii weismanowsko-morganowskiej sądzili do niedawna, że wszystkie wyższe zwierzęta, a więc ssaki i ptaki, posiadają zdolności regeneracyjne znacznie słabsze — szczątkowe, w porównaniu ze zwierzętami niższymi. Uważano, że im niżej sięgniemy w hierarchii zwierzęcej, tym lepiej rozwinięte znajdziemy zdolności



Axolotlom można odciąć wszystkie cztery kończyny, a odrosną im w ciągu dwóch miesięcy.

regeneracyjne. Jakże drogo — wołały podręczniki naukowe — zapłaciliśmy za wysoką specjalizację naszych organów przystosowanych do wykonywania różnorodnych funkcji. Naturalnie, taka teoria hamowała rozwój praktyki. Doświadczenia szły w niewłaściwym kierunku.

Cierpiała na tym chirurgia, a przede wszystkim — pacjenci. Lekarze byli bezsilni wobec wielu obrażeń ciała. Zwłaszcza wobec uszkodzeń mięśni. „Niektóre tkanki ciała ludzkiego — pisze w jednym z przedwojennych wydawnictw naukowych o wysiłkach chirurgów, Fryderyk Pautsch — jak na przykład mięśnie, nie znoszą w ogóle przeszczepienia i wszelkie próby łatania tym sposobem uszkodzeń w mięśniach kończą się zawsze uwstecznieniem i rozpadem transplantowanej części mięśnia”.

NIEOCZEKIWANE REZULTATY

Tymczasem... Tymczasem wszystkie te pesymistyczne poglądy na możliwości regeneracyjne zwierząt wyższych okazały się przedwczesne i nieprawdziwe. Zupełnie nowe, jasne i pełne optymizmu światło rzuciła na to zagadnienie praca grupy uczonych radzieckich z Instytutu Morfologii Zwierząt przy Akademii Nauk ZSRR. Na czele tej grupy stoi profesor Studitski i jego starszy współpracownik, asystentka Striganowa.

Młodemu kogutowi usuwano kość, pozostawiając jednak nietkniętą tkankę pokrywającą kość (tak zwaną okostną). Po dwóch miesiącach kogucik regenerował ubytek. Doświadczenie to obalało dotychczasowe poglądy o rzekomo słabszych zdolnościach do odtwarzania tkanek u zwierząt wyższych.



Temu młodym królikowi usunięto mięsień ramienia, a jednak po zregenerowaniu włada normalnie operowaną łapką.

Przystąpiono do następnych prób. Wykonano ich setki. Usuwno całe kości: ramienne, udowe, gołeniewe różnym zwierzętom, takim jak psy, kury i króliki. Zawsze udawało się uzyskać pełne odtworzenie usuniętej tkanki kostnej. Powtarzano kilkakrotnie operacje na tych samych kościach. I znowu w każdym przypadku organizm zwierzęcia wyższego reagował na uszkodzenia — odtworzeniem utraconego organu. Co ciekawsze, wyższe zwierzęta regenerowały swoje tkanki lepiej, niż słynne trytony. Uczeni więc wypowiedzieli myśl wprost przeciwną poglądom panującym dotychczas w nauce. Stwierdzili: regeneracja uszkodzonych tkanek nie tylko nie słabnie u zwierząt wyższych, ale przeciwnie, nasila się. Nasila się w zależności od poziomu przemiany materii i intensywności pracy danego organu w organizmie. Po tych wstępnych badaniach posypały się nowe: bogate w przedziwne, nieoczekiwane przez dawną naukę, rezultaty. Szczurom zeskrobywano zewnętrzną warstwę oka — szybką oką: rogówkę. I szczury pobili rekord szybkości odtwarzania rogówki, należący do trytonów. Czyniono rzeczy niesłychane: ptakom wycinano przeszło połowę wątroby i odradzała ona szybciej niż u ryb czy u zwierząt takich jak tryton. Podobnie miała się sprawa z regeneracją nerek i płuc.

Wreszcie zabrano się do zagadnienia owych — cieszących się niedobrą sławą i u biologów i lekarzy — mięśni. U ptaków tkanka mięśniowa, posiadająca niezwykle skomplikowaną budowę i zróżnicowane funkcje, odradzała się z zadziwiającą szybkością. Kogutowi usuwano dwiętrze mięśni skrzydła — a w ciągu miesiąca przestrzeń między zakończeniami mięśni wypełniała się młodą i zdrową tkanką mięśniową.



Pieska tego posadowiono kość udową. Kość odradza całkowicie — pies czuje się doskonale. U dołu: kość usunięta psu, w miejscu której wyrosła nowa.

PRZEWROT W MEDYCYNIE

Pomyślne rezultaty doświadczeń dodały bodźca uczonym. Spróbowali doprowadzić do regeneracji całe organy zbudowane z mięśni. Eksperymenty, znów przeprowadzone na ptakach, powiodły się całkowicie. Przed medycyną niedalekiej przyszłości otworzy się w ten sposób fantastyczne perspektywy. Dojdzie po prostu do tego, że zachowując szereg specjalnych warunków uda się lekarzom np. doprowadzić do regeneracji uszkodzonego serca. Ileż istnień może uratować od śmierci medycyna wzbogacona znajomością praw rządzących zjawiskiem odtwarzania tkanek i organów! Praw, których nowe sposoby badania wskazała grupa naukowców radzieckich. Nic dziwnego, że profesor Studitski i jego współpracowniczka Striganowa otrzymali Nagrodę Stalinowską.

Znaczenie odkrycia uczonych radzieckich dla medycyny wykracza daleko poza ramy dzisiejszej chirurgii. Oznacza przewrót w metodach leczenia nie tylko uszkodzeń skóry czy kości, lecz także uszkodzeń organów wewnętrznych. Człowiek, opanowawszy zjawiska regeneracji, zamiast leczyć się środkami chemicznymi czy skalpelem chirurga, wyzyska dla swego uzdrowienia naturalne siły organizmu. Więcej: uczeni, opanowawszy prawa rządzące regeneracją, pójdą jeszcze dalej. Umożliwia nie tylko odtwarzanie się uszkodzonych tkanek — mięśniowej czy kostnej, lecz również regenerację całych organizmów, całych kończyn: rąk, nóg itd. Uczonym idzie o to, aby nasz organizm reagował na wszelkie uszkodzenia, podobnie jak organizm trytonów, które posiadają właśnie pełną zdolność regenerowania każdego ze swych organów.

O konsekwencjach i przyszłości swego odkrycia profesor Studitski pisze w ten sposób: „Naszym zadaniem jest nauczenie się takiego kierowania procesami regeneracji, aby procesy te doprowadzały do odbudowy całego utraconego, a skomplikowanego organu. Zadanie to trudne. Jednakże nikt obecnie nie może uważać go za niemożliwe do rozwiązania”.

ADAM HOLLANEK

ŚLUB PRZED OBIEKTYWEM

Fot. JAN KOSIDOWSKI



Ten młody chłopiec w sportowym dresie, stojący po prawej stronie trybuny — to właśnie Maciej Janic...



Wielki dzień w życiu Maćka. Wybrany do sztafety młodzieżowej, wręczy za chwilę meldunek młodzieży.

Bezpośrednio przed zawarciem małżeństwa należy złożyć oświadczenie przedślubne: „Ja, niżej podpisany... pragnę zawrzeć związek małżeński z...” Tym razem składają je bohaterowie naszego reportażu.



W OLSZERNEJ sali wpadliśmy w atmosferę nieco uroczystą. Być może stało się tak za sprawą obywatela portiera, który przyjmując moje palto złożył mi bardzo serdeczne życzenia. biorąc mnie zapewne za nowożeńca. Być może, udzielił nam się nastrój zebranych w tej sali młodych par i ich rodzin, ze względów zrozumiałych — niecodzienny.

Pora była wieczorna. Za oknami pałacyku zapadał wczesny, listopadowy zmierzch.

W chwili po przyjęciu, poznaliśmy bohaterów naszego reportażu: pana młodszego — Macieja Janica. i pannę młodą — Janinę Stalińską.

Czy pamiętacie może publikowane swojego czasu w prasie zdjęcie z Kongresu Zjednoczeniowego Partii, który odbył się w Warszawie przed czterema laty? Na Kongresie tym, w dniu jego otwarcia, wręczał meldunek Bolesławowi Bierutowi młodzieży kadet. Na zdjęciu stoi on po prawej stronie trybuny. Spójrzcie teraz na nasze zdjęcia.

— Ależ tak! Nie ma wątpliwości: Ten młody chłopiec w sportowym dresie, to właśnie Maciej Janic. Dziś już absolwent Korpusu Kadetów, student Politechniki Warszawskiej.

— A jego żona?

— Studiuje ogrodnictwo. Włosną pięćdziesiątego roku, po zdaniu egzaminów maturalnych, za wzorowe postępy w nauce została odznaczona dyplomem honorowym i przyjęta bez egzaminów do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Była w tym roku na Złocie. Biuro Złotu powierzyło jej opiekę nad delegacją młodzieży chińskiej.

...Poznaliśmy się na jesieni 1946 roku. Janka chodziła wówczas do „Zmichowskiej”, a Maciek do „Rejtana”. Oba gimnazja mieściły się w jednym gmachu przy ulicy Rakowieckiej. Oba miały jedno, wspólne koło ZWM. I właśnie tu, na terenie Koła, Maciek zobaczył po raz pierwszy tygrys i energiczną uczennicę, o długich czarnych warkoczach i wesołych oczach. Zaprzyjaźnili się szybko.

W lipcu pojechali na obóz szkoleniowy do Szklarskiej Poręby. Po zajęciach, roześmiani biegli w góry. Karkonoskie przełęczę powtarzały echem piosenki, które Janka śpiewała na wycieczkach.

Po wstąpieniu Maćka do Korpusu widywali się znacznie rzadziej, przeważnie w niedzielę. O umówionej godzinie spotykali się przed Młodzieżowym Domem Kultury, gdzie Janka, na próbach „Młodej Gwardii”, przygotowywała się do roli Uljany Gromowej. Szli wówczas razem do kina, do teatru albo do muzeum.

Po powrocie koledzy zasympywal Maćka pytaniami:

— Przyszłaś, jak długo czekałeś, dwie czy trzy godziny?

— Gdzie byliście?

Bo Janka była w Korpusie bardzo popularna. Przede wszystkim dlatego, że była „sympatią” Maćka, no a trochę dlatego, że na wszystkich zabawach była zawsze jedną z najładniejszych i najmiłszych dziewcząt...

W tym roku, w sierpniu zapadła decyzja. Datę ślubu ustalili na dzień 7 listopada, dzień, który był dla nich ważny — drogim i wielkim świętem.

Jest niepisany prawem pośród absolwentów Korpusu, ażeby prosić na świadka ślubu mjr. Lucynę Bibrowską. Była więc i tym razem mjr. Lucyna, dumna ze swojego wychowanka i jego żony, która zresztą od dawna znała.

Pomyślcie. Czy nie dostrzegacie w ich historii tego co nazywamy nowym życiem?

Ich młodzieńcze charaktery dojrzały już w Polsce Ludowej. Oni sami są już częścią naszego dnia dzisiejszego.

W Warszawie, niedaleko Parku Ujazdowskiego, w Alei Przyjaciół mieszkają nasi nowi znajomi: Janka i Maciek...

JERZY SKOKOWSKI



Wszyscy się w tej chwili uśmiechają. Ob. Kozicki składa nowożeńcom życzenia. Nie widoczny jest tylko uśmiech fotoreportera i autora reportażu, ukrytych za obiektywem

Janka i Maciek.





Przedwojenny film „historyczny” — „Pan Twardowski”.

JAN RYBKOWSKI

KŁOPOTY FILMU POLSKIEGO

DOKOŃCZENIE

— Przed rokiem 1939, oprócz małej grupki zapaleńców pełnych dobrej woli, nie pozbawionych wiadomości i talentu, pozbawionych natomiast jakichkolwiek możliwości finansowych nawet na przeprowadzanie skromnych eksperymentów, nikt u nas w Polsce nie traktował filmu jako sztuki. Film w krajach kapitalistycznych jest wielkim przemysłem. W małej, zacofanej gospodarczo Polsce kapitalistycznej, był przemysłem chałupniczym. Niepewnym interesem. Bankrutował ktoś na mydle, odkuwał się na filmie. Nie poszedł film — przedsiębiorca wracał do mydlarni.

— Ty mówisz o stronie handlowej, ale te filmy przecież ktoś robił.

— Oczywiście. Nawet do bardzo złego filmu trzeba napisać scenariusz. Nawet w bardzo złym filmie grają aktorzy. Ktoś to musi reżyserować. Musi być ilustracja muzyczna i dekoracje. Ludzie, którzy dotąd prowadzili swoje sklepikarskie interesy, zetknęli się raptem z ludźmi sztuki. Jedyną platformą porozumienia były oferowane przez przedsiębiorców — pieniądze. Mniejsze czy większe, pewne czy niepewne — ale zawsze pieniądze. To zetknięcie sklepikarzy z artystami dało jakiś margines kulturalny. Poważny aktor, który pieczołowicie przygotowywał każdą rolę w teatrze, mający szacunek dla słowa Szekspira czy Mickiewicza, zmuszony trudnościami finansowymi lub po prostu swabloni łatwym zarobkiem, angażował się do filmu. Jak wyglądała ta współpraca? Istotną sprawą, nad którą dyskutowano, to: za ile się gra i ile dni. Reszta drobnostka. Aktor nie znając najczęściej scenariusza ani roli, jaką miał grać, wpadał na kilka godzin do atelier, tam pod kierunkiem ludzi, nie znających najprymitywniejszych zasad jego fachu, „odgrywał” improwizowaną na przedce scenę. Niewybredne teksty, które aktorowi kazano mówić, wypisywane były kredą na tablicy, która stała za aparatem zdjęciowym. W ten sposób, czytając podczas zdjęć z tablicy, aktor po raz pierwszy i ostatni zaznajamiał się z tekstem dialogów postaci, które odtwarzał. Wielokrotnie teksty te były tak napisane, że nie można było mówić. I tu aktor zmuszony był mówić swoimi słowami „na temat”, a więc prze-

ważnie to, co mu w danej chwili ślina przyniosła na język. Troskliwy producent wielokrotnie jeszcze w ostatniej chwili wносił cenne poprawki. Na przykład aktor miał mówić: „Marysiu, skocz no po pół litra wódki” — tu wkraczał producent: „Co pan mówi? Ja robię film salonowy. Pan powie: Marysiu, skocz no przynieść pół litra koniaku, tylko z trzema gwiazdkami. Panie, ja robię drogi film, mnie stać na to”. Nic więc dziwnego, że poważny aktor wstydział się takiej pracy i wolał siebie nie oglądać na ekranie i dlatego z zasady na polskie filmy nie chodził. Literat, jeśli nawet pisał scenariusz, to niechętnie się do tego przyznawał. Robił to przeważnie anonimowo. Im więcej pisał dla filmu, tym gorzej o nim mówił. No, i oczywiście też na polskie filmy nie chodził.

— Nie wiem, czy wszyscy wstydzili się tej pracy?

— Chętnie i dużo pisali dla filmu różnego rodzaju grafomani. Z nimi też łatwiej było dogadać się producentom. Nic więc dziwnego, że tytuł scenariuszy filmowego nie dawał powodu do dumy. Scenopisanstwa filmowego nie zaliczano do gatunku literackiego. Po pewnym czasie wokół producentów filmowych wytworzyło się pewne środowisko ludzi pracujących w tej „brandy”. Sama nazwa „brandta”, chętnie wśród ówczesnych filmowców używana, świadczy sama za siebie. Znamienne jest to, że mała grupa filmowców, o których już wspominałem, nigdy przez „brandt” nie była uznawana. Ich stosunek do filmu, wymagania artystyczne, zamykały im najczęściej drogę do producentów, którzy mieli tylko jedną ambicję: jak najprędzej i jak najwięcej zarobić. Nic więc dziwnego, że z nimi pracowali ludzie idący po linii najmniejszego oporu, dla których istotnym było nie to, czy film będzie miał jakieś wartości ideowe czy artystyczne, lecz to, co właściciel kina, np. z Radomia, który dawał pieniądze, żądał, ażeby w filmie było coś do płaczu, bo widzi lubi się wzruszać za swoje pieniądze, żeby było coś do śmiechu, bo na śmieszne filmy ludzie najchętniej chodzą, no i żeby się wszystko dobrze kończyło, bo filmy ze smutnym zakończeniem nie mają powodzenia. Jasne więc, że ludzie tworzący według takich założeń „artystycz-

nych” byli przez całe kulturalne społeczeństwo traktowani na równi z szarlatanami i iluzjonistami.

— Jeżeli się nie mylę, to bardzo powszechnie nazywano naszą filmową muzę miłanem „podkasanej”, a okładki tygodnika „Kino” wielokrotnie zdobione były podobizną dziewczyny z nogami pod samą szyją, frywolnie owiniętej w zwoje taśmy filmowej, co miało oznaczać, że jest to właśnie bogini waszych zachcianek.

— Bardzo cię przepraszam, tylko nie naszych. Ten ideał „X muzy”, coś pośredniego między fordanserką a prostytutką, który przyswlecał naszym producentom, nie był oczywiście ich oryginalnym wynalazkiem. Rodzimi sklepikarze wzorowali się tylko na metodach wypracowanych przez amerykańskich kolegów. Muszę ci powiedzieć, że tam nie wiele się zmieniło. Dziś na okładkach piśm filmowych, którymi producenci amerykańscy zalewają Zachód, na afiszach i prospektach króluje ta sama dziewczyna z nogami pod samą szyją, tylko, że przestała dawno już udawać półdziewicę. Dziś jest to ordynarna dziewczka z papierosem w ustach i pistoletem w ręku.

— Jak sam stwierdzasz, nasze tradycje filmowe z okresu międzywojennego nie są najpiękniejsze. Nic więc dziwnego, że istnieje jeszcze dziś wśród niektórych ludzi pewna rezerwa w stosunku do tej twórczości.

— Stanowisko nie chodzenia na polskie filmy „z zasady”, było zdrowym odruchem kulturalnego społeczeństwa w okresie międzywojennym i słuszną reakcją na panującą w tym okresie tandetę i szmirę. Stanowisko to, było wówczas popierane przez postępowych filmowców. „Zasada” ta, stosowana dzisiaj, jest nie tylko fałszywa, ale i niebezpieczna, bo podpisuje się pod nią nie tylko ludzie, którzy z takich czy innych powodów nie zdążyli zauważyć zmian zachodzących w filmie polskim, ale przede wszystkim ta część widowni drobnoniemieckiej, która tęskni za dawnymi, chłymiłami szmirami; stanowisko jednych i drugich jest na wskroś reakcyjne.

— Zdaje mi się, że przesadzasz, jak wszyscy artyści. Film nie jest przecież żadnym zagrożeniem kluczowym w naszym życiu — mamy jeszcze do rozwiązania wiele ważniejszych problemów.

— Widzę, że nie zdajesz sobie sprawy, czym jest film w istocie. Film stał się dziś chlebem powszednim milionów ludzi. Do kina chodzi prawie każdy. Z miliona ekranów codziennie przemawiają bohaterzy filmowi. Ich czyny, ich stosunek do życia, postawa moralna, śledzone są z zapartym oddechem przez olbrzymie rzesze ludzkie. Ty masz krytyczny stosunek do tego, co oglądasz, a jak reaguje na film twój syn, który ma 17 lat? Miałeś sposobność oglądać przed wojną setki dziewcząt „arobionych” pod Gretę Garbo, setki młodzieńców naśladowujących Gary Coopera. Skąd wzięli te ideały? Masz sposobność czytać o wyczynach gangsterskich młodzieży amerykańskiej, o wzroście przestępczości w krajach zachodnich. Skąd się tego nauczyli? Z kina. Kino, to wielka siła. Jak każda siła w ręku szkodliwca może stać się bronią zagłady i zniszczenia. W ręku ludzi dobrej woli — wspierałym środkiem wychowawczym waka-sującym nowe drogi, nowe ideały. Może uczyć ludzi żyć i pracować, może dawać prawdziwy wypocinek po trudach dnia codziennego i mobilizować do dalszego twórczego wysiłku.



GRAZIA FRANCIA (po lewej) w roli bied-

NIE MA POKOJU POD OLIWKAMI

DE SANTIS jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli włoskiego realizmu filmowego. Realizm ten wyrósł niewątpliwie z wcześniejszych wzorów radzieckich oraz z sytuacji polityczno-gospodarczej, w jakiej Półwysep Apeniński znalazł się bezpośrednio po wojnie.

Scenariusz filmu „Nie ma pokoju pod oliwkami” napisali trzej autorzy: Libero de Libero, Carlo Lizzani i Giuseppe de Santis. Nazwisko reżysera znajduje się na końcu. On jest jednak autorem pomysłu i głównym twórcą fabuły. Będąc w Polsce na II Międzynarodowym Kongresie Obróńców Pokoju, De Santis w ten sposób scharakteryzował swój film:

„Chcę w nim pokazać współczesne problemy ubogiej wsi włoskiej w walce z bogactwem — kuliakami, jak tutaj go określacie. Chcę podkreślić, że indywidualna walka biedaka z kuliakiem nie ma, natomiast solidarność biedaków w walce z nim zapewni zwycięstwo”.

Gdy dzisiaj — po dwu latach — film ten dotarł do nas, zastanówmy się, czy De Santis wypełnił swe zamiary, czy dał w swym filmie właściwy obraz walki klas w tym małym wy-cinku, który sobie obrał.

Akcja filmu toczy się wśród pasterzy pasących stada na nieurodzajnych wzgórzach pod Monte Cassino, w sąsiedztwie gajów oliwnych — stąd tytuł filmu.

Bogacz wiejski, Bonfiglio, korzystając z nieobecności Francesca Dominici skradł jego niewielkie stado owiec. Gdy Francesco wraca z niewoli i próbuje odzyskać stado, sterroryzowany przez Bonfiglię i wysoko opłaconego adwokata pasterze składają fałszywe zezna-nia. Bonfiglio pozostaje przy skradzionych owcach. Na dodatek Bonfiglio mszając się gwałci siostrę Francesca — Marię Grazię. Dla Francesca utrata podstaw egzystencji łączy się z utratą narzeczonej Lucii, która była jedynym świadkiem kradzieży owiec przez Bonfiglię. Rodzice Lucii są biedni. Zmuszają córkę do wyjścia za mąż za Bonfiglię; sterroryzowana dziewczyna zeznaje także przeciw Francesco.

W drugiej części filmu — po ucieczce Fran-cesco z więzienia — sytuacja odwraca się. Bonfiglio — korzystając ze swej władzy — za-garnia wszystkie pastwiska i podnosi czynsz za wypasanie owiec. Wtedy Francesco na cze-le pasterzy staje do walki z bogactwem. Walka doprowadza do samobójstwa Bonfiglię w zaułku górskim. Solidarność pasterzy odwróciła od nich grozę jeszcze bardziej nędznej egzystencji. Pasterze będą mogli płacić dawny czynsz za pastwiska. Francesco i Lucia zostaną małżeństwem. Nic nie zdoła jednak uratować życia Marii Grazię, którą Bonfiglio zdążył zadusić na krótko przed własną śmiercią.

Streszczenie jest zawsze subotaniem fabu-ły, ale z przytoczonej tu treści filmu wynika, że raz jeszcze De Santis dał się (choć i w mniejszym niż w poprzednich filmach stop-niu) ponieść sensacyjności. Można by śmiało uniknąć obu trupów. Co prawda śmierć Bonfiglię wynika logicznie z całej dramaturgii wydarzeń i jest witana przez widzów z aplau-zem, natomiast postać Marii Grazię — dzie-wczyny przedwznie wizerunku złoicy — budzi w całej końcowej partii filmu poważne wąpli-wości. Jeśli ma ona symbolizować zasadę, że tam gdzie się walczy padają trupy — to za-sada została tutaj fałszywie zinterpretowana. Maria Grazia robi wrażenie osoby działającej we śnie. Ani scenarzyści, ani reżyser nie mó-wią nic o motywach jej postępowania.

Nie byłoby to może tak rażące, gdyby nie znaczna wyższość aktorki Marii Grazię Fran-cię nad główną bohaterką filmu Lucią Bosę,

Scena z filmu „Premiera Warszawska”, w reżyserii Jana Rybkowskiego.





nej i wyzyskiwanej wiejskiej dziewczyny.

STYCZEŃ

Otwarcie tysięcznego kina wiejskiego. Premiera polskiego filmu „Zaloga”, poświęconego zagadnieniom wychowania młodzieży szkół morskich. W Indiach, w Bombaju, odbył się Międzynarodowy Festiwal Filmowy z udziałem filmów produkcji 42 krajów. Ogromny sukces osiągnęły filmy produkcji radzieckiej, zwłaszcza „Kawaler Złotej Gwiazdy” i „Donieccy górnicy”. Publiczność bojkotowała amerykańskie filmy i ich projekcje odbywały się przy pustej widowni.

LUTY

Charlie Chaplin ukończył produkcję swego najnowszego filmu pt. „Limelight” (Światła sceny). Wybitny postępowy reżyser włoski Giuseppe De Santis ukończył realizację filmu „Rzym, godzina 11”. Film porusza problematykę bezrobocia we Włoszech.

MARZEC

W dniach 15–16 marca odbyła się w Warszawie, w salach Rady Państwa, Filmowa Narada Twórcza poświęcona ocenie dotychczasowego dorobku kinematografii polskiej oraz wytyczeniu planu pracy na najbliższą przyszłość.

W ciągu marca odbyły się premiery następujących polskich filmów fabularnych: „Pierwsze dni” i „Młodość Chopina”. Nagrody Stalinowskie w dziedzinie kinematografii przyznane zostały m. in. następującym filmom: I stopnia — „Taras Szewczenko” i „Kawaler Złotej Gwiazdy”. II stopnia: „Donieccy górnicy”. III stopnia — „Światła w Koordy”. „W dni pokoju”.

KWIECIEŃ

Doroczny Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes zakończył się sukcesem postępowych filmów. Główna nagroda została przyznana dwóm filmom (ex aequo): „Otello” reż. Omon Wellesa, wg. dramatu Szekspira (prod. marokańska) i „Nadziei za 2 grosze” reż. Renato Castellani (prod. włoska), poruszającego zagadnienia bezrobocia. Filmy amerykańskie zdobyły jedynie dwie drugorzędne nagrody.

MAJ

Na ekrany kin radzieckich wszedł nowy wybitny film radziecki M. Czajurlego, pt. „Niezapomniany rok 1919”.

IV Festiwal Filmów Czechosłowackich zapoznał społeczeństwo polskie z najnowszą produkcją naszych sojuszników. Do najlepszych pozycji festiwalowych należał film „Bój skończy się jutro” poświęcony walkom wyzwoleniczym klasy robotniczej Czechosłowacji w latach trzydziestych.

Odbyła się premiera nowego polskiego filmu fabularnego, poświęconego zagadnieniom wiejskim, pt. „Gromada”.

W dniu 31 maja zmarł zasłużony reżyser filmowy i wychowawca młodych kadr filmowych Eugeniusz Cękalski.

CZERWIEC

W dniach od 2 do 8 czerwca odbył się w ZSRR I Festiwal Filmów Polskich. Festiwal zapoznał społeczeństwo radzieckie z dotychczasowymi najwybitniejszymi osiągnięciami polskiej produkcji filmowej i przyczynił się do dalszego zacieśnienia więzów przyjaźni i współpracy kulturalnej obydwu narodów.

LIPIEC

W ramach obchodu 150-lecia urodzin Wiktora Hugo zorganizowana została w Warszawie staraniem Sekcji Filmu Państwowego Instytutu Sztuki seria pokazów filmów realizowanych według dzieł wielkiego pisarza.

Polskie Państwowe Nagrody w dziedzinie filmu w roku 1952 przyznane zostały uchwałą następującym twórcom: Nagroda I stopnia zespołowa: Aleksander Ford — za scenariusz i realizację filmu „Młodość Chopina”, Jarosław Tuzar — (Czechosłowacja) za zdjęcia do wym. filmu.

Nagroda II stopnia: Czesław Wollejko — za rolę Chopina w wym. filmie. Kazimierz Serocki — za muzykę do powyższego filmu. Jan Rybkowski — za reżyserię filmu pt. „Pierwsze dni”. Jan Ciecierski — za rolę Plewy w tym filmie. Ponadto w sekcji muzyki otrzymała Nagrodę I stopnia Halina Czerny-Stefańska m. in. za wykonanie utworów fortepianowych w ilustracji muzycznej filmu „Młodość Chopina”, a nagrodę II stopnia Andrzej Panufnik za ilustrację muzyczną do filmu „Dzielo Miśtrza Stwosza” („Koncert gotycki”).

SIERPIEŃ

VII Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Karłowach Varach przyniósł duży sukces Polsce. Otrzymałmy nagrodę za najlepszy film biograficzny „Młodość Chopina”. Nagrodę za najlepszy film krótkometrażowy — dokumentarny przyznano za film „Częstochowa”. Jan

Ciecierski otrzymał nagrodę za kreację aktorską w filmie „Pierwsze dni”. „Gromada” otrzymała dyplom honorowy. Grand Prix festiwalu międzynarodowe jury przyznało za wybitny film radziecki „Niezapomniany rok 1919”.

WRZESIEŃ

XIII Festiwal Filmowy w Wenecji podobnie jak i festiwal w Cannes pomimo wszelkich mactw zakończył się niepowodzeniem Amerykanów. Grand Prix „Lwa św. Marka” otrzymał antywojenny film Rene Clementa „Wzbronione zabawy”. Ponadto filmy francuskie zdobyły 3 inne nagrody, a także specjalną nagrodę dla filmu Rene Claira „Nocne piękności”. Pozostały rozdział nagród charakterystyczny był dla schyłkowych tendencji artystycznych Zachodu. Nagroda Międzynarodowej Federacji Prasy Filmowej (F. I. PRES. CI) przypadła w udziale filmowi Rene Claira. Gospodarze festiwalu, Włosi, nie wystąpili z żadną wybitną pozycją, ponieważ najlepsze i postępowe filmy De Santisa, Lattuada, De Sici i innych wysłane zostały na targi filmowe do Locarno. W ten sposób rząd włoski nie dopuścił do wyróżnienia postępowych twórców.

PAŹDZIERNIK

Zakończona została wielka, trwająca od przeszło miesiąca impreza „Dni Filmu Polskiego”. Impreza była przeglądem dotychczasowej produkcji filmowej.

W Paryżu odbył się VI Międzynarodowy Kongres Filmu Naukowo-Oświatowego. W Kongresie wzięli udział przedstawiciele ZSRR i krajów demokracji ludowej. Dużym powodzeniem cieszyły się wyświetlane podczas Kongresu filmy naukowe produkcji radzieckiej.

Władze amerykańskie zorganizowały prowokację przeciwko Charlie Chaplinowi, pragnąc nie dopuścić do powrotu do USA wielkiego artysty, który obecnie udał się do Europy na premierę swego filmu „Światła sceny”.

LISTOPAD

VII Kongres Międzynarodowej Federacji Archiwów Filmowych w Amsterdamie na prezesa Federacji powołał po raz czwarty delegata Polski, Jerzego Toplińskiego.

VI Festiwal Filmów Radzieckich w Polsce przedstawił społeczeństwu najnowsze osiągnięcia produkcji radzieckiej. Czołową pozycją festiwalu jest „Niezapomniany rok 1919”. Festiwal cieszył się ogromnym powodzeniem i służył dalszemu pogłębieniu przyjaźni bratnich narodów.

JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY

DOKOŃCZENIE ZE STR. 11

łamarz, i naprzeciw świecy patrząc, przekonała się, iż — suchuteńki był, atrament z niego wylał się co do kropki...

— A co? — zapytał z obawą podkomorzy.

— Nie ma nic...

— Dolać wody... ciepłej — rzekł Wereszczaka — albo z listem, na folwark do ekonomy posłać po atrament.

— Gdzie u niego atrament! — zamruczała, zostając w niedobrych z nim stosunkach, Dorota i wyszła.

Podkomorzy miał czas odetchnąć.

Zegar wybił dziesiątą.

Tymczasem papier został ostrzyżony na nowo — podkomorzy nie tracąc chwili usiadł tak gotów, że mu nic nie pozostawało, tylko pióro umoczyć. Jakoż zanurzył je natychmiast, lecz był to dzień feralny (kalendarz stary, stułetni świadczył o tym), panna Dorota przepełniła już poprzednio splekanego staruszka, i miasto atramentu stał się barszcz, jak mówił podkomorzy.

Dorota utrzymywała nadąsana, że właśnie taki błąd atrament najlepiej czernieje — zresztą innego nie było. Siadł pisać Wereszczaka, chociaż pismo zaledwie było znaczne.

— Pal go tam, niech sobie oczy psuje! Co mi tam! — rzekł w duchu podkomorzy — Pisać moja rzecz, jego czytać.

Tym razem szło nierównie lepiej, ręka nieco nabyła wprawy przez poprzedzające próby — przy odwróceniu stronicy zachował wszystkie należyte ostrożności, dobił się aż do respektu i estymacji, z którą zostawał, zakreślił zygzak ku dołowi, podpisał się z tytułem i mannu propria — położył datę — odetchnął...

Odczytać listu nie było sposobu — lecz nie czuł się też podkomorzy w obowiązku.

Teraz szło już tylko o skrojenie koperty, której teoria była znaną podkomorzemu, lecz w praktyce nastroczało się trudności nieprzewidzianych mnożstwo. Stare nożyczki, które bez miłosierdzia wszyscy nadużywali, krajały jeszcze, nie tak jednak gładko i równo, jakby były powinny.

Koperta wyszła fantastycznie i krzywo, lecz tym się już pan podkomorzy nie frasował. Sygnet herbowny, na krwawniku, ud decet, rżnięty, miał na palcu. Szło o lak.

Klasnął w ręce na Jakuba.

Stary przywlokł się z posępną twarzą.

— Nie wiesz, gdzie lak?

— Jaki?

— Głupi! A jakież ma być? Lak do pieczętowania...

batwan!

— Lak u nas dawno nie ma — odparł Jakub spokojnie.

— Jakto nie ma!

— Bo wyszedł — mówił sługa. — Pani podkomorzyna ostatni raz, gdy chciała pieczętować list do kanonika,

to wiem, że odrobinę znalazłszy, na pióro nasadziła, że palców nie popiekła i pióro osmolila... a na pieczętkę nie starczyło...

Dzień był najdowodniej feralny.

Podkomorzy zażądał opłatka. Był to jedyny surogat możliwy — Dorota znalazła szczątki czerwonego na komódzie i Wereszczaka wziął się do zalepiania koperty...

Dzieło to niezupełnie szczęśliwie się powiodło, lecz szło o to, aby się do Terespoli trzymały z sobą końce.

Drżącą ręką położył adres podkomorzy i głosem grzmącym zawołał o wieczernę. List do jutra rana miał pozostać na stoliku, gdyż atrament był tak blady, iż należało po dniu sprawdzić czy czernieje, wedle zapewnienia Doroty.

Kłuseczki na mleku, przydymione, zjadł Wereszczaka z apetytem, po nich nastąpiła wysuszona cyranka, którą na głodny żab — przyjął było potrzeba. Podkomorzy wstał, przeżegnał się i z przerażeniem spostrzegł, że on, co regularnie po pacierzach o godzinie dziewiątej bywał w łóżku, miał jeszcze przed sobą mille passus i pacierz; a na zegarze północ dochodziła...

A no! dobrze, że się jeszcze i tak skończyło.

Wróciwszy do pokoju, w którym list leżał na stoliku, chcąc się przekonać o czernieniu atramentu — Wereszczaka wziął go do rąk i — dostrzegł tylko, że... przeciwnie, atrament jakby pobladł... Ale — nie mogło to być — po dniu się on musiał wydawać inaczej.

Jak potem zasnął znużony, jak okrutnie chrapał, jakie miał sny, w których przypominało się owo pisanie — opowiadać nie widzimy potrzeby. Obudziwszy się rano, pierwszą myślą było odprawić posłańca... Zaledwie się przeżegnał pobił do pokoju, chwycił przygotowane pismo i z nim pospieszył do okna.

Okulary wziął, nałożył... patrzył... adresu położonego — ani śladu... atramentu ani znaku — papier przybrukany, więcej nic.

Uniósł się niepotrzebnie podkomorzy i w drobne kawałki podarł wczorajszą pracę.

— Jakub, Jakub!

Jakub z nieodstępnym Jaśkiem biegł oba.

— Posłańca z Terespoli mi wołaj!

— On tu już w kredensie czeka od rana...

Podkomorzy w palcach dusił dobytego z sakiewki najpaskudniejszego tyńfa, jakiego miał.

U drzwi stał kłaniając się poseł.

— Kłaniaj się, moja duszko, panu podskarbiemu i — powiedz, że ja z odpowiedzią ustną sam przyjadę...

To mówiąc wręczył tyńfa posłańcowi i dodał:

— Każde sobie dać półkwaterek gorzałki!

Tak skończyła się ta historia, w życiu pana Wereszczaki pamiętna, listu do podskarbiego — a gdy pani podkomorzyna wróciła — miała czego słuchać, bo wszystkie tragiczne jej przejścia opowiadała żonie — i długo, długo wydychać jej nie mógł.

nasz fotokorespondenci donoszą

ŻUBR — RZADKI OKAZ

Żubr, zwierzę typowo leśne, czuł się dobrze w czasach, gdy ziemia nasze pokrywały rozległe puszcze. W miarę ich trzebienia ginał i żubr. W wieku XVII żył on jeszcze w puszczy Kurpiowskiej i Białowieskiej. Później i te ostoję królewską, bo pod specjalną opieką królów pozostającego zwierza, zaczęły się kurczyć. W wieku XIX żubr znajduje się już tylko w Białowieży, a poza ziemiami polskimi, tylko na Kaukazie.

W czasie pierwszej wojny światowej wyginęły doszczętnie wszystkie żubry białowieskie, a było ich ponad 700. Padły od kul kłusowników i niemieckich żołnierzy. Kiedy więc w 1923 roku z inicjatywy Polski założono Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra, sprawa jego hodowli przedstawiała wielkie trudności. Zarejestrowano wtedy nie więcej niż 40 sztuk żubrów i to nie zawsze czystej krwi, gdyż wiele z tych zwierząt pomieszanych było z potomkami amerykańskiego bizona.

Skąd jednak wzięło się jeszcze 40 sztuk żubrów? Otóż carowie rosyjscy, jedyni posiadacze żubrów na świecie, od czasu do czasu robili z nich prezenty to jakimś arystokracie niemieckiej czy angielskiej, to znowu właścicielom cyrków i zwierzyńców. Kiedy więc zdawało się, że żubry skazane są na ostateczne wymarcie, te sztuki pozwoliły na zorganizowanie nowych rezerwatów.

Poznański Ogród Zoologiczny w 1924 roku zakupił jedną parę żubrów z niemieckiej zwierzyni, para ta pochodziła z Białowieży. Trzy żubry ocalały na Śląsku w Pszczynie. W roku 1929 warszawskie ZOO 3 dalsze sztuki: zakupiło w Szwecji. Poznańskie i warszawskie żubry stanowiły zalążek nowego rezerwatu w Białowieży, gdzie żubry, wbrew panującej opinii o degeneracji tego gatunku, mnożyły się szczęśliwie i już w



Ta rodzina żubrów świetnie czuje się w puszczy Niepołomickiej

1939 roku mieliśmy ich 35 sztuk. Nowe rezerваты powstały jeszcze w puszczy Niepołomickiej i w Smardzewicach koło Spawy.

W Polsce Ludowej planowa hodowla żubra zmierza do dalszego rozmnożenia tego rzadkiego już gatunku. Polska posiada obecnie 50% ogólnej liczby żubrów na świecie, prowadzi ożywioną współpracę z innymi krajami, szczególnie ze Związkiem Radzieckim, który i w tej dziedzinie posiada piękne osiągnięcia.

Dawniej nie zwracano uwagi na czystość rasy i mieszało żubry białowieskie z kaukaskimi, nizinne z górskimi. Obecnie podjęto próby pełnego odrodzenia żubrów kaukaskich. Z Niepołomic do specjalnego rezerwatu w Górcach pod Turbaczem przeniesiono sztuki o najwyższym procencie krwi kaukaskiej licząc na to, że w warunkach, przypominających rodzinne strony tego gatunku, odzyska wszystkie jego dawne cechy. Czy ta próba przyniesie pożądane rezultaty, dowiemy się już za kilka lat.

Znaczna liczba żubrów, wyhodowanych przez nas w rezerwach, pozwala już nam na wymianę ich na inne rzadkie w Polsce zwierzęta. W puszczy Kampinowskiej żyją losie, które w drodze takiej wymiany przysły do nas ze Związku Radzieckiego. Za żubry otrzymaliśmy również wielbłądy, białe niedźwiedzie i bobry.

Stan. Kasprzyk, Warszawa

KTO WIE?



Kto wie, co to są enzymy? Jakże zboże zawiera największy procent białka? Jakże zboże zawiera najwięcej tłuszczu?

Idę o zakład, że większość Czytelników „Świata” nie odpowie na te pytania, choć odpowie na nie każdy uczestnik ośrodka szkolenia kadr młynarskich i piekarskich w Glucholazach.

A więc enzymy to nieustrojowe fermenty, wytwarzane przez organizmy zwierzęce i roślinne. Ich skład chemiczny nie jest jeszcze ustalony; przypominają one białko, jednak enzymy przy temperaturze 60° nie scinają się. Do enzymów należy np. pepsyna w soku żołądkowym, fenole i aminy, ptyalina, znajdująca się w ślinie, diastaza, znajdująca się w kielkującym jęczmieniu. Działanie enzymów polega na wywoływaniu reakcji chemicznych w organizmach bez ztracania własnego składu chemicznego, są więc czymś w

rodzaju katalizatorów. Rozkładowe działanie enzymów w bardzo pomysłowy sposób przedstawił na tym, reprodukowanym przez nas rysunku, Henryk Krzysiak, już po 3 tygodniach nauki w Glucholazach.

Białka jest oczywiście najwięcej w pszenicy, a tłuszczu w owsie. Można się o tym przekonać przeprowadzając analizę w laboratorium, jak czynią to te dwie miłe uczestniczki kursu pod czujnym okiem doskonałego pedagoga, Franciszka Walendziaka.

Ośrodek w Glucholazach szkoli młynarzy i piekarzy oraz kierowników i inspektorów młynów i piekarni. Dyrektor ośrodka, Nagurski, zadolowany jest z wyników nauczania i spodziewa się, że wszędzie tam, gdzie jego uczniowie zastosują w pracy nabytą wiedzę, chleb będzie zawsze smaczny i pożywny.

Tadeusz Poniecki, Opole

DRUŻYNA MANEWRÓWA JANA CHMIELA

Jan Chmiel z członkami swej drużyny: Zyradzkim, Jodłowskim, Chorodeckim, Noskiem, Szczepkiem i Zielińskim codziennie omawia pracę, jaka czeka ich na torach.

Jan Chmiel (ten z papierami w ręku) jest przewodnikiem pracy drużyny manewrowej ze stacji Rzeszów-Staroniwa, która osiąga wyjątkowo dobre wyniki. Ale i inne drużyny manewrowe nie pozostają w tyle: w oddziale eksploatacyjnym PKP Rzeszów wszyscy pracownicy służby manewrowej postanowili do końca roku przetoczyć 455 tysięcy wagonów bez uszkodzeń, przyspieszając pracę manewrową przez prawidłowe formowanie pociągów.

Zobowiązanie to podjęto dla poparcia Frontu Narodowego i uczczenia XIX Zjazdu KPZR.

Jerzy Popow, Rzeszów



KURACJUSZE Z DUSZNIK DZIĘKUJĄ

Uwaga, palacze! Jeśli nadużyłście tytoniu, przywrócić wam zdrowie kuracja w Dusznikach.

Uzdrowisko to położone jest w dolinie otoczonej zalesionymi górami. Kuracjusze znajdują tu wysokowartościową borowinę, doskonałe wody mineralne, w tym jedyną w Polsce ciepłą szczawie ziemno-żelazistą „Pieniawę Chopina”, która usuwa właśnie głód nikotyny. Duszniki leczą nieżyty dróg oddechowych, choroby serca i naczyń krwionośnych, choroby dróg pokarmowych, lekkie postaci cukrzycy, ostrożnie dobrane przy padki gościca, niedokrwiłość, stany wyczerpania.



Przygotowanie do kąpieli mineralnej.

Julia Grudzińska, pielęgniarka z Lublina, Anna Lech i Józef Impert, robotnicy ze Szczecina, Aleksandra Pedryc, urzędniczka z Malborka, Zofia Nowak, starościna turnusu, Józefa Łuczak z Poznania, A. Stanięcki z Łodzi i wielu, wielu innych, zachwyceni są wynikami kuracji. „Składamy dowody pełnego uznania dla całego zespołu pracowników — oświadczyli — za solidną i szczerą pracę oraz troskliwą opieką nad kuracjuszami. Pracownicy służby zdrowia wykazali dużo zrozumienia obywatelskiego, aby przywrócić nam siły do dalszej pracy”.

Leon Makowski, Polanica

DARY TEGOROCZNEJ BARBURKI



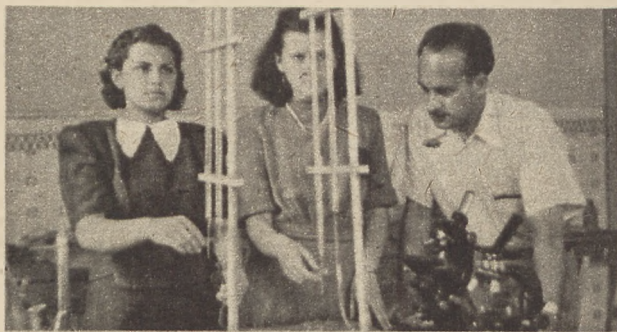
Takiej Barburki nigdy jeszcze nie było! Za wyniki w pracy 4 górników otrzymało tytuł Zasłużonego Górnika Polski Ludowej, 1 górnik odznaczono Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, 6 górników otrzymało Ordery Sztandaru Pracy II klasy, 21 — Złote Krzyże Zasługi i 27 — Srebrne i Brązowe Krzyże Zasługi.

Auta marki IFA otrzymali: rebase — Edward Bula, Stefan Flak, Paweł Janosz, Stefan Surma, Paweł Moj, Władysław Oczkiewicz; nadztygar Franciszek Apryas, kombajnista Oskar Foit i dwóch dyrektorów — Bernard Bugdoł (Za

brze — Wschód) oraz mł. Józef Farny (Rybnickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego). Dziesięciu innych górników otrzymało motocykle.

Wdzięczni górnicy zapewniali: „Jesteśmy świadomi tego, że górnictwo węglowe stanowi najtrudniejszy, najważniejszy, najbardziej odpowiedzialny odcinek Frontu Narodowego walki o Plan 6-letni, o socjalizm. Rozumiemy, że od naszej pracy zależy w dużym stopniu realizowanie wszystkich zamierzeń gospodarczych naszego kraju i zwycięskie pokonywanie trudności”.

Tad. Rzepkiewicz, Katowice



Wszystkim współpracownikom naszego działu składamy serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne!

FOTOGRAFIA NA CODZIEN W ZIMIE...

...będziemy mieli „pełne ręce roboty”. Żeby utrwalić obiektywem piękne motywy śnieżnego krajobrazu, nie musimy nawet wyjeżdżać w góry. Śnieg i słońce dostarczą nam bogactwa tematów również i w mieście czy na wsi. Sliczne fragmenty ośnieżonych drzew, chat, domów, ulic, możemy znaleźć na każdym niemal kroku — trzeba tylko umieć patrzeć, wybrać odpowiedni motyw i jego oświetlenie.

Pamiętajmy, że śnieg usuwa barwy, tak, często myląc nas w lecie. Głina szarego, powstają wielkie, spokojne powierzchnie o miękkich liniach, stwarzające atmosferę spokoju. Śnieg daje jednak martwe płaszczyzny, które ożywia dopiero odpowiednie oświetlenie — najlepiej boczne. Najpiękniejsze, a zarazem najtrudniejsze są zdjęcia wykonane pod światło, gdy słońce świeci niemal (ale tylko niemal) wprost w obiektyw.

W zimie przeważa barwa niebieska — dla jej stłumienia stosujemy filtr żółty lub żółto-zielony. Konieczna jest też ochrona przedwsloneczna, gdyż śnieg daje silne refleksy. W górach nie należy stosować filtrów zbyt ciemnych, gdyż możemy przez to otrzymać niebo całkowicie czarne. Na znacznych wysokościach używamy z reguły filtru ultrafioletowego.

Na mrozie obiektyw naszego aparatu „poci się”. Wycieranie mgiełki, którą pokrywają się soczewki, nic tu nie pomoże. Trzeba odczekać, aż para sama zniknie z obiektywu.

I jeszcze kilka uwag o zasadniczym znaczeniu:

— Sfotografowany z bliska jeden mały przedmiot (ośnieżona gałąź, pagórek, lawka, chata czy krzak w śniegu) daje silniejsze efekty, niż szeroki, nie mówiący krajobraz;

— śnieg jest efektywny, gdy jest świeży: śnieg padający, z adymką fotografujemy stosunkowo powolną migawką, o szybkości ok. 1/25;

— zdjęcia sportowe, szybko jadących, czy też wykonujących ewolucje i skoki narciarzy, fotografujemy na 1/200 — 1/500 sek.;

— na wycieczkach narciarskich nie wykonujemy nigdy szablonych zdjęć grupowych, np. narciarzy opartych o kijki, lecz fotografujemy ich w ruchu;

— gdy nie ma słońca, nie warto nawet otwierać futerału, bo płaszczyzny śniegu wydają martwo, płasko — wyjątek stanowi zadymka śnieżna, wolno opadające płatki śniegu: fotografujemy je na ciemnym tle.

ODPOWIEDZI: A. Rongers, W-wa. 1) O czyszczeniu obiektywu pisaliśmy w nr 32 (55) naszego pisma z dn. 10.VIII. br. 2) Filtr uniwersalny żółto-zielony stosujemy również przy śniegu. 3) W zimie przy śniegu stosujemy czas naświetlania podobnie jak w lecie nad wodą.

Główny tytuł

STANISŁAW KOWALEWSKI

Ilustr. BARBARA PNIEWSKA

Po drodze posuwa się grupa mężczyzn w kombinezonach roboczych, za nimi toczy się ciężarówka.

Wies ciągnie się wzdłuż drogi. Jest teraz opustoszała. Ale na krańcu, od strony cmentarza, widać ciemne figurki w ruchu. Zbierają się i zatrzymują tuż za ostatnimi zabudowaniami. Rośnie ich spora grupa, choć nierównie mniejsza od gromady na cmentarzu. To dzieci i młodzież, którym rodzice surowo zabronili biec za sobą. Mają pilnować domów. Oprócz dzieci są tu i starsi, których w gruncie rzeczy nie obchodzi obrona cmentarza. A są i tacy, którzy o jego likwidacji myślą ze szczerą uciechą, boją się tylko ujawnić swe zapatrywania wobec gromady. To zwolennicy i przyjaciele pana Jacobiego. Stoją tu teraz i patrzą, co się stanie.

Za wsią widać morze i przystań. Morze jest teraz ciemno granatowe, pokreślone srebrnymi wężkami piany.

Przy krótkim moście stoi gruba, pękata barka ekspedycji. Bije o nią zewsząd morze, a ona kołysze się powoli, brudna, ciemna. Tak jak brudne i ciemne są sprawy, z którymi przybyła tu jej załoga. Z tyłu, za burtą widać w morzu rozoraną, spienioną bruzdę.

Nad barką unoszą się w zawrotnym szybkim tańcu stada mew.

A teraz, kiedy popatrzyć znów na cmentarz, widać, że grupa kopaczy i samochód są już w niewielkiej odległości od bramy cmentarza. Czas zbliżyć się do nich.

Stoją naprzeciw siebie zneruchomiałe dwie grupy. Powoli z auta zaczynają się gramolić policjanci. Zeskakują jeden za drugim. Na ziemi obciągają kurtki, poprawiają pasy, zawieszają na ramiona lekkie karabinki. Z szoferki auta wychodzi niski, siwy mężczyzna. To wójt.

Tymczasem ludzie przyglądają się wzajem sobie z nieufnością. Kopacze zmęczeni się drogą pod górę, niektórzy wycierają pot z czoła i głośno sapia zadyśnieni. Większość z nich z nieukrywaną wrogością patrzy na mieszkańców wsi. A więc ci tutaj zebrali się, żeby im przeszkadzać w robocie, żeby im uniemożliwić pracę, a więc i zarobek. O co im chodzi? Kopacze czują na sobie pogardliwy wzrok mieszkańców wsi. Nie chcą się zastanawiać, skąd ta pogarda. Tak wygodniej. A zresztą, o cóż chodzi tym kopaczom? — O zarobek. O robotę i zarobek.

Józek Bryne wysuwa się do pierwszego rzędu stojących. Patrzy z nienawiścią na kopaczy.

— Hycie — rzuca wyzywająco. — Do psiej roboty się wynajęli!

Kopacze w pierwszej chwili nie rozumieją o co chodzi, ale ktoś ze stojących obok Józka woła:

— Tym by sprawić lanie! Hieny, co w grobach ryją.

Paru z kopaczy trąca się ramionami, na twarze kilku innych wypełza powoli rumieniec.

— Nie zaczynajcie z nami — mówi jeden. — Wynajęli nas i robimy swoją robotę.

— A jakby was wynajęli do mordowania albo do podpalania domów, to też byście mordowali i podpalali?! — rzuca Józek i wysuwa się z tłumu. Chce, żeby go tamci dobrze widzieli, żeby go zapamiętali. Gdyby mógł, każdemu z nich naplułby w ślepią.

Ale już ktoś ciągnie go za rękę.

— Spokojnie, Józek... spokojnie... — poznaje głos Olafa.

Wójt przez dłuższą chwilę rozmawia z sierżantem policji.

Kopacze rzucają mieszkańcom wioski:

— My tu robimy porządek. A was, jak będziecie przeszkadzać, rozpędzimy raz dwa.

I znów z kilku stron naraz spadała na kopaczy wyzwiska.

Wójt nagle się obraca, skończył rozmowę z sierżantem. Podchodzi do swojej gromady, śmieje się nieszczerze.

— Oj, ludzie, ludzie! Już wam mówiłem, nieporozumienie zaszło. Zwykle nieporozumienie.

Gromada słucha w milczeniu. O jakim nieporozumieniu mówi wójt? Tylko stolarz Fuert wyrwa się samotnie z tłumu i rozradowanym, piskliwym głosem woła:

— A nie mówiłem? Nieporozumienie. Tylko nieporozumienie!

Ale ludzie uciszają go zaraz szeptem:

— Milcz, Fuert. Milcz.

Stolarz milknie i cofa się spłoszony, gdzie najęśniej ludzi.

— Oj, ludzie — woła znowu wójt. — Zebraliście się tu, jakby szło o wielkie sprawy.

Ktoś was podburzył, ktoś zaagitował i stał wszystko.

Nie odpowiadają wójtowi. Czeka, co powie dalej.

— Nikt nie chce niszczyć cmentarza, o tak, aby niszczyć. Wyszło tylko rozporządzenie władz, że wszystkich rosyjskich żołnierzy pochowa się na jednym wielkim cmentarzu. No, i to wszystko. Nikt tu nie chce krzywdzić pamięci poległych. Jasne, co? — wójt zaciera ręce, jakby uważał całą sprawę za załatwioną.

— Mówicie, wójt, że nikt nie chce niszczyć cmentarza. A kto pomnik wysadził w Ankenie?

— Nic o tym nie wiem — mówi wójt zakłopotany.

Ale tu wójtowi przychodzi z pomocą sierżant. Mówi ostrym, nieprzyjemnym głosem, nawykłym raczej do wydawania rozkazów niż udzielania wyjaśnień.

— Po wywiezieniu zwłok cmentarz przestaje istnieć. Nie ma go po co dłużej utrzymywać. Jest więc rozkaz władz, by likwidować pomniki, ogrodzenia, no, jednym słowem wszystko — uśmiecha się kwaśno i zaraz dodaje jeszcze — wieś ma z powrotem pole do użytku.

Teraz już ludzie rozumieją o co chodzi.

— Tak. No, to pięknie panu dziękujemy za wyjaśnienia, panie sierżancie — mówi powoli Olaf.

A wdowa po Feliksie Struve mówi bardzo spokojnie:

— My wiemy, że to pole może być do użytku. To przecież nasze gromadzkie grunty. Ale myśmy je oddali na cmentarz żołnierzy radzieckich. I właśnie taki chcemy mieć z niego użytek.

Sierżant się denerwuje.

— Ja tu wam, ludzie, tłumaczyć dużo nie będę. Jest rozkaz władz. Dokonać ekshumacji i zlikwidować cmentarz. Kto się będzie sprzeciwiał, znaczy — chce zakłócić porządek publiczny.

— Zaraz, zaraz... Wolnego, panie sierżancie. Są u nas prawa. Jest konstytucja, jest parlament — zaczyna Marek i wysuwa się z tłumu. — I o tym, żeby niszczyć cmentarz żołnierzy, którzy tu przynieśli wolność, którzy tu, po tych lasach, po tych górach ginęli w walce — takiego prawa u nas nie było i nie ma.

Sierżant wzrusza ramionami.

— Zaraz — ciągnie Marek. Stara się mówić głośno, dobitnie, żeby wszyscy dobrze go słyszeli. — Takich praw nie było i nie ma w żadnym uczciwym społeczeństwie. Takie rzeczy robili u nas i gdzie indziej tylko hitlerowcy.

Sierżant czerwienieje ze złości.

— No, uważajcie... Przyjechaliśmy nie na gadanie, ale ażeby wykonać rozkaz. I koniec — krzyczy.

— Jeszcze jedno, panie sierżancie — teraz Marek podnosi głos. — Ja myślę, że tu naprawdę zaszło tylko nieporozumienie. Ze nasz rząd na taki czyn nigdy by nie pozwolił. Jeśli hitlerowcy niszczyli mogiły bohaterów i burzyli nasze pomniki, to mówiło się na to — łotrstwo. Mówiło się — zbrodnia. Panie sierżancie, my chcemy mieć ten cmentarz.

Sierżant stoi teraz zły, czerwony i jakby trochę zakłopotany.

A Olaf pomaga Markowi:

— My tu mówimy do pana, sierżancie, jak do człowieka. Te groby powinny tu zostać.

Sierżant woła:

— Rząd nie chciał krzywdzić poległych. Chodzi o ten wspólny grób. Nie rozumiecie.

Ludzie stoją, uśmiechają się, kiwają głowami. Rozumieją, owszem. Rozumieją nawet więcej niż powiedział policjant.

Sierżant uderza się po pasie.

— Więc jak będzie? — woła.

— No, po staremu. Po staremu. Niech ten cmentarz zostanie jak jest. Niech polegli spoczywają w spokoju. Tu ich miejsce — mówi najstarszy z rybaków, Arnold Johansen, i kiwa powoli swą wielką, osiwiatą głową.

Sierżant wybuchł.

— Ej, nie żartujcie, ludzie!

A wójt naraz zaczyna z gorączkowym pośpiechem:

— Jest rozporządzenie władz. Trzeba słuchać. Co wy ludzie? Buntować się chcecie?

— Rozejść się! Natychmiast się rozejść! — krzyczy sierżant.

Policjanci sięgają po karabinki i zaczynają je ścigać z pleców.

Marek Karelsen znów woła:

— Nie wy bronicie prawa, ale my!

Wójt krzywi się, jakby przełknął coś bardzo gorzkiego.

— Nie krzycz tak, Karelsen — mówi. — Wszyscy wiedzą, co za jeden.

Nagle Markowi przychodzi z pomocą nauczyciel Petersen. Jest bardzo błądy, przeciera nerwowo okulary.

— Panie wójt, panie sierżancie — zaczyna i wśród ludzi cichną wszystkie głosy. — Myślę, że nie o to chodziło władzom, by coś robić wbrew woli ludności, żeby pozabawić ludzi tych cmentarzy. Jeśli jakieś gromady zgadzają się na ekshumację ze swoich cmentarzy — to ich sprawa. Ale tu chyba jest historia jasna. Pan, panie sierżancie, sam widzi. Ludzie chcą mieć tu, obok swej wioski, swoich umarłych. Ja myślę, że trzeba o tym wszystkim napisać odpowiednie pismo do władz, do samego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zebrać podpisy całej gromady i wtedy wszystko będzie w porządku. I nikt naszego cmentarza nie będzie ruszać...

Ot, nauczycielska głowa, wymyślił, co trzeba.

Na twarzy sierżanta widać odprężenie. Przecież nie wiedział już co robić, a tak ma wyjść z honorem. Będzie się wobec władz powoływać na nauczyciela Petersena. Więc udając jeszcze, że się waha, w gruncie rzeczy kapituluje z ulgą.

— Co się odwlecze, to nie uciecze — mówi z marsową miną. — Ale jeśli chcecie występować wobec rządu ze specjalną petycją, to owszem, macie prawo. Tylko zróbcie to dziś jeszcze, natychmiast.

Nachyla się do wójta i mówi cicho, poufnie:

— Będę miał grubą nieprzyjemność za niewykonanie rozkazu. Ale trudno... Jedni tylko kopacze zdradzają wyraźne niezadowolenie. Praca nie została wykonana, więc i zarobku nie będzie.

...

Ludzie stojący pod cmentarzem widzą, jak drogą powoli oddala się ciężarówka, błyszcząca od rynsztunku i hełmów, i jak odchodzą zli, zawiedzeni kopacze.

Pierwszy triumf w utarczce z nieprzyjacielem został odniesiony — myślą co młodsi i z głośnym śmiechem rzucają pogroźki za oddalającymi się kopaczami.

— Ominie was ten zarobek!

— Nie macie tu po co wracać!

— Do gałęzi roboty się wynajęli!

— Hieny!

Szyk pochodu teraz zmieniony. Do wsi auto jedzie na początku, za nim postępują kopacze. Słyszcząc pogroźki, obracają się czasem i potrząsają pięściami.

— Aby razem! Jak stanęliśmy wszyscy razem, to tchórz tamtych obleciał — mówi Józek. Na błąd, wypaloną żarem kowalskiego ogniska twarz wypelzają nikłe rumieńce.

Nie wszyscy jednak patrzą na sprawę pogodnie.

— Co teraz będzie? — rzuca pierwszy pytanie Arnold Johansen, zsuwa z głowy kapelusz i mierzwi ręką swoje bujne, siwe włosy.

— Tak, jak postanowiliśmy — spokojnie odpowiada nauczyciel Petersen. — Napiżemy dziś jeszcze zbiorowy list do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i wszyscy, jak tu jesteśmy, podpiszemy go.

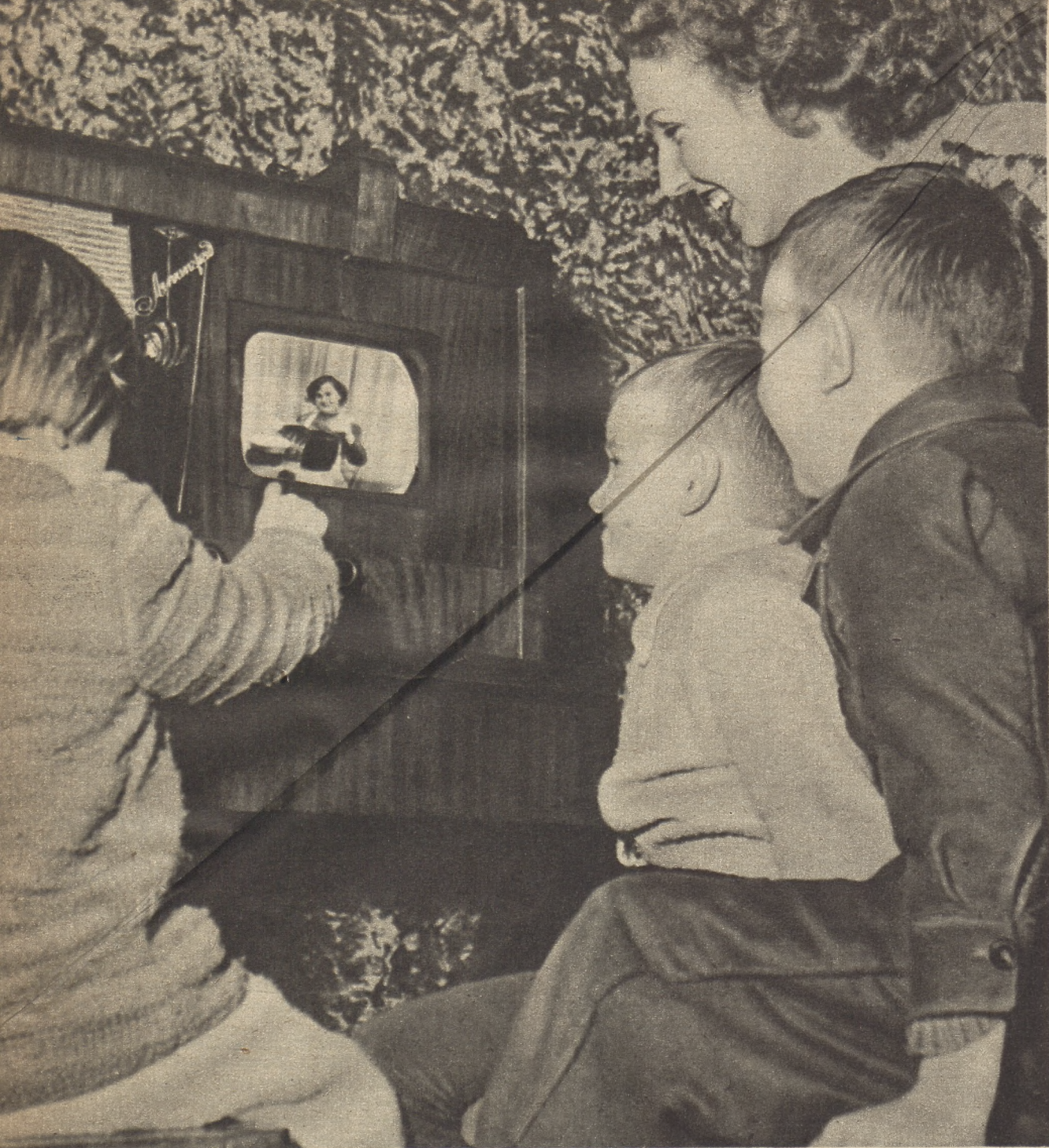
— Ano, podpiszemy, podpiszemy — potwierdza Arnold.

— I to trzeba zrobić dziś. Zaraz, nie zwlekając — dodaje nauczyciel.

— Myślicie, panie Petersen, że po naszym liście ustąpią? — pyta Olaf podejrzliwie i bacznie patrzy na nauczyciela, jakby chciał odgadnąć jego najbardziej skryte myśli.

Petersen przez dłuższą chwilę nic nie odpowiada. Wie, że obserwują go w tej chwili oczy wszystkich. Cały tłum czeka na jego odpowiedź. Twarz starego nauczyciela pełna jest widocznej troski.

Balszy ciąg w następnym numerze



Tylko dla dorosłych! Błyskawiczny kurs kucharski: znana aktorka warszawskiej „Sireny”, B. Marszał, podaje przepis na kilka smacznych potraw z ryżu. Cierpliwości, młodzi entuzjaści telewizji. Dla was też coś będzie...



DOBRY WIECZÓR MILI TELEWIDZOWIE



Równo rok temu pisaliśmy w „Świecie” o pierwszych osiągnięciach naszych techników w dziedzinie telewizji i ich śmiałych planach na przyszłość. Być może, niejedną z Czytelników odniósł się wtedy do tych planów sceptycznie. Nasi technicy dotrzyмали jednak swych zobowiązań. Oto w lipcu br. uruchomiona została w Warszawie doświadczalna stacja telewizyjna; równocześnie zainstalowano w terenie pierwsze odbiorniki telewizyjne, rozbudowano i unowocześniono studio telewizyjne i aparaturę nadawczo-odbiorczą. Dzięki tym osiągnięciom, począwszy od stycznia 1953 r., nadawane będą z warszawskiej stacji telewizyjnej regularne, tygodniowe programy.

Od ub. roku zrobiliśmy siedmiomilowy krok na drodze do eksploatacji telewizji w naszym kraju.

Wiech u Ciebie w mieszkaniu... Tak, Czytelniku. Ale nie tylko to. Bo jeszcze: przedstawienia teatralne i koncerty, filmy i aktualności, reportaże z laboratoriów naukowych i gigantycznych budowli, z wyścigów konnych i boisk sportowych, pokazy mód i kursy gotowania — wszystko to zobaczysz w Twoim własnym mieszkaniu. Jak z rogu obfitości syją się atrakcje, jakie przyniesie nam eksploatacja najmłodszej z muz — telewizji...

Potężne reflektory, zwrotne kamery, mikrofony, kłbowisko kabli, fragmenty dekoracji — wszystko to przypomina atelier filmowe. Ale przypomina tylko pozornie. Znajdujemy się bowiem w warszawskim studio telewizyjnym. Operatorzy, mechanicy, pracownicy techniczni krzątają się koło skomplikowanej aparatury z tajemniczymi guzikami, przewodami, galkami, przełącznikami. Czynione są ostatnie przygotowania przed „puszczeniem na antenę” programu telewizyjnego dla pierwszych teleabonentów — świetlic fabrycznych i instytucji, na Pradze i w Warszawie lewobrzeżnej. Na razie zainstalowano kilkadziesiąt odbiorników telewizyjnych dla kontroli pracy doświadczalnej stacji telewizyjnej.

Do rozpoczęcia programu mamy jeszcze kilkanaście minut. Korzystając ze sposobności zwracamy się do twórcy polskiej telewizji, inż. L. Kędzierskiego, z prośbą o garść szczegółów na temat pierwszej stacji telewizyjnej.

— Jesteśmy dumni z tego osiągnięcia — mówi inż. Kędzierski. — Na razie zasięg stacji (znajduje się ona zaledwie 20 m nad poziomem Warszawy) jest niewielki. Wynika to z właściwości fal krótkich, przy pomocy których obraz telewizyjny wysyłany jest w eter, a które to fale w odróżnieniu od innej długości fal radiowych mają zasięg niewiele przekraczający pole widzenia. To znaczy, że granicą, do której sięgają fale, będzie w przybliżeniu horyzont widziany z wysokości anteny nadawczej. Im więc wyższa antena, tym większy jej zasięg. Z uwagi na to — ciągnie inż. Kędzierski — przewiduje się w przyszłym roku uruchomienie stacji telewizyjnej na odpowiedniej, koniecznej dla tych celów, wysokości oraz zainstalowanie tam kilkadziesiątmetrowej anteny, której szczyt znajdzie się na wysokości ok. 90 m nad poziomem Warszawy (a ponad 100 m nad poziomem Pragi), co zapewni odbiór telewizyjny w granicach Wielkiej Warszawy.

— Idealnym wprost miejscem dla zainstalowania stacji telewizyjnej — wtrąca inż. Bzowski, jeden z na-

szych najlepszych fachowców telewizyjnych — byłby w przyszłości Pałac Kultury i Nauki, a to z uwagi na centralne położenie i wysokość. Zasięg takiej stacji wyniosłby ok. 70 — 75 km., co stanowi znaczną odległość w porównaniu z przeciętnym zasięgiem stacji telewizyjnej, wahającym się w granicach 45 — 55 km...

Przygotowania w studio były na ukończeniu. Rozbłyskują właśnie duże i małe reflektory — „smoki” i „szczeniaki”, jak je tu nazywają operatorzy. Zapalają się świetlówki fluoryzujące. Studio wypełnia się intensywnym, gorącym światłem. 40 tys. watów to nie byle co. W ciągu kilku minut robi się lipcowy upał — 32 stopnie...

Aktorzy omawiają z operatorem ostatnie szczegóły, powtarzają tekst (w czasie transmisji telewizyjnej nie można czytać roli z egzemplarza, jak to ma miejsce w audycji radiowej, lub korzystać z suflera — nieocenionego w teatrze), tancerze i baletnice „rozkręcają się” w próbnych piruetach.

W kabinie oddzielonej od studia wielką taflą szyby pracuje skomplikowana aparatura kontrolna. Stąd właśnie mikserzy wizji i dźwięku wysła za chwilę „wyczyszczony” — doskonały technicznie obraz (przekazywany przez kamerę) na antenę, skąd powędruje on z zawrotną szybkością 300 tys km/sek. między innymi do...

...świetlice Państw. Zakł. Przem. Tłuszczowego nr 1 (dawniej „Schicht”) na ekran jednego z kilkadziesiąt zainstalowanych „na mieście” odbiorników telewizyjnych.

Wiadomość o dzisiejszym programie wywołała w fabryce zrozumiałą sensację. Ludzie przychodzili do świetlicy na długo przed oznaczoną godziną. Przy kształtnym telewizorze zebrało się sporo robotników — niektórzy przyszli wprost z pracy. Z największym zainteresowaniem i podnieceniem oczekują rozpoczęcia programu. Żywo rozprawiają o telewizji.

Nagle wszyscy cisną się do telewizora. Oto na małym ekranie odbiornika telewizyjnego pojawiają się drgające, niebieskie linie: przebiegają przez ekran z błyskawiczną szybkością, znikają — pojawiają się coraz inne, w końcu przecierają się zupełnie. Wylania się spoza nich rysunek syreny na falach — sygnał wywoławczy warszawskiej stacji telewizyjnej (odpowiednik radiowego sygnału dźwiękowego). Po chwili z ekranu uśmiecha się miła twarz speakerki. „Dobry wieczór, mili widzowie. W dzisiejszym programie telewizyjnym ujrzycie...”

Wysoka jakość obrazów oglądanych w programie pozwala przypuszczać, że niedługo już będziemy mieć telewizję na poziomie przodujących w tej dziedzinie państw świata.

Najbliższym zadaniem naszych techników telewizyjnych będzie rozbudowanie sieci telewizorów w terenie, opracowanie urządzenia dla nadawania filmów drogą telewizyjną oraz urządzenia reportażowego dla transmisji z terenu, np. z teatru, laboratoriów naukowych, boisk sportowych itp. W związku z tym opracowuje się prototyp nowoczesnie wyposażonego telewizyjnego wozu transmisyjnego.

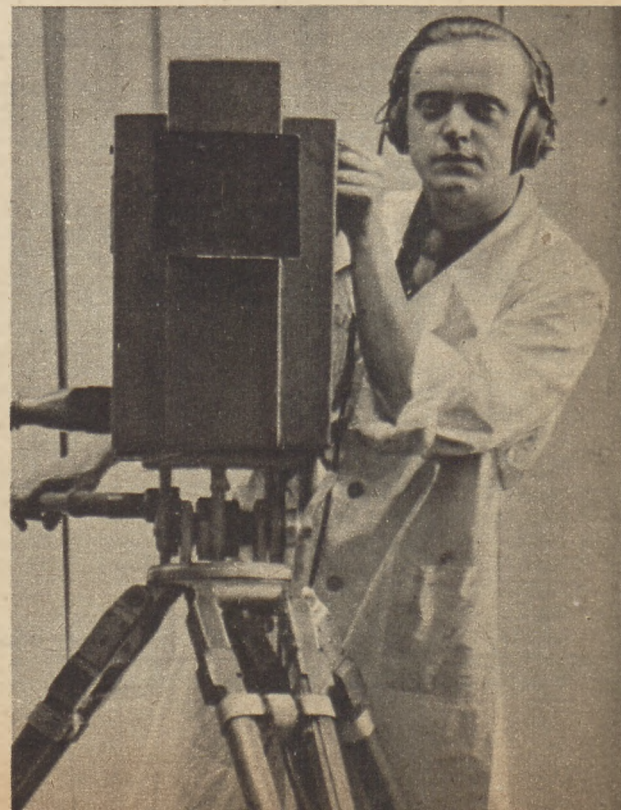
Pełna eksploatacja telewizji będzie możliwa dopiero w końcu Planu 6-letniego po wybudowaniu w Warszawie Centrum Telewizji ze stacją o dużej mocy. Będzie to obiekt o kubaturze, sięgającej tysięcy metrów sześciennych, gdzie obok zasadniczych urządzeń technicznych znajdą się liczne pomieszczenia pomocnicze, służące do celów programowych i transmisyjnych. Nieco później uruchomiona będzie również w Łodzi stacja telewizyjna, która umożliwi zarówno retransmisję programu warszawskiego, jak i nadawanie programu własnego.

Dzięki osiągnięciom naszych techników zagadnienie eksploatacji telewizji do użytku publicznego dojrzało do realizacji.

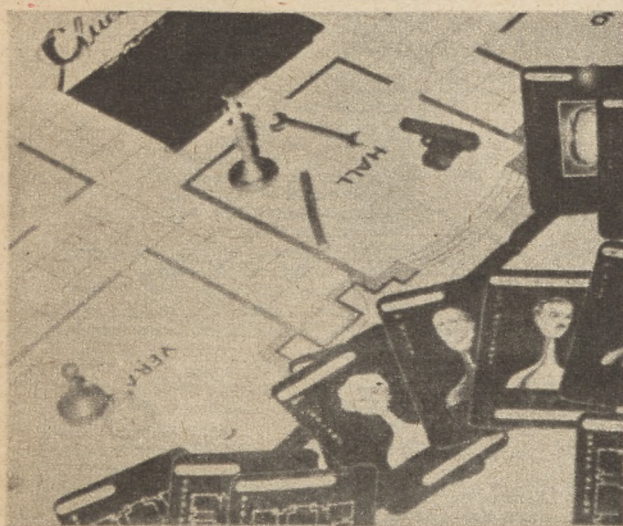
ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

Fot.: Jan Kosidowski

Oko w oko z kamerą telewizyjną... Można się nabawić chronicznej tremy: tutaj nie ma próbnego „kręcenia” ani powtórek — obraz „leci” wprost na antenę.



POUCZAJĄCA GRA...



Najnowsza gra towarzyska, modna dziś we Francji, „Gra w zabójcę” wywodzi się w prostej linii od „zabaw w gangsterów” tak rozpowszechnionych za Atlantykiem. Akcesoria gry stanowią: plan domu, gdzie dokonano przestępstwa, fotografie z albumu kryminalistów, narzędzia kasiarskie, rewolwery, łomy, pałki gumowe, itp. Grę wraz ze wszystkimi akcesoriami można dziś nabyć w każdym niemal francuskim sklepie z zabawkami. O jej atrakcyjności świadczy poniższy fakt z kroniki kryminalnej:

W Wimereux, północna Francja, zamordowany został bogaty kupiec, Per-

culiari. Mordu dokonał jego jedyny syn, kilkunastoletni młodzieniec. W jego pokoju policja znalazła „grę w zabójcę”. Śledztwo wykazało, że cała rodzina zabawiała się wieczorami tą emocjonującą grą, aż młodociany adept sztuki mordowania postanowił wypróbować nabyte umiejętności w praktyce. Ściągnął tedy z biurka ojca rewolwer, zastrzelił go, a następnie ukrył morderczą broń w ogrodzie sąsiadów. Zupełnie tak, jak wskazywały reguły gry.

Zdobycze kultury amerykańskiej przenikają coraz głębiej w życie satelitów.

kastety, pistolet - wiatrówka z którego postrzał może być śmiertelny, jeżeli trafi ofiarę z odległości do 25 m. Wszystkie te zabawki mogą więc służyć jako narzędzie mordu. Stanowią one znakomite uzupełnienie lektury, rozpowszechnianej obecnie wśród młodzieży angielskiej w postaci amerykańskich „comics”. Młodociani czytelnicy „co-

mics” przy pomocy tych „zabawek” wcielają w życie fantazje autorów morderczych historyjek obrazkowych. Wiedzą coś o tym angielscy rodzice, wychowawcy i sędziowie dla nieletnich. Ale próby przeciwdziałania są skazane na niepowodzenie: zakaz rozpowszechniania „comics” spowodowałby natychmiastową interwencję ambasady amerykańskiej.

KALENDARZ ŻOŁDAKA



Hitlerowcy i militaryści z Niemiec zachodnich sprawili sobie piękny upominek na gwiazdkę w postaci „Kalendarza Żołnierskiego na rok 1953” (Der Deutsche Soldaten-Kalender 1953). Barwnie ilustrowane wydawnictwo, przeznaczone jest — jak stwierdza w przedmowie admirał Gottfried Hansen, prezes „Związku Niemieckich Żołnierzy” — nie tylko dla żołnierzy dawnego Wehrmachtu i ich rodzin, ale i dla... „młodzieży niemieckiej, w której ręce los złożył przyszłość ludów Europy”.

Jak sobie autorzy kalendarza ten los wyobrażają, wynika z pisma generała Guderiana, czołowego zbrodniarza wojennego, który zaleca ten kalendarz, bo „przypomina on nam minione dni,

kiedy wspólnie walczyliśmy za nasze Niemcy”. Krótko mówiąc: kalendarz poświęcony jest gloryfikacji zbrojeckiej wyprawy Hitlera i jego generałów na Europę. Na czołowym miejscu umieszczono też w kalendarzu portrety i życiorysy wszystkich wielkich wodzów pruskiego militarysty, od Fryderyka Wielkiego po hitlerowskich generałów. A całościomowa, barwna reprodukcja hitlerowskich orderów i odznaczeń, nadawanych bandytom z Wehrmachtu i SS za zbrodnie dokonane podczas wojny, ma czytelnikom przypominać owe „minione dni chwały”.

I to właśnie ma służyć wychowaniu młodzieży zachodnoniemieckiej na żołdaków nowego „Wehrmachtu”.

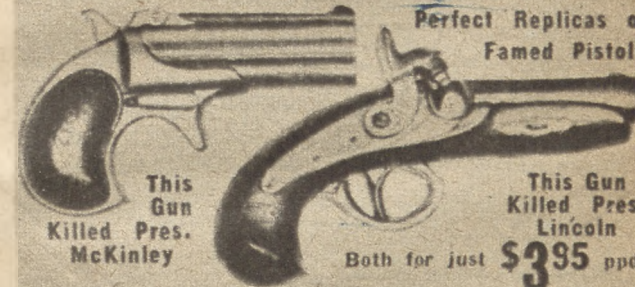


OZDOBA NA CHOINKĘ

Różne bywają sposoby uczczenia pamięci wielkich ludzi. Narody kulturowe stawiają im pomniki, wznoszą mauzolea, przechowują troskliwie pozostałe po nich pamiątki. A w Ameryce? W Ameryce też przechowują pamiątki. A nawet popularyzują je i po-

wielają. Żeby każdy mógł nabyć sobie egzemplarz. Na przykład firma Greenland Studios w Pittsburgu zajmuje się takim procederem. Oto ogłoszenie, zamieszczone w listopadowym zeszycie miesięcznika „Esquire”, przeznaczonego dla bardzo wytwornych sfer:

AUTHENTIC FULL-SIZE ASSASSIN GUNS



Absolutely safe! Will not fire. Expert reproductions are composition cast and hand finished. Felted backs protect desks when used as paper weights or they're magnificent as wall decorations. Superb, unusual Christmas gift for boy or man.

FREE Catalog of Unusual Gifts
GREENLAND STUDIOS, Dept. 104
5858 Forbes St. Pittsburgh 17, Pa.

„AUTENTYCZNE, NATURALNEJ WIELKOŚCI PISTOLETY MORDERCÓW. Dokładne kopie oryginałów. Ten pistolet służył do zamordowania prezydenta McKinleya. Z tego pistoletu zamordowano prezydenta Lincolna. Cena obydwu tylko 3 dolary 95 centów. Absolutnie bezpieczne. Nie strzelają. Fachowo wykonany odlew, ręcznie wy-

kończony. Spód pokryty filcem zabezpiecza biurko od porysowania. Można użyć jako przycisku. Wsporniki prezentują się jako dekoracja ścienna. Nadzwyczajny, wspaniały prezent gwiazdkowy dla chłopców i mężczyzn”.

Słowem, kupić i zawiesić na choince. Niech dzieci biorą przykład z posiadaczy pierwowzorów tych zabawek.

...I NIE MNIEJ POUCZAJĄCE ZABAWKI



A oto okazy nie mniej pouczających zabawek, wystawionych ostatnio w oknach sklepów angielskich. W związku ze zbliżającą się gwiazdką, brytyjskie wytwórnie rzuciły na rynek cały asortyment najnowszych modeli dla „swych milusińskich”.

Jak donosi tygodnik „Reynolds News” z dn. 2 listopada 1952, mimo protestów rodziców i nauczycieli władze odmówiły zakazu rozpowszechniania

tych zabawek, gdyż „nie ma w nich nic nielegalnego”. Tygodnik na pierwszej stronie reprodukuje okazy tych „legalnych” modeli narzędzi mordu, przeznaczonych dla dzieci angielskich. Znajdują się wśród nich:

imitacja pałki gumowej, napełniona kulami ołowianymi, nóż sprężynowy, o ostrzu długości 10 cm, które wyskakuje za naciśnięciem sprężyny,

DUCE! DUCE!



Faszystowski salut, dźwięki „Giovinezzy”, okrzyki „Duce! Duce!”, czarne koszule, czarne krawaty, czarne furażerki faszystowskich bojówek — oto akcesoria demonstracji, zorganizowanej w Aroinazzo przez neofaszystów włoskich na cześć starego zbrodniarza wo-

jennego, marszałka Graziani (X). Żołdak Mussoliniego wygłosił do zebranych przemówienie gloryfikujące faszyzm, po czym odbyła się defilada. Na czele niesiono sztandar milicji faszystowskiej. Tak to po Włoszech de Gasperiego buszują wielbicieli Mussoliniego.



TEATR ŚWIAT

DYREKCJA: JAN SZELĄG

DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

Z SZOPKI POLITYCZNEJ JOZEFA PRUTKOWSKIEGO

MIKOŁAJCZYK: Słyszałem głos de Gaulle'a, ogauillić się chciałem,

Włec na chwileczkę do was przyleciałem.
Mnie tu bez przerwy straszna myśl przenika:
Co oni robią bez Mikołajczyka?
Przez Londyn niesie mnie Rolls-Royce,
Pracuję w firmie His Masters Voice.
Bo tylko angielska firma
W całym świecie wielki mir ma.
Tu też w Londynie mam magnackie mury,
Mam gospodarstwo, i gumna, i kury.
(mel. „Pozdrowienia z gór”)

Pozdrowienia od kur
Słę dla swych koleżków z Peeselu
Dla hrabiów Kociów z księżną Belą.
Dla księcia Fonsia z grafem Blitz.
Pozdrowienia od kur,
Bo nic innego dać nie mogę.
Co miałem dać to... dałem nogę.
I więcej dać nie mogę nic.

mówi:
Bardzo wam ciężko beze mnie,
Czekacie pewno bezsenne,
A tata nie wraca ranki i wieczory,
Niestety, Los. I'm sorry.
Poza tym u was są już duże śniegi
I nazbyt mocna maść na (sz)piegi.
Włec nie czekajcie, nie wróć tata.
Nie czekaj tatka latka. Nie róbcie z tata wariata.

GUDERIAN: Bardzo mnie wzruszasz swoją piosenką.
Bo śpiewasz pięknie, chociaż bardzo cienko.
Ładna piosenka, brawo, brawo,
Lecz jeszcze jedno dołabym rad,
Że bardzo kocham cię, Warszawo,
Tak piomennie jak von dem Bach.
Nie chce, by się Polak strachał
Ale chce, by każdy miał
Nad swą głową własny dach-au!
Zawsze bardzo tego-m chciał.

CHŁOPIEC Z FDJ: Dziękujemy za dobre chęci.

GUDERIAN: Tak, my ich wszystkich obujem, oświećm...

CHŁOPIEC Z FDJ: Obujem? Już Goebbels bujał nas cacany.
Oświećm? Oświećm także pamiętamy.
Znowu chcesz Niemcy wepchnąć w matnię,
Znów chcesz sprzedawać mięso armatnie.
A kto ci pomoże? Prezydent Heusas?
Sługa Wall Streetu, Heuss Master's Voice?
W tym prezydencie podejrzane jest,
Ze nawet w nazwisku ma „SS”.

GUDERIAN (śpiewa): Najpierw Bizonia, potem Trizonia,
A potem male tralalalala.
A potem...

(mówi) Nie ma rymu do Trizonia

CHŁOPIEC Z FDJ: Ja wam pomogę: agonia!

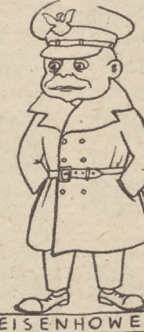
ACHESON: Co? Agonia? Gdzie agonia?

Gdy to słyszę — hop, na koń ja.
Kiedy słyszę o agonii,
Coś mnie zaraz goni, goni.
(śpiewa): Ja mam swój system
Mam swój plan
I dobrze mi z tym
Bez dwóch zdań.

Europe zdobyć muszę
Dolarem ją przyduszę,
Już taki jestem zimny drań.
O kogo widzę, sprzymierzeniec nasz.
Jak Tito robisz, i skąd Tito masz?
TITO: Jak ja to robię? Jak Himmler i Franco.
Skąd ja to mam? Z amerykańskiego banku.
Ach, kogo widzę, jakie miłe spotkanie.
To przecież sam generał Franco.
FRANCO: Sam, sam, bez narodu, mój Benito...
TITO: Nazywam się Tito.
FRANCO: Przepraszam, Tito. Dookola zdrad...
Rozumiesz zatem drogi Hirohito...
TITO: Tito!!!
FRANCO: Tak, Tito, wszędzie szpieg ada.
A kiedy wszędzie tak wielkie opar...
Nie damy rady (TITO: Nie daj rady)
Dlatego trzeba drogi bandito...
TITO: Nazywam się Tito!
FRANCO: Przepraszam Tito, klucza sytuacji po

Ja już znalazłem. Klucza od kryminalu.
Włec w moim kraju
(Wiedzą już sąsiadzi)
Wszyscy za mną stają.
Reszta siedzi.
A ciebie żal mi, dokąd się udasz?
Jam przysięgłmno tyran. A ty tylko Judasz.
TITO: Nie rób ze mnie Judasza, wziętny naczel-
nik,
Nie rób z nas jednej pary.
Judasza wziął za zdradę trzydziści srebrni-
ków,
A ja — grube dolary.
Sakwa Judasza była chuda, kolego
Ja mam w banku tysiące dolarów.
Judasza zdradził tylko Jednego,
Ja — cały swój naród.
Judasza runął w objęcia śmierci,
Powiesił się. Żal jego był szczery,
A ja powiesilem... sobie na piersi
Faszystowskie orderki.
Widzisz zatem królu szubienicy
W tym wierszyku nie długim,
Że jednak istnieje ogromne różnice
Między jednym zdrajcą a drugim.

WALL STREET: Brawo Tito, na mnie licz,
W tej grze dopomożesz ty mi.
Ta gra to zwyczajny brida,
Lecz kartami znaczoneymi.
Ty siadź z boku, a ja z przodu.
Licytujemy wszyscy wraz.
Tak przemówmy do narodu,
By naród powiedział: pas!
EISENHOWER: Bez poetyckich lir,
Bez wyszukanych słów,
Ja licytuje: Kir!
Kirowe są stroje wdów.
Świat licytuje: mir!
To znaczy pokój, dostatek.
Ja licytuje: Kir!
Kirowe welony matek.
RIDGWAY: Ja mówię: szlemik krew!
I każdy niech się dowie,
Ze kiedy wpadam w gniew
Śmierć niosę dziecku i wdowie...
ACHESON: A ja na to
Szlem bez atu.
Bez atu, bez narodu,
I stąd tyle zawodu.
Nikt nam tej gry nie przerwie.
Narody muszą być w matni.
My im — mięso w konserwie,
Oni nam — mięso armatnie.



NARÓD: Ja licytuje: kara!
W karty fałszuję nie patrzę.
Kara! Kara! Kara!
Dla podlegaczy.

RIDGWAY: Leżymy. Tyle zawodu.

EISENHOWER: Bez ilu?

RIDGWAY: Bez narodu.

ADENAUER: Najnowsza gra oszukańska!

Trumafska, amerykańska!
Faszyzm gra i przegrywa!
Zaczyna się licytacja.
Ta piękna gra się nazywa:
Remilitaryzacja.
Gra w trzy karty,
To proste.
Pierwsza: to Drang nach Osten.
Kto stawia na tę kartę?

KRUPP: Ja stawiam, bo to warte.

Ej, Krupp, montuj grób,
Bo bez grobów jesteś trup.
Wojenną kartę wybieram,
Niech zagrzmią buty pruskie!
Stawiałem na Hitlera,
A teraz na wszy i pluskwy.
Stawiałem na Schickelgrubera,
A teraz na Eisenhowera.
Włec szczuję wet za wet!
Byle interes szedi.

ADENAUER: Proszę się nie zastanawiać,
Proszę na trzy karty stawiać!
Kto wskaze, gdzie as Wall Street,
Ten dostanie premię w mię.

GŁOSY: Nie widzieliście szulera Adenauera

POETA: Znikli!

Z nim współnicy, klusa...
Zostali tylko trzy karty
I na nich napis zatarły:
Made in USA.

MURARZ WARSZAWSKI: Nigdy kart nie
biorę w rączkę,
Lecz z Januszem gram w „tysiączkę”.
Mieszam, mieszam wapno. Wreszcie
W głos melduje: normy dwieście.
A ta bestia oczywiście
Zaraz mi podbija: trzysta!

Ja — czterysta, a on pięćset.
Gramy dalej, kto z nas więcej...
Denerwuję się piekielnie.
Teraz on rozdaje kielnie.
I z tej gry, a dobrze gramy,
Nowe domy znowu mamy.

GORNIK: My w karty rzadko gramy.
Wśród samych nas jest niejednen as.
My co dzień gramy w diagramy.
Kto wyżej z nas?

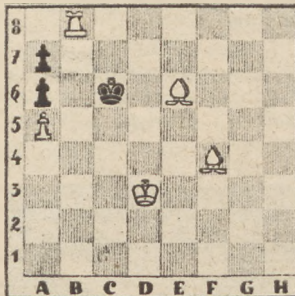
Królowie norm i damy,
Wznoszą diagramy do gwiazd.
Rosną górniczy, harmonogramy,
Bo wszyscy na nas liczą.
A my na naszą kartę stawiamy:
Kartę Górnica.

POETA: Na zakończenie parę słów,
Na zakończenie bukieć bżów.
Niech kwitnie bez w naszym kraju,
W grudniu, styczniu i maju...
Bez dygnitarzy,
Bez wazeliniarzy,
Bez biurokratów,
Bez panikarzy,
Bez bumelantów,
Bez spekulantów,
Bezmyślnych, bezdusznych, bezczelnych i
Intrygantów i ignorantów.
Na tym życzeniu kończy się szopka —
I kropka.

SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

E. KOFLER



Mat w 3 posunięciach.

ROZWIĄZANIE ZADANIA POZAKONKURSOWEGO Z NR 50

1. Wh6 z groźbą 2. W:h4+.
1...G:c7 2. Hg5, 1...Gf2 2. Wc2!
1...Ge3 2. Wc3.

PARTIA NR 46

grana podczas X Olimpiady
szachowej w Helsinkach.

Obrona Nimzowitscha.

Białe: L. Szabo

Czarne: P. Keres

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4
e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4.
e2—e3 d7—d5 5. a2—a3 Gb4—c7.

Powstała właściwie pozycja
gambitu hetmańskiego, w której
białe zrobiły wprowadzenie
„bezpłatnie” posunięcie a2—
a3 ale za to nie wyprowadziły
gońca c1.

6. Sg1—f3 0—0 7. Gf1—d3
b7—b6 8. 0—0 c7—c5 9. b2—b3
Sb8—c6 10. Gc1—b2 c5—d4 11.
e3—d4 Gc8—a6 12. Wa1—c1
Wa3—c8 13. Sc3—b5 Ga6—b7.

Posunięcie to nie jest strata
tempa, gdyż białe będą
przecież musiały wrócić skocz-
kiem z b5 na c3.

14. Wf1—e1 Wf8—e8 15.
Sb5—c3 Ge7—f8 16. Sc3—e2
Sf6—e4 17. Se2—g3 Se4—g3 18.
h2:g3 d5:c4?

Błąd, po którym czarne wpa-
dają w trudność. Należało
grać 18... g6 przeprowadzając
gońca na g7, lub na h6.

19. b3:c4 Sc6—b8.
Lepsze było 19... Hf6, aby
przeszkodzić 20. d5.

20. d4—d5 Sb8—d7.
Niebezpieczne było 20...e:d5
wobec 21. W:e8 H:e8 22.
G:h7 + K:h7 23. Hd3 + itd.

21. d5:e6 We8:e6 22. We1:e6
f7:e6

23. Hd1—e2 Gb7:f3 24. Gd3:
h7+ Kg8—h8

25. g2:f3 Wc8—c5 26. Kgl—
g2 Wc5—h5

Aby nie dopuścić do 27. Wh1
27. Gh7—g6 Wh5—h6 28.
Wc1—d1 Hd8—g5

29. Gg6—e8 Sd7—e5 30.
Hc2—e4.

Na 30. f4 czarne odpowie-
działoby również 30...He7,
mając większe szanse na ratu-
nek, niż po ruchu w tekście.

30...Hg5—e7 31. Ge8—a4
Se5—f7 32. Wd1—d7 He7—c5

33. Wd7:f7 Kh8—g8 34.
Wf7—f4 Gf8—d6 35. Wf4—h4

Czarne poddały się.

MECZ SZACHOWY

„ŚWIAT” — CZYTELNICY

Podajemy nazwiska Czytel-
ników, którzy otrzymują na-
grody. Po raz pierwszy wpro-
wadzamy nagrody za oryginal-
ność, tak więc, Czytelnicy pro-
ponujący silne i ciekawe po-
sunięcia — chociaż nie zostają
one zaakceptowane przez
większość — mogą liczyć na
nagrody.

Nagrody za trafność otrzy-
mują:
1. B. Janusiewicz — Sobie-
szów, 2. S. Dawidson — Czę-
stochowa, 3. S. Józwiak —

Poznań, 4. J. Pele — Chorzów,
5. R. Terlikiewicz — Chorzów,
6. A. Zaleszkiewicz — War-
szawa.

Nagrody za wytrwałość wy-
losowali:

1. E. Czucharski — Kosza-
lin, 2. K. Jordańska — Ra-
dom, 3. Z. Nowak — Łódź, 4.
W. Paleski — Chorzów, 5. T.
Płonki — Bilgoraj, 6. W.
Sieroszewski — Warszawa, 7.
J. Zabiegliński — Gólabki.

Za oryginalność wylosowa-
no dwie nagrody. Jedną otrzy-
muje ob. Marcinkiewicz za
posunięcie 19... Gc8—a6 w par-
tii W20, co wywołało intere-
sujące komplikacje. Drugą
nagrodę otrzyma ob. S. Szu-
miel za ruch 20...Se8—c7 rów-
nież w partii W20, co było
dużo silniejsze, niż posunięcie
przyjęte przez większość Czy-
telników (20...Wa8—c8).

Najbliższe posunięcie redak-
cji zamieścimy ze względów
technicznych w następnym
numerze.

Nagrody wysyłamy pocztą i
prosimy o potwierdzenie odbi-
oru.

Ob. S. Józwiak z Poznania
proszony jest o podanie do-
kładnego adresu.

WIROKWADRAT

Dookola liczb wpisać wiro-
wo 8 wyrazów o poniższych
znaczeniach. Początek wpi-
sywania każdego wyrazu w
kółku położonym najbliższ
środkowego kwadratu, kieru-
nek dalszego wpisywania —
zgodny z ruchem wskazówki
zegara. Do środkowego kwa-
dratu wpisać 6 wyrazów sze-
ścioliterowych o podanych ni-
żej znaczeniach tak, aby moż-
na je było czytać jednakowo
poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów wiro-
wych:

1) Kruszyna metalu powsta-
jąca przy jego obróbce, 2) Ro-
ślina włoska, której liście po-
służyły za wzór wielu orna-
mentów, 3) Silacz, zapasnik.
4) Naród, narodowość, 5) Gra
ruchowa młodzieży, 6) W mi-
tologii greckiej: bogini ma-
grości, 7) Talerz ozdobny, 8)
Szybki bieg konia.

Znaczenie wyrazów kwadra-
tu magicznego:

1) Dzielnica Konstantynop-
ola, ośrodek handlowy i giel-
dowy, 2) Zakładnik wzięty
dla zabezpieczenia umowy, 3)
W mitologii greckiej: bogini
nocy i wszystkiego, co ukryte
przed wzrokiem ludzkim, 4)
List bez nazwiska piszącego,
5) Garbnik wyciągnięty z ga-
lasu, 6) Przywódca kozacki.

(K. Fiedorowicz
Skarżysko-Kamienna)

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Na-
czelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja:
Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata mie-
sieczna zł 4.—, kwartalna zł 12.—, półroczna zł 24.—,
roczna zł 48.—.

Zakłady Wdostodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. 705. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 3-B-17480

Drodzy Czytelnicy!

Każdy nowy rok dostarcza okazji do podsumowania prac już dokonanych i podjęcia nowych kroków w kierunku dalszych ulepszeń i zmian.

Rzecz prosta, że nasz dział wymyka się obliczeniom statystycznym i buchalteryjnym, ale będziemy zgodni z tradycją noworoczną — w której jest przecież ziarno praktycznego sensu — jeśli zastanowimy się nad minionym okresem i porozmawiamy o przyszłości.

Otóż dział nasz ma do zanotowania na swym koncie dodatnim wiele uwag Czytelników, którzy stawiając Redakcji konkretne propozycje, wpłynęli na zmianę i układ pisma, skorygowali błędy i uzupełnili swymi pomysłami istniejące braki. I to jest bodaj najważniejszy zysk w bilansie noworocznym działu „Drodzy Czytelnicy”. Ale to jest tylko oczywiście stwierdzenie redakcyjne za okres już ubiegły i nie chcielibyśmy poprzestać na tym, co dotyczy dawnych spostrzeżeń, a więc tzw. spraw załatwionych, albo, mówiąc bardziej urzędowym językiem, „odfajkowanych”. W nowym roku wydawniczym pragniemy pójść dalej, tzn. szczególnie i wszechstronnie przeanalizować możliwie wszystkie działy od strony treści i formy.

Proponujemy więc: piszcie, Drodzy Czytelnicy, szczerze i prosto o tym, co myślicie o aktualnym wyglądzie „Świata”, krytykujcie nasze błędy, stawiajcie żądania i domagajcie się od nas tego, czego odczuwacie jeszcze brak na łamach naszego pisma. Mamy jak najlepsze chęci pójść za Waszym głosem, wprowadzić słuszne zmiany i uzupełnienia.

Piszcie więc, jakiego rodzaju artykułów jest w tygodniku za mało, czego jest za dużo, co jest wesołe i interesujące, a co nudne i nieatrakcyjne. Jakie działy Wam się podobają, jakie wydają się Wam zbędne. Co chcecie widzieć nowego na łamach naszego tygodnika. Co radzicie rozszerzyć, uzupełnić, a co zredukować, zmniejszyć.

Może macie jakieś uwagi, dotyczące zewnętrznego wyglądu pisma? Czekamy na Waszą ocenę. Co myślicie o ilościowej i jakościowej stronie naszych fotografii, ilustracji, satyry rysunkowej itp.

Oto z grubsza tematy, pozwalające Wam, Drodzy Czytelnicy, poruszyć w listach szereg istotnych zagadnień, związanych z treścią i układem naszego i Waszego tygodnika. Od Was więc i od nas zależy, czy w nadchodzącym roku sprostamy nowym zadaniom, które stawia przed nami wielki czas budownictwa, czas walki o pokój, czas wspólniejszej konsolidacji narodu wokół Programu Frontu Narodowego i wokół porywających zadań Planu 6-letniego.

Nie wątpimy, że w najbliższych dniach otrzymamy Wasze przyjacielskie uwagi, rzeczową krytykę i słowa zachęty, poparte Waszą własną, osobistą opinią o naszym tygodniku.

Na zakończenie składamy Wam, Drodzy Czytelnicy — serdeczne życzenia Noworoczne.

„ŚWIAT”

UWAGA CZYTELNICY!

Następny numer tygodnika ilustrowanego

„ŚWIAT”

ukaze się z datą 4 stycznia 1953 roku

TANIO i ŁADNIE

Święta, Nowy Rok — jednocześnie zaś okres urlopów zimowych i karnawału. Trzeba zatem sporządzić (i ewentualnie uzupełnić) ekwipunek sportowy... i „tańcówkowy”. Oczywiście, że sportowym będzie o wiele łatwiej: w dziewięćdziesięciu procentach zeszłoroczny, nie tylko w tym sezonie, ale i w kilku następnych, służyć nam będzie znakomicie (chyba, że ucierpiał — w pewnych partiach — przy zjazdach z Kasprowego). Dla tych, którzy jeszcze nie mają kostiumów narciarskich, obok zamieszczamy modele dla różnych płci — uwzględniając także wiek.

Jeśli natomiast chodzi o

„ekwipunek tańcówkowy” — to już sprawa bardziej skomplikowana, ale bynajmniej nie taka trudna. Wystarczy pomysłowa przeróbka sukni z ubiegłego karnawału, żeby inaczej — świeżo i elegancko wyglądała. Przykładem model poniższy, w którym do sukni z jedwabiu milanowskiego dodano wykończenie z jedwabiu w kolorze tła. Efekt — znakomity.

Przy okazji informujemy — suknie wieczorowe nie sięgają ziemi. Dół powinien znajdować się na wysokości 40 cm od ziemi (wliczając obcasy). Dekolty niezbyt duże, rękawy natomiast minimalne, albo wcale.



Suknia wieczorowa z wzorzystego milanowskiego jedwabiu, wykończona jedwabiem w kolorze tła.



Gruby sweter wełniany do spodni narciarskich — najlepszy strój sportowy dla mężczyzn w każdym wieku.

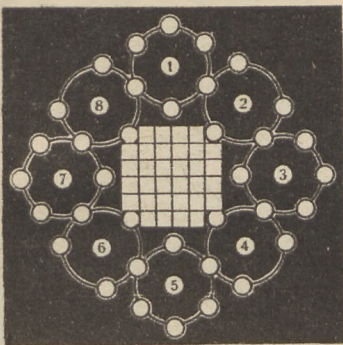


Damska wiatrówka z kapuzą, paskiem i krytymi kieszeniami — może być zrobiona z wełny albo welvetu.

RYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Roz-

rywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie 20 nagród książkowych



DIABEŁ W CYLINDRZE

Dokończenie ze str. 13

oścież otwarte wysokie drzwi dębowe dochodzą go jeszcze okrzyki i słowa zachęty:

— Mach's gut, Franz! Prosit!

Woźni i portierzy ekskluzywnego klubu pochylają głowy przed nowym kanclerzem Rzeszy. Gdy jego sylwetka znikła wreszcie za drzwiami limuzyny, służba wraca na stanowiska. Starszy portier, Max, który już niejedną „wielkość” widział w klubie, powiada cichaczem do kasjerki:

— Czy widziała pani jego twarz? Przecież to głowa diabła... w cylindrze.

I wszyscy wybuchają dyskretnym śmiechem, chichotem służby, która wie, do jakich granic można kpić, gdy się jest na dobrym chlebie jaśnie państwa.

6.

I „Fraenzchen” robił to na razie całkiem dobrze. Nadspodziewanie dobrze — pomyśleli w swoich gabinetach i Schleicher i Hitler. Każdy oczywiście z innych powodów, choć dla tych samych właściwie celów.

Cały korpus urzędniczy zostaje zmieniony. Zniesiono zakaz noszenia brązowych mundurów. Uchwała się „pomoc dla zbiegających magnatów” w Prusach

Wschodnich, gdzie daje się zauważyć masowa migracja w głąb Rzeszy (tzw. Landflucht). Przemysł otrzymuje pierwsze zamówienia zbrojeniowe. Papen jedzie do Lozanny i Paryża i rozmawia tu przyjaźnie z Herriot i Blumem. Użytkuje poparcie zagranicy, o które bezowocnie zabiegali jego poprzednicy na kanclerskim stołcu. Imperialiści zachodni wiedzą dobrze, co oznaczają rządy Papena. Głosu Thaelmanna boją się nie tylko przemysłowcy z nad Rhiny, 20 lipca 1932 roku Papen wymierza pierwszy cios w demokrację weimarską: rozwiązuje socjaldemokratyczny rząd pruski Brauna i Severinga. Zostaje sam komisarzem Rzeszy w Prusach. Socjaldemokraci nie stawiali oczywiście oporu. Severing, minister spraw wewnętrznych Prus, mając pod swoją kontrolą całą

policję, gdy otrzymuje rozkaz Papena usprawiedliwia się tylko: „Ustępuję przed siłą...” Ustępując równocześnie z pola walki, kierownicy SPD raz jeszcze zdradzili niemiecką klasę robotniczą.

Po rozwiązaniu Reichstagu, Papen ogłasza nowe wybory. 31 lipca 1932 roku klika Papen-Schleicher doznaje na równi z Hugenbergiem ciężkiej porażki. Koncepcja „prezydialnego” gabinetu musi teraz upaść. Rząd Papena nie ma nadal większości w Reichstagu, a Hitler, jako przywódca najsilniejszego stronnictwa w parlamencie, domaga się władzy dla siebie.

MARIAN PODKOWIŃSKI

DALSZY CIĄG W NASTĘPNYM NUMERZE



ŚWIĘTA W USA.
— Co ty robisz chłopcze? Chcesz, żebyśmy mieli przykrości i policję?!



Noworoczne upominki od USA.

Wesółych Świąt
SZCZĘŚLIWEGO
Nowego Roku
życzy CZYTELNIKOM
REDAKCJA
TYGODNIKA **ŚWIAT**



PO POWROCIE ZE STOLICY:
— Nie kupiłem tylko remanentów,
które są w każdym prawie sklepie.



SYLWESTER EMIGRANDY
— Panie ministrze, czy w skarbie jest jeszcze na jedną kolejkę?



Nowy Rok: — Czy nie mógłbyś zabrać ich z sobą?



— Pan też do Zakopanego?
— Tak, święta w domu są kłopotliwe...



...Zerwał się z choinki...